



THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

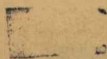
THE UNIVERSITY OF CHICAGO

we

SZYMON TOKARZEWSKI

NA TUŁACTWIE

(Z SIEDMIU ILLUSTRACYAMI NA KREDOWYM PAPIERZE)

 **Kita**

**W. MAŚLANKIEWICZ
KRAKÓW
G. Gebethner i S-ka.**

1911.

A.31831



1000172150

Ltd 13 a4

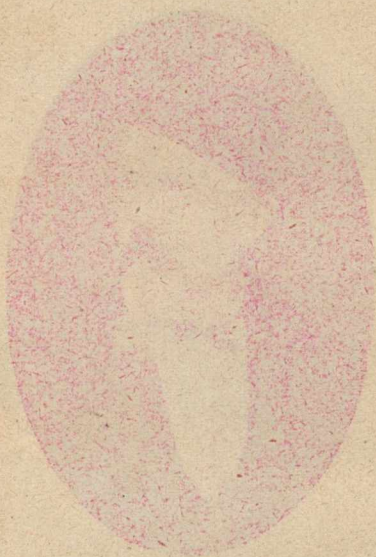
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1122/61/79



STANISŁAW WOJTASIEWICZ

ur. w Ziemi Lubelskiej r. 1816,
fotografowany w Algierze r. 1880.



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
CHICAGO, ILL.

L. Aleksycki

Wszedł głównymi drzwiami.

Niskim ukłonem powitał gospodarza, który podał mu rękę przyjaźnie; jeszcze niżej pokłonił się prałatowi Wojtasiewiczowi, który też dłoń jego uściśnął i piękną swą, siwą głowę pochylając na prawo i na lewo, skrós zgromadzenia przemyskał się posuwistym, lekkim, cichym krokiem. Miał na sobie czarną, atłasową szatę formą żupana; pas ze złocistych, czarnych, purpurowych nitok jedwabiu utkany, w ręku niósł aksamitną, sobolami bramowaną czapkę i skrzypce, które przyciskał do piersi.

— Przyjechał! Natan Orvietto przyjechał wreszcie!.. Witajcież nam gościu miły! witajcie! — wołała młodzież hurmem otaczając starca.

Ów uśmiechał się radośnie.

— Czołem, mości panowie, czołem! otóż i gotów jestem na wasze usługi,—odpowiedział i gładząc swą białą, długą brodę spieszył ku estradzie okrytej dywanem, wśród pachnących świerków i brzošek utkwionych, w zielono pomalowanych donicach.

Na estradzie siedziało już trzech muzykantów, z których najstarszy był synem, dwaj młodzi byli wnukami Natany Orvietty. On sam zaś trzymał pierwsze skrzypce, a zarazem dyrygował tą zgodną i, rzeczywiście, artystyczną kapelą.

Poszeptali z sobą.

Młodzi zajęli miejsca w głębi.

Natan wystąpił na front estrady, podniósł w górę smyczek i miłym, doniosłym głosem zawołał:
— Trzeci Maj!

Ozwała się znana melodia...

Wspaniałe tony poloneza dźwięczną, powiewną, muzyczną falą, ze wzniesienia wionęły na salę, a wnet z wielką brawurą zagrane, rozplynęły się po całym dworze, po wirydarzu i ogrodzie.

Zaczem gospodarz domu, Sebastyan Tokarzewski — Karaszewicz podał ramię najpoważniejszej w tem zebraniu matronie i ruszył w pierwszą parę poloneza.

Starsi i młodzi postępowali za nim.

I przez cały okrąg dworu: przez pokoje, antykamery, przez bokówki i sienie poważnie sunął długi korowód par, chwilowo skojarzonych względami uprzejmości towarzyskiej, albo ku sobie połączonych magnesem zobopólnej sympatii.

Niezwykła, uderzająco kontrastowa rozmaitość, panowała w ubraniach młodzieży zgromadzonej tego dnia na zabawie, w Mieliszu.

Kilku elegantów świeżo z Warszawy przybyłych w te strony, było — we frakach.

Wszyscy inni młodzi mężczyźni mieli buty

o wysokich cholewach, sukienne, popielate, z czarnemi szamerowaniami z i takiemiż pętlcami kapoty, naśladowujące chłopskie siermięgi.

Toż samo panienki.

Oprócz kilku utrefionych kunsztownie, obutych w atlasowe pantofelki, strojnych w przezroczyste gazy, w muślinki jak pajęczyna cieniutkie, — wszystkie inne miały rozpuszczone warkocze, skórzane ciżmy i gładkie perkalikowe suknie.

Bo w owych czasach, w okolicach organizacyą księdza Piotra Ściegiennego objętych, młodzież biorąca czynny udział w tej organizacyi, oraz młodzi sympatycy zasad proboszcza z Chodła ślubowali, nietylko najwyższą prostotę i skromność w ubraniu, lecz nadto, że ten ubiór, o ile się da, krojem i materyałem do chłopskiego będzie podobny.

To miało być niejako symbolem zbliżenia się z sobą i zniwelowania kast.

Okrążywszy pokoje i wszystkie zakamarki starego dworu, korowód powraca do sali.

Wtem z boku wysuwa się dorodny młodzieniec, blondyn, rumiany wysoki Stanisław Przystański*) zastępuje drogę pierwszej parze i klasnąwszy w dłonie woła:

— Mości panowie,—odbijanego!

Starsi mężczyźni zwolna usuwają się z korowo-

*) Późniejszy profesor Szkoły Głównej w Warszawie — początkowe nauki pobierał w szkole szczebrzyńskiej, wyższe wykształcenie w uniwersytecie petersburskim.

du, matrony napowrót zasiadają swoje miejsca w karłach i na kanapach, a skoro już tylko pozostała sama młodź—Przystański, który się podjął marszałkować w tańcach komenderuje:

— Mości panowie! komu woła, chłopski krakowiak z przyśpiewkami!

Poważne tony poloneza wraz, zmieniają się w hulaszczą melodyę krakowiaka.

Przystański w lewej ręce trzyma sukienną rogatywkę, z barankiem i bukietem polnych kwiatów i kłosów, — prawą obejmuje kibić swej partnerki, ona opiera dłoń na jego ramieniu. Toż samo czynią inne pary, zaczem wszystkie w zawrotnem, porywczem tempie, z przytupywaniem i hołubcami parokrotnie okrążają salę, aż wodzirej zatrzymuje się przed jedną z najpoważniejszych pań, w tem zgromadzeniu.

Za wodzirejem szeregują się inne pary.

Brawurowe tony przechodzą w delikatne pianisimo.

Stach, pokłoniwszy się nisko matronie, zaczyna śpiewać:

Cztery lata wlerniem służył gospodarzowi,

Gospodarzowi — Matusiu,

Ranom wstajał, sieckie krajał, niechaj sam powi,

Niechaj sam powi — Matusiu.

A to wszystko la dziewczyny, la jedyny miłe mi było,

Bo się serce, kieby smoła do niej lepiło

Matusiu! ach! Matusiu.

Pauza. Huczna przegrywka — pauza i znów śpiew:

Hej! dziwcy, hej! jedyna
Męki srogie znose
Bońdz wzajemnom
Czyz daremno
Tak słodko cie prosię?

Nie będę ja, Stachu, twojom
Ani nicyjom — nicyjom.
W matusinym ogródecku
Zakwitne se lelijom, — lelijom,
Białom lelijom.

Odśpiewuje panienka i zręcznie wysunawszy się z objęcia swojego partnera zgrabnym, rytmicznym krokiem ucieka.

Jej suto fałdowana perkalikowa suknia szeleści, jak skrzydła fruwającej gołąbki, wplecione w warkocze gazowe wstęgi, nad jasną jej głowę unoszą się, niby rój barwnych motyli, z wiązanki kwiatów, które ma u gorsu przypięte i, z bukietu przy Staszkowej czapce, odrywają się wonne płatki i sypią na posadzkę.

Stach puszcza się za nią w pogoń. Ona się bardzo zręcznie wymyka... wymyka...

Tymczasem on śpiewa:

Nie zmykaj mi psepiórecko
Nie zmykaj!
Nie ukryjes się psedemnom — kochanecko
Nie skryjes się nikaj! ach! nikaj!

Parokrotnie powtarza tę strofkę usiłując pochwycić panienkę, co mu się wreszcie, chociaż nie bez trudu udaje.

Wszyscy tancerze i tancerki półkolem otaczają przewodniczącą parę—Stach podnosi w górę swą rogatywkę i z wielkim ferworem śpiewa.

Będzies mojom, lube dziwce,
Nie matusinom, — nie matusinom,
Ludzie mi cie rajom
I ojcowie dajom
Białom lelijom — ślicnom lelijom.

— Wiwat Stach i Maryśka! wiwat!—wołają.

Kapela gra tryumfalną fanfarę, służba wnosi wino, goście toastują na cześć wodzireja i urodziwej jego partnerki.

Zaczem następne pary znów tańczą krakowiaka — znów improwizują przyśpiewki, — znów fanfary i toasty...

Tymczasem w tej samej sali starsi panowie rozdzielili się na grupy i, przyciszonym głosem, półsłówkami, rozmawiają.

Niekiedy ktoś zaintepelowany półsłówkiem, odpowiada wymownem spojrzeniem i gestem.. znać że podczas tej hucznej, a napozór tak niefrasobliwej zabawy,—niewesołe są gawędy starych szlachciców, bo coraz bardziej pochmurne są ich twarze, coraz głębsze bruzdy zarysowują się na ich czołach.

Gospodarz domu, Sebastian Tokarzewski, smutniejszy jeszcze i bardziej podówczas posepny, niżli jego starzy sąsiedzi, — przechodzi od grupy do grupy... tu się zatrzyma chwileczkę, tam jakąś uwagę dorzuci, — gdzieindziej weźmie żywy

udział w rozmowie, — lecz skoro tylko ktoś głos podniesie, on baczny i uważny na wszystko kładzie palec na ustach, tym sposobem zalecając w wypowiedaniu myśli wielką ostrożność.

Bo jakkolwiek całe towarzystwo składało się z ludzi zacnych, patryotów rozumnych, węzłami krwi, albo ścisłej przyjaźni z sobą związanych — jakkolwiek cała służba była nieposzlakowanej uczciwości, a wierności która przeszła już próby, — wszelako żadna ostrożność nie była zbytęcną w owych czasach, kiedy w całym kraju wrzały ruchy konspiracyjne, kiedy śledztwa, rewizye, aresztowania były na porządku dziennym, kiedy pościgi za spiskowcami trwały nieustannie, kiedy wszędzie kręciło się mnóstwo szpiegów, gdyż za delatorstwo sownie nagradzano pieniędzmi i urzędami i, kiedy nakoniec przytrafiało się bardzo często, że już nie zła woła, ani chęć zysku, lecz poprostu gadatliwość i plotkarstwo, pogrążało całe rodziny w otchłań najstraszniejszej niedoli.

W wysokim, przestronnym pokoju, o ciemnym belkowanym, modrzewiowym suficie zaczęło się już zmierzchać. Zapalono woskowe świece w żelaznym, kutym żyrandolu i w takichże kandelabrach.

Subtelna woń różana i słodki zapach lipowego kwiatu, z wirydarza wpływał przez otwarte okna.

Przy środkowem oknie, z którego najdogodniej było można obserwować całą salę, zarysowała się sylweta wysokiego starca w siermiedze.

Stał długą chwilę spoglądając na tańczących z zażawionemi oczyma i gorzkim na ustach uśmiechem. Oburącz wsparł się o parapet okna i siwą, mądrą swą głowę wsunął pomiędzy firanki, jakgdyby pragnął, aby go spostrzeżono.

A gdy to nastąpiło i gospodarz zbliżył się do okna, półgłosem rzekł porywczo:

— Melduję...

— Co?

— Że trza, aby wielmożny pan poszedł do kancelaryi.

— Co się stało, Kacprze?

— Niech, wielmożny pan do kancelaryi idzie zaraz, natychmiast, natychmiast!—powtórzył z osobliwym naciskiem.

Kacper ex-wojak, który pod Ostrołęką nogę pozostawił, zażywał wielkiego poważania w całej okolicy. Zapraszano go i fetowano po dworach i, z obywatelstwem obcował poufale. Tułając się po świecie nabrał pewnej ogłady i zdobył pewien zasób wiadomości, a zwłaszcza historię naszego narodu znał doskonale. Tedy chłopom opowiadał dzieje ziemi ojczystej i temi barwnemi opowieściami, w sercach swoich współbraci rozbudzał i rozpalał miłość ojczyzny. Służył u Sebastjana Tokarzewskiego i był jego wyřęczycielem w zajęciach gospodarczych, w wielu sprawach bywał też mądrym i praktycznym doradcą, przez całą rodzinę uważanym, raczej za przyjaciela, niżli za sługę, a nie mając dokładnie wyznaczonych obo-

wiązków, burmistrzował w Mieliszu z energią i sprężystością iście żołnierską.

Entuzjastyczny zwolennik i czciciel proboszcza z Chodla, nie przestawał ubolewać i ronić łez nad losem, który stał się udziałem tego kapłana.

— Żeby to tak człek był młodszy, — mawiał, — a głównie żeby miał swoje, własne, rodzinne, obie nogi, oj! poleciałbym tyż poleciał za onym, drogim proboszczuniem, choćby i na kraj świata. Ale z tym oto drewnianym kikutem, niedalekobym się zawlókł. To i cóż poradzisz nieboraku?...

Kiedy Tokarzewski wszedł do pokoju zwanego „kancelaryą“, już tam zastał Kacpra, z jakimś zamorusanym, obdartym chłopczyną.

— Melduję — wyrzekł ex-wojak — albo nie! ty sam pędraku powiedz coś miał rzec. No dali!

— Jadom — bąknął chłopiec.

— Wyrażni gadaj, bąku, głośni gadaj! — komenderował Kacper.

— Jadom te, ze Zamościa! — z całego gardła krzyknął chłopczyzna.

— Kto jedzie? — spytał Tokarzewski.

— Dziandary i te z pikami.

— Kozacy?

— Moze one som i kozaki, ale tego ja nie wim.

— Siła ich?

— Hurma! wielmożny panie! Óma!

— Gdzieżeś ich widział.

— A to, wielmożny panie, było tak: paśliśwa krowy na wygonie, wedle gościńca. Spojrzę a tu o stajanie, a może o dwa, abo o tsy stajania świeconce słońie idzie se rychtyk nade drogom.

— Bzdury pleciesz moje dziecko — przerwał stary pan.

— Jako żywo, nie bzdury, sprawiedliwie gadam wielmożny panie.

— Więc dobrze. Więc, cóż to było to „słońie“?

— To jeich piki, a szelby, a siabliska były takie świconce.

— Opowiadaj dalej.

— Wojtuś! mówi do me Bartosowa Jagusia, te bezkurcyje pewnikiem obces walom do dwora. Ani chybi. A ty dyrdał miedzami na psełaj. Ino chyzo, ino nie marudź, abyś zaś ich wyminoł i wielmożnemu panu dał znać.

— Naczelnik jedzie też?

Wojtuś podrapał się w rozczochraną czuprynę pełną liści i połamanych gałązek, myślał, myślał i nieprędko odpowiedział:

— Tego to nimogę zec, ile zem nijakiego nacelnika nie ujźrał nikiej własnymi ślipiami.

Stary pan rozśmiał się pomimowoli.

— Zuch z ciebie mój Wojtusi u, żeś tak chyzo do nas przyleciał, a jeszcze głównie że nie opowiadasz o tem, czego nie widziałeś własnymi oczami. Ale, coś ty taki podrapany, pokrwawiony i czemu ciągle ręce trzymasz na żołądku? Czy cię boli?

— I... i... i... nie!

— Któż cię tak poturbował?

— A nik! ino kolcate kze, wielmożny panie. Jakem leciał i rękami odchyłał ksewiny, tak one psiejuchy po giembie i po rencach me pokieresowały. A nie dosić! I kapelusine do cna poderły i portcęta tyz. A jakze! muse one w garści tymać, aby me zaś nie opadły.

— Mój Kacprze, zaprowadźcie to dziecko do szafarki—rzekł stary pan — niech go tam Zajacowa suto nakarmi i przyodzieje, czem będzie mogła naprędce. Jutro rano przyjdiesz, zuchu, do dworu, dostaniesz kapelusinę i całe obleczenie, abys gołem ciałem nie świecił. Tymczasem bywaj zdrów.

— Pocałujże, Wojtuś, wielmożnego pana w rękę, ukłoń się pięknie. No, prędko, faflu jeden! W sionce usiądziesz se na ławeczce i na mnie poczekasz. No, nie gap się! Żywo! marsz! — komenderował ex-wojak, wyprowadzając Wojtusia.

Gdy wrócił do „kancelaryi“ stary pan stał jeszcze w tem samem miejscu, stroskany, pogrążony w zamyśleniu głębokiem.

Kacper kaszłał, hałaśliwie ucierał nos, postukiwał swoim drewnianym kikutem, widząc jednak, że na to wszystko Tokarzewski nie zwraca uwagi bynajmniej, odchrząknął i zainterpelował go:

— Ośmielam się prosić o rozkazy. Nieprzypaciel prawie u wrót naszych. Co zrobimy?

— Co zrobimy?—przeciągle powtórzył Tokarzeski — ja właśnie sam zdawałem sobie to py-

tanie i nie znajduję odpowiedzi żadnej. Po prawdzie sam nie wiem.

— A czasu do namysłu mało, djabło mało! panie, lada moment nadjadą.

— Masz rację! Aha!... Idź...

— Słucham! — zawołał Kacper, czyniąc pół obrotu ku drzwiom.

— Albo nie! poczekaj!... Słuchaj!...

— Według rozkazu czekam, słucham, ale niechajże raz otrzymam jakieś rozporządzenie, czy dyspozycje. Pan mnie później zbeszta, zdegraduje, każe w areszcie zamknąć o chlebie i wodzie, nawet zgoła na cztery wiatry z Mielisza wygoni, a ja przecie teraz powiem, że nigdy nie przystoi być bezradnym ślamazarą, a zwłaszcza wobec bliższego niebezpieczeństwa.

Stary pan, będąc już zdawna do podobnych reprimand przyzwyczajonym, ani się niemi obrażał, ani ich brał do serca,—podumał jeszcze parę minut, zaczęł zbliżyć się do Kacpra i, coś mu cicho wykladał.

Ex-wojak przytakiwał ruchami głowy, wykrzykując przytem:

— Wedle rozkazu, chociaż mnie paraliż ruszy. Kiedy trza,—to trza! tylko nie zdzierzę, jak mi Bóg miły, szlag mnie trafi... Według rozkazu... ale jak mi Ojczyzna miła nie zdzierzę!

— Zdzierzysz, stary przyjacielu, — uspakajał go Tokarzewski—gorsze już sprawy z bożą pomocą przetrzymywałeś... Pamiętaj, że od twojej zręczności wszystko zależy.—Spiesz-że się teraz.

— Wedle rozkazu!—energicznie wykrzyknął Kacper i zdjawszy z kołka pęk ogromnych kłuczy, wyszedł uprowadzając z sobą Wojtusia.

— Kochany panie—zapytał gospodarz wodzireja — co projektujecie tańczyć?

— Mazura — odpowiedział Przysański.

— Nie możnaby zmienić program i mazura walcem zastąpić?

— Czemu?

— Bo otrzymałem wiadomość, że nadjadą tutaj nieoczekiwani goście, którymby polskie i, w dodatku, demokratyczne tańce, nie w smak poszły... A międzynarodowy walc, rodem z mocarstwa z ojczyzną naszych gości zaprzyjaźnionego kordyalnie, będzie dobrze widziany. Tylko sza! drogi Stachu... Broń Boże, aby ci goście nie zastali tutaj popłochu... Czuwaj pan nad tem, proszę... Wreszcie niema powodu się przerażać.

— Naturalnie! wszak wizyty gości takich są obecnie w całym kraju na porządku dziennym. Jużeśmy się do nich przyzwyczaili.

Z grona rozbawionych i chichoczących pańienek Sebastyan Tokarzewski do ogrodu uprowadził ślicznego, wesołego blondyna: Stanisława Wojtasiewicza.

— Stachu — rzekł — źle! kozacy i żandarmi jadą z Zamościa...

— Wujaszek radzi mi uciekać?—żywo przerwał młodzieniec.

— Uchowaj Boże! nie śmiałbym, ani dorażać ucieczki, ani zatrzymywać cię w Mieliszu...

rozporządzaj sobą sam... Zresztą Bogu tylko wiadomo kogo dziś zaaresztują?... Odkąd lista uczestników organizacyi księdza Piotra wpadła w ręce władz, nikt nie może być spokojny... I właśnie dziś, my starzy chcieliśmy obmyśleć jakie środki ochronne dla was biedaków, niezawodnie na tej nieszczęsnej proskrypcyjnej liście będących... projektowaliśmy złożyć fundusze, aby wam, Ściegeńszczykom, ułatwić ucieczkę zagranicę... Dzisiejsza, tańcząca zabawa tylko jest pozorem do zjazdu... zgromadzenie bez muzyki i płasów wydałoby się żandarmeryi podejrzanem...

— Wie wujaszek co?—znów przerwał Stach—namyśliłem się już... ucieczka przed niebezpieczeństwem nie rycerski to czyn, ani godny szlachcica... zresztą... dokąd uciekać?... gdzie się ukryć?... w jaką stronę się skierować, aby nie wpaść samemu w rozdziawioną szeroko paszczkę?... Zdecydowałem się już... zastanę... *va banque!*... Lecz zanim mię ucapią, jeśli już takie moje przeznaczenie, tymczasem będę tańcował mazura, do którego Przysiański nawołuje właśnie. O!... słyszy wuj?... jak huknął: „mazur, mości panowie, wszystkie pary! z życiem! z życiem! mości panowie!“ Może to będzie ostatni mazur w mojem życiu?... niechajże moja panienka nie czeka. Idę! *va banque!*—powtórzył biegnąc ku domowi w mazurowem tempie i wachlując się rogatywką.

Wnet przecież znów wypadł do ogrodu.

W alejach kwitnących lip było już chłodno

i mroczno. Tylko jeszcze wierzchołki starych, olbrzymich drzew kąpały się w karmazynie, w fioletach i złocie hojnie rozrzuconem przez dogasającą wieczorną zorzą. Na wirydarzu, w klombach obsadzonych barwinkiem i bukszpanem w przykładowej zgodzie żyły, rosły stokrocie i bratki, balsaminy i rezedy; zadzierzyste nagietki wdzięczyły się do skromnej ostróżki; płomienista nasturcyja spletała swoje prątki z delikatnym groszkiem pachnącym i wiotkim powojem, a ponad tą masą drobnego, skromnego kwiecica, w pośrodku klombów królowały wytworne, wonne białe i purpurowe róże.

Z jednej strony wirydarza ciągnął się gąszcz bujnego malinca, po drugiej grzędy truskawek między krzakami agrestu i drzewkami wisien łutówek, oblepionych czerwonym, soczystym, dojrzalym owocem.

Przez okna dworu tryskały rzesiste światła, muzyka, gwar głosów...

Ten ogród obszerny, wonny, zharmonizowany w barwach,—przez panującą w nim ciszę w głąb swoją pociągał stroskanego młodzieńca.

Bo Stach Wojtasiewicz, tylko nadrabiał miłą, tylko udawał spokój i obojętność,—faktycznie był beznadziejnie smutny.

Co go czeka?... co go ma spotkać w przyszłości?... I pragnął zastanowić się, pragnął w samotności naradzić się z samym sobą, w jaki sposób rozwiązać to zagadnienie: uciekać?... czyli też zdawszy się na łaskę i niełaskę losu—pozostać?...

Na końcu ogrodu był wysoki kopiec ze ślimakowatą ścieżynką, prowadzącą do altany urządzonej na samym wierzchołku, z brzozowych pnączków. Z tej altany roztaczał się widok bardzo rozległy. Kiedy Stanisław tam wszedł i bystre jego oczy obleciały całą okolicę,—w oddali ujrzał jakąś ciemną, ruchliwą masę, wyłaniającą się z boru...

Jednolita masa, w miarę zbliżania się ku Mieliszowi przybiera coraz konkretniejsze, wyraźniejsze kształty.

Ach! to są ludzie na koniach...

Posuwają się szybko... Ziemia dudni... jęczy... Rozlega się turkot powózki... Nikłe, drobne sylwety powiększają się... Ach! już urosły w wyraźne postacie barczystych żołnierzy. Kozacy to są i żandarmi. Doskonale można ich umundurowanie rozeznąć...

Słońce już zaszło... ale przecie to czerwiec—jeszcze zupełnie widno...

Już wjechali w szeroką, do dworu prowadzącą aleję, wysadzoną białodrzewiem...

Już słyszeć tupot kopyt koni, potykających się, o olbrzymie korzenie białodrzewiu, o korzenie, które na drodze wiją się, niby potworne, skamieniałe węże.

Podniecane nahajkami konie, z impetem przez otwartą na ścieżaj wjazdową bramę, na dziedzińiec wpadają i okrażywszy takowy, zatrzymują się przed gankiem.

Jednocześnie Stach Wojtasiewicz wbiega do



WNĘTRZE DOMU BOGATYCH ARABÓW W ALGIERZE.



sali, gdzie przy melancholijnych dźwiękach walcu, kilka par wiruje. Przysiański stojąc w pośrodku klaszcze w dłonie i niby metr tańca dyryguje głośno:

— Raz! dwa! trzy!—Raz! dwa, trzy!... na trzy pas, mości panowie!

Właściwie czynił to dla zagłuszenia hałasu i wrzawy, jaka przy wjeździe żołdatów na dziedzińcu się podniosła.

Psy uwijające się po dziedzińcu zaczęły ujadąć zapalczywie, — tembardziej, że je kozacy nahajkami smagali i, drażnili fiukaniem na gwizdawkach.

Gniewny, groźny, basowy, ochryply głos wołał:

— Haziain, kuda jest' haziain?—a zarazem we drzwiach antykamery, w kaszkiecie na głowie ukazał się rotmistrz żandarmskiej brygady z Zamościa: Arystydes Fomicz Sidow, olbrzymi chłop z twarzą obrzękłą, kwadratową o wystającej szczęce dolnej, o nosie wklęsłym, pod niskim czołem, a nad wargami rozszerzającym się w otwory wielkie, niby końskie chrapy.

— Panie gospodarzu—mówił postępując w głąb sali i podając rękę Sebastyanowi Tokarzewskiemu, który wyszedł na jego spotkanie—ja tu do was, po ważnem diele przybył. U was, ukrywa się miatieżnik Stanisław Wojtasiewicz mianowany. Co? a!

— Żeby Stanisław Wojtasiewicz był miatieżnikiem—o tem nie wiem, lecz że się nie ukry-

wa to pewno, skoro tańczy przy otwartych drzwiach i niezasłoniętych oknach... Ot! widzisz go pan, panie rotmistrzu — odpowiedział Sebastian Tokarzewski, pokazując Sidowowi młodzieńca, który uśmiechnięty, swobodnie i wesoło z piękną tancerką, w walcu około nich przesuwał się właśnie.

Rotmistrz wytrzeszczył zaropiałe oczy, osadzone pod szczecinowatemi brwiami.

— On że to jest?—spytał ogromnie zdziwiony.

— We własnej osobie! — zaśmiał się Tokarzewski — a skinieniem przywoławszy siostrzeńca, który właśnie zamasyżuje posadził swoją tancerkę—przedstawił go rotmistrzowi.

— Nu! to i lepiej, żeśmy was tak rychło naszli, Stanisław Wojtasiewicz. — Tak, i proszę was sabirać się z nami.

— Jakiż zaraz? — zadziwił się Tokarzewski.

— Nu! tak. Zaraz! zaraz my musimy ujechać.

— Cóż znowu? nigdy się na to nie zgodzę!

— Służba nie drużba! panie Tokarzewskij!

— Prawda! lecz nie mniej prawda, że pan rotmistrz musi być głodny i znużony, jego żołnierze i konie też potrzebują wypoczynku. Więc proszę się rozgościć i zasiąść z nami do wieczerzy, którą, oto już podają.

— Nu, — rozśmiał się Arystydes Fomicz — rozgościć się... Phy! charaszo. My budiem jedli, pili i weselili się, a miatieżnik tymczasem drapnie! To byłoby sławno!

— Słowo honoru—zawołał Stach—słowo honoru daję, panu rotmistrzowi, że nie ucieknę z tego domu!

— A ja za to własną osobą i całym swoim majątkiem poręczam—dodał Tokarzewski.

Arystydes Fomicz, jeszcze próbował oporu, ale już bardzo słabo i miękko. Wreszcie ustąpił, niby pod naciskiem nalegań gospodarza, odpasał szablę i usiłując być eleganckim szastał się po sali, witając obecnych, których znał po większej części.

— Servus!—przykładając dwa palce do czoła i pobrząkując ostrogami mówił do panienek.

— Quid novi?—zapytywał mężczyzn a nieczekając na odpowiedź dodawał:—mój atiec ze sprzymierzonymi wojskami był we Francyi, w Paryżu, tem stołecznym gorodzie. Tam, on nauczyłsia po łacinie i mnie swemu jedynemu synaczkowi tę umiejętność przekazał. Ot: moi mili państwo, co, i jak było, opowiadam wam wierno, czestnoje słowo! prawda szczerą, jak złoto.

Grom spadł na dom przed chwilą jeszcze ożywiony muzyką i wesołym gwarem tanecznym.

Goście milczący, chmurni siedzieli przy biesiadnym stole.

Jeden tylko rotmistrz Arystydes Fomicz Sidow był w brylantowym humorze. Słynny żarłok i bibosz pochłaniał masy potraw i napojów. Kłapiąc szczękami, niby krokodyl, silił się na dowci-

py, prawil łacińskie frazesy i gadał... gadał... gadał... bez wytchnienia, bez przerwy.

Obecni poprzestawali jedynie na przyznawaniu mu racyi, o ile naturalnie, zainterpelował kogo.

Od czasu do czasu zwracał się do Stacha Wojtasiewicza, który umyślnie usiadł tuż przy nim.

— Nie uciekniesz ty mi bratiec. Co?... a... Bo poljaczki chitry to narod! oj! chitry. Ty dumasz, brat: oni siedzą, jak trusi, a te pany, rewolucye po tichońku, ci szykują! rewolucye... fronde. Nu, niech tam! damy sobie z wami radę, jakobiny, masony, rebelianty. Pokażemy wam zęby, sankiutoty!... Ot! i wielkaż to sztuka...

Jednocześnie w oficynach, zarówno gościnie traktowano żołnierzy, jak przy pańskim stole ich wodza.

Kacpra — chociaż to zapowiadał — „ani paraliż tknął, ani szlag trafił“, kiedy z karbowym Snopkiem wytaczał z lamusu beczułki piwa i, wynosił gąsiorzy gorzałki; kiedy szafarka Zającowa zносиła półcie słoniny, bochny chleba stosy wędlin i serów, na poczęstunek dla żandarmów i dońców.

Podczas biesiady Kacper, Snopek i Zającowa, pełnili obowiązki amfitryonów. A spełniali je tak gorliwie, że niebawem ex-wojak do kancelaryi wywołał starego pana.

— Nie żałowaliśmy pożywiołu, ani napitku — mówił. — Dopieroż co sie nie dzieje?... Rety! rety!

schlali się jak nieboskie stworzenia. Można by im łyby poucinać i na ich własne piki powtykać, a nicby nie wiedziały, juchy.

Stary pan, z zadowoleniem słuchał relacyi wiernego sługi.

— O to też właśnie chodziło.

— Ale jak oni powsiadają na koń? dalibóg nie wiem?

— My ich powsadzamy.

Obadwaj rozśmieli się cicho.

— A tamten, zaś—spytał Kacper—trzyma się?

— Niedługo też będzie, „gotowy“.

Stary pan machnął ręką i wrócił do jadalnej sali.

Tu właśnie rotmistrz z trudem wielkim usiłował dźwignąć z krzesła swoją olbrzymią staturę.

Podniósł się wreszcie, jedną rękę wsparł o stół, druga trzymająca kielich pełny, dygotała jak w febrze. Wino oblewało mu palce, dłonie, kroplami sączyło się za rękaw.

On spoglądał bezmyślnym, zmaconym wzrokiem, śmiał się idyotycznym śmiechem pijaka. Usiłował coś rzec — daremnie! tylko jakiś rechot, jakieś skrzeczenie wydobywało się z jego gardziela.

— Ad libitum, pany dobrod—dzieje, kochajmy się! hurra!—wznosząc kielich, zawołał, ale wypuścił go—i sam runął, na posadzkę, pociągając za sobą obrus i wszystko, czem stół był zastawiony i przybrany.

Nie łatwo przyszło z pod masy czerepów szkła,

porcelany, z pod stosu sreber, odłamków świeczników, z pod mieszaniny potraw, ciast, napojów, owoców, konfitur, wydobyć rotmistrza, Arystydesa Fomicza Sidowa... A gdy się to wreszcie udało, rotmistrz był w stanie godnym pożałowania. Miał twarz, jak wątroba siną, sapał jak miech kowalski, a ryczał, niby postrzelony tur... Zdjęto mu halstuch, rozpięto mundur i złożono go na sofie.

Kiedy tak leżał bezprzytomny, wyciągnięty charczący—ktoś szepnął: „apopleksya, on kona“! Szczęściem, pośród gości był lekarz, który po zbadaniu mniemanego apoplektyka skontatował, że narażenie apopleksya mu nie grozi, że stracił przytomność przebrawszy zwykłą miarę spirytualnych napojów, że obecnie jest tylko w mocnym bardzo śnie pogrążony.

Tedy owinięto rotmistrza płaszczem, głowę owiązano mu chustą, i ostrożnie wyniesiono go do powózki, wygodnie sianem i wojsłokami wyścielanej.

Ktoś szepnął Wojtasiewiczowi, że słowo dane pod przymusem nie obowiązuje...

— Przysięgłem rotmistrzowi, że z tego domu nie ucieknę i słowa honoru nie złamię. Nie! nie! — odpowiedział Stach i pożegnawszy się ze wszystkimi, zuchowato wskoczył do powózki, usadowił się obok śpiącego Arystydesa Fomicza.

Żołnierze z pomocą Kacpra i Snopka wgramolili się już na konie.

Przy kucерze, w powózce zasiadł karbowy Snopek.

Roztwarto bramę...

Kozacy i żandarmi, ze swoim uśpionym dowódcą, z pośród koczobryków, karykli, najtyczanek, powozów, którymi dziedziniec był zatłoczony wysunęli się na drogę do Zamościa prowadzącą.

Objedzeni i pijani żołnierze drzemali na kulbakach. Zasuto nakarmione konie kroczyły leniwo i ociężale, kuczer kiwał się nieprzytomny wypuściwszy z rąk cugle, rotmistrz chrapał, jakby we własnej sypialni.

Trzeźwych, czuwających w tym orszaku było tylko dwóch: karbowy Snopek i Stach Wojtasiewicz.

Noc była pogodna i ciepła.

Rozjaśniony, światłem księżyca gościniec, przed nimi ciągnął się, niby rozwinięte pasmo litego srebra.

Z łąk dochodziły nawoływania koniuchów.

A daleko... daleko... w dolinach, pośród sadów, była wieś— pod niskimi strzechami chaty, pogrążone w cieniu, w martwocie, w śnie...

I lży piołunowej goryczy trysnęły z oczu młodzieńca i serce jego ścisnęło się przeogromną żalością...

Bo przecież on pragnął właśnie do tych chat mrocznych, wprowadzić jasne promienie światła... Przecież on pragnął wypędzić z tych chat zabobony, wygnać złych doradców, gorszycieli, znachorów.

Przecież w tym celu nauczył się aptekarstwa, aby dając leki dla uzdrowienia chorych ciał,

jednocześnie na umysły oddziaływać, aby serca i dusze podnosić i uszlachetniać. I oto, owe zamiary dobre zniszczono, zanim stały się czynem i, te pragnienia gorące i one projekty użyteczne, rozwiały się, niby piękne sny, z których człowieka rozbudzą brutalnie.

Mozolnie wzniesiony gmach runął, miażdżąc gruzami swojemi tych, którzy go wzniesć usiłowali...

Czyje ręce go dźwigną z gruzów i w ogóle czy zdołają podźwignąć go?... i kiedy?...

W odmęcie tych rozmyślań, wobec takich wątpliwości i takich rozpaczliwych pytań, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi żadnej. Stach Wojtasiewicz stracił świadomość chwili obecnej, zapomniał o grozie swego położenia... nie zdawał sobie sprawy z kim jedzie?... dokąd?... i poco?...

Nagle uczuł lekkie szarpnięcie i dosłyszał szept:

— Uciekajcie panicu!

Ocknął się — otrząsnął z marzeń i rozejrzał naokół.

Szeroki gościniec zmienił się teraz w wąską, leśną drożynę.

Z prawej strony był ciemny, gęsty bór, z lewej parów głęboki. Śród panującej ciszy, niezakłóconej żadnym powiewem, rozlegał się tupot koni po wyboistej drożynie, oraz dwugłos chrapania rotmistrza i kuczera.

Pomiędzy lasem, a parowem, drożyna wiła się w ślimak, kozacy i żandarmi pozostali ukryci

na jakimś zakręcie,—powózka wlokła się bez woj-
skowej asysty.

— Uciekajcie paniczu!— powtórzył karbowy
Snopek.

Ta rada roztrzeźwiła Stacha zupełnie.

— Doskonała rada!—pomyślał — prawda, da-
łem rotmistrzowi słowo, że nie ucieknę z domu
Sebastjana Tokarzewskiego, z Mielisza i święcie
dotrzymałem zobowiązania, nie uciekłem ztamtąd,
czemuż przecież nie miałbym uciekać z lasu?...
wszak tutaj nie jestem już słowem związany...
Gościniec, las to już grunt neutralny, gdzie krę-
pujące mnie zobowiązanie traci moc swoją... Ale
czy tak jest rzeczywiście?... Czy moja logika nie
jest sofistyczną i niehonorową?...

Rozwahał, wahał się, walczył sam z sobą,
nie mogąc zdecydować się na krok stanowczy,
jakkolwiek uciekając ocalał swoją wolność, a mo-
że nawet życie.

— Do pierona! — ze złością już mówił Sno-
pek — panica złe otumanilo, że nie rozumi co
gadam. Żołnierzysków ani widać, te dwa nie wie-
dzom o Bozym świecie. I cego wiency tsa? No!
paniczu, hyc! z bryki i drała w las, do Wawzo-
na. Od onego przeprowadzom panicza bez grani-
ce. Tak dysponował wielmożny pan z Mielisza
i, psykazał mi paniczowi powtórzyć dokumentnie.

Młodzieniec już nie wahał się dłużej. Obu-
rącz objął Snopka całował go, ścisnął, tulił się do
niego, wyobrażając sobie, że w nim żegna i ro-

dzinę i strony rodzinne i lud i odnośne do tego ludu swoje marzenia płomienne, a świetliste...

Chłop z lichwą oddawał Stachowi uściski i pocałunki i płakał błogosławiąc go.

— Niech Bóg prowadzi! niechaj Najświętsza Panienka i wszystkie Święte Patrony szegom was miły panicyku. Z Bogiem!... już idź panic!

Stach owinął się burką, spuścił nogę, postawił ją na stopniu... Ostrożnie aby nie obudzić rotmistrza wysunął drugą nogę.

W tej chwili konie potknęły się i szarpnęły powózką...

Młodzieniec stracił równowagę przy tem wstrząśnięciu, zachwiał się i zamiast na gruncie stanąć, stąpił w próżnię i runął do parowu, około którego przejeżdżali właśnie.

Kiedy Stanisław Wojtasiewicz odzyskał przytomność, którą był stracił spadając z wysokości, leżał w głębokim wąwozie, którego dno było pełne drobnych, kanciastych kamyków, obrosłych popielato-rudawym mchem.

Czuł straszny ból w całym ciele.

Chciał się poruszyć, a nie mógł. Zdawało mu się, że ma pogruchotane wszystkie kości. Głowa płonęła mu, jakgdyby miał pod czaszką gorejące zarzewie. Jak długo leżał w omdleniu?—nie mógł się zorientować, bo w kieszonce od kamizelki,

znalazł tylko szczyptę ułamków złota i stali, ze stłuczonego na miazgę zegarka.

Nie zdawał też sobie sprawy gdzie jest? — czy to były lasy, należące do Mielisza, czy też ordynackie?...

Dokuczały mu cierpienia fizyczne i udręka moralna, pragnienie go paliło i skręcało mu wnętrzności...

Wąwóz do którego spadł był przecudnie malowniczą miejscowością.

Po stromych i prostopadłych zboczach wąwozu pięły się blade różyczki, wątle powoje i chaotycznie poplątane kolczaste gałęzie jeżyn.

Nad urwiskiem rósł kolosalny dąb.

U stóp wielowiekowego drzewa, naokół olbrzymiego głazu, rozsypane było mnóstwo płaskich kamieni... Może to były zwaliska jakiejś pogańskiej kantyny, gdzie w czasach przedhistorycznych, Światowidowi składano ofiary?...

Niezliczone rzesze ptaków pogwizdywały, ćwierkały, śpiewały, radując się tym pogodnym, słonecznym dniem letnim. A w tym brawurowym koncercie skrzydlatej rzeszy — brzęczenie pszczoł, unoszących się ponad kwiatkami, tworzyło niby kapełę wiolinistek, którym towarzyszył bas szerszeni i bąków.

W kniei życie pulsowało przyśpieszonym tentnem hucznej wesołości, niefrasobliwego rozradowania... Głowa sarny wynurzyła się z gąszczu, przejrzystymi oczyma rozumnie spojrzała naokół. Zaczem ukazała się cała postać ślicznego zwie-

rzątką, a przy niem druga małej sarenki, która podskakując zgrabnie i swawolnie oskubując listki z krzaków, biegła obok swej matki.

Nagle zdaleka, echo doniosło granie psów...

Sarenki pierzchły i znikły raptownie, jakgdyby zapadając się pod ziemię. Nad knieją zawisło widmo trwogi. Powstał alarm i wnet zcichł... ptaszyny umilkły... tylko pszczoły nie zaprzestały swej roboty, i niezmordowany leśny kowal—dzieciół, bez przerwy kuł, kuł w szaro-czerwona-wą korę jodły tu i owdzie upstrzoną białą, jakgdyby inkrustacją, z matowego srebra.

Granie ogarów to cichło, to wybuchało zaja-dle, mieszając się z nawoływaniem:

— Ciućki! Ciućki! Zagraj! Śpiwka! szukaj! szukaj!

Szczekanie psów i głos ludzki, zbliżały się coraz bardziej. Wprędce, pod stopami idącego wawozem człowieka zachrobotwały kamyki. Zachrzęściły łamiące się gałęzie krzewów i z gąszczu z impetem wybiegły dwa ogary. Poszczekując radośnie i skamląc dopadły Stacha i zaczęły lizać go po rękach i po twarzy.

— Cichaj Zagraj! leżeć! Śpiwka do nogi! cichaj, ty pokracna gildo!—wołał głos mężki, a wraz ukazał się ogromny chłop, w słomianym kapeluszu, w kożuchu, z sękatym koszturym w ręce, z myśliwską torbą i strzelbą przewieszoną przez plecy. W zębach trzymał glinianą fajeczkę, na krótkim, wiśniowym cybuszku.

— Pochwalony Jezus Chrystus! Dzienkować

Bogu, zem panica nalaz. Prawda, nie gzych, to ciučki moje: Śpiwka i Zagraj panicyka wytropiły. I po co to beło skikać z tyłośnego pientra? — śmiał się chłop, lecz nie otrzymując odpowiedzi krzyknął przerażony:

— Zyjes panic, abo nie zyjes! gadaj panic! rety! rety! odzeknijze mi, aby jedno słówko.

Zdjął z ramion strzelbę, torbę myśliwską, ciśnął na ziemię kapelusz i fajeczkę i ukląkł przy Stachu.

Odpędziwszy łaszące się psy, obmył mu twarz wódką, wlał trochę wódki w usta, a zobaczywszy, że zatrważająca bladość znikła z lic młodego pana, że zaczyna oddychać wcale swobodnie, że się uśmiecha mile i patrzy przytomnie, aż się chłopisko rozplakało z radości.

Skoro okazało się, że Stach nie może się dźwignąć o własnej sile, a tembardziej chodzić— Wawrzon nie namysłając się długo, w zaroślach ukrył fuzyę i torbę, fajeczkę schował do kieszeni, kożuchem swoim owinął młodzieńca, owiązał go zdjętym z siebie pasem z szerokiej, konopnej taśmy wziął go na ręce spowitego jak niemowlę— i żwawym krokiem podążył ku swojej sadybie leśnej.

Idąc modlił się, to wzdychał, popłakiwał łzy ocierając i uskarżał się nad losem Wojtasiewicza.

— Biedny Stach! biedny chudziaku, na co ci to psysło. Ot! nimas sie gdzie poździeść, chociaż mas dom i ojcowizne. Ale ja cie będę strzeg jako żrenicy w oku, bede cie kurował i u mnie,

ni dziandziar, ni śpieg nie wytropi cie i nie wypłosy.

Oprócz bardzo silnych potłuczeń zewnętrznych, Stach nie odniósł poważniejszego szwanku i, nadspodziewanie szybko odzyskiwał siły i zdrowie.

Sadyba leśnika Wawrzona była w gęstwinie, prawie w puszczy niedostępnej. On sam człek wiekowy, beżenny i nie mający rodziny żadnej, w zupełnem odosobnieniu spędzał resztki burzliwego niegdyś życia.

— Ludzie o mnie zapomnieli, ja tys nie pamientam o ludziach. Jesteśmy ze sobą na kwit!— mawiał Wawrzon.

Tedy Stach, czas swej choroby i rekonwalescencyi przepędzał spokojnie. Ukradkowo odwiedzali go tylko najbliżsi. Znajomi przypuszczali, że uwożony z Mielisza, czmychnąwszy z drogi przekradł się do Galicyi, ztamtąd może dalej. Wobec rządu też za zbiega uchodził, a to skutkiem raportu, Arystydesa Fomicza Sidowa, rotmistrza żandarmskiej brygady, konsystującej w Zamościu. Dostojnik ten z pościgu za „miałieżnikiem“ przywieziony został do Zamościa w tym samym stanie, w jakim z Mielisza wyjeżdżał, to jest: w najgłębszym śnie pogrążony.

Kiedy się wyspał, kiedy wytrzeźwiał pragnął sobie przypomnieć co i jak było?... ale nie mógł...

Mielisz... zebrani tam goście, obfita i doskonała wieczerza, sute libacje—to wszystko w umyśle Arystydesa plątało się chaotycznie i zlało w amalgamat wspomnień mętnych, niedokładnych,

jak odbicie obrazów w starem, przyćmionem zwierciadle.

A „buntowszczyk“ Stanisław Wojtasiewicz?... co się z nim stało? do wszystkich czortów?... znikł jak „obman“. Kuczer, żandarmi, kozacy sumitowali się i zaklinali, że żaden „miałieźnik“ z drogi nie uciekł. Przecież w Mieliszu nikogo nie aresztowali, nikogo im pod straż nie oddawano... w powózce, oprócz „jego wysokobłagorodja“ rotmistrza Arystydesa Fomicza Sidowa — nikogo więcej nie było. Księżyc świecił, było jasno jak w dzień, oni zaś baczyli uważnie, aby „jego wysokobłagorodje“ jakiej złej przygodzie nie uległ.

Taką relację złożył rotmistrzowi, stojący u jego drzwi wachmistrz żandarmów wyprostowany jak struna.

Rotmistrz szalał z gniewu.

Postanowił raz jeszcze udać się do Mielisza, zrewidować cały dwór, całą wieś przetrząść, zaaresztować Sebastjana Tokarzewskiego, jego rodzinę, domowników, służbę.

— Muszą „wyśpiewać“ gdzie się tamten czort schował. Muszą wyśpiewać! już ja się wezmę do nich! — srożył się, wściekał, postanowił wyjechać do Mielisza natychmiast i wybiegł wydać odpowiednie rozkazy.

W sieni spotkał Natana Orvietę.

Natan Orvietto pochodził ze starej, żydowskiej rodziny, która przed prześladowaniem Inkwizycyi z Hiszpanii schroniła się do Polski i, z biegiem lat serdecznie ukochała ten kraj gościnny.

Ta miłość do Polski i Polaków przechodziła z pokolenia na pokolenie, stała się tradycyjnym obowiązkiem w rodzie Orviettów, od wieków osiadłym w ziemi lubelskiej i nie tylko wielkim majątkiem, lecz i wykształceniem, uczciwością, kulturą wyróżniającym się pośród masy współwyznawców.

Ówczesny, przedstawiciel i patriarcha rodu Orviettów, Natan, handlował zbożem, a był prawdziwym artystą skrzypkiem.

Z najbliższych swoich stworzył wyćwiczoną kapelę, z którą w domach obywatelskich na zabawach przygrywał do tańca i „do słuchu“. Nie byłby grał za pieniądze o! za żadną cenę, lecz wybranym jaknajchętniej służył swoim talentem.

Poważany ogólnie przez obywatelstwo, w sferach fiskalnych, też miał wpływy i potrafił przeprowadzać najtrudniejsze sprawy i kończyć je pomyślnie, bo umiał zręcznie proponować pożyczkę i—nie żądać nigdy jej zwrotu... Brzęczące argumenty bywają zawsze bardzo silne!...

Arystydes Fomicz Sidow, ujrzawszy Natana Orviettę natychmiast ochłonął z furii, pozdrowił go bardzo uprzejmie, zaprosił do swego mieszkania i posadził w swoim własnym karle.

— Przychodzę zapytać o zdrowie wasze w o p r e w o s c h o d i t e l s t w a—zagaił rozmowę Natan.

Tytuł ekscellency pogłaskał po sercu rotmistrza, rozśmiał się rubasznie.

— Nu, jestem zdrow — odpowiedział—
zdrow jak ryba... Ale nie ona, którą



STUDNIA W BLIZKOŚCI ALGIERU.



kuchta w rynce smaży, ale jak ta, która pływa po rzece.

— A to miła dla mnie nowina, miła i szczerze powiem: niespodziewana, bo potem co się zdarzyło w Mieliszu...

Arystydes Fomicz, podskoczył na krześle, na samą wzmiankę o Mieliszu.

— Gawaritie, co się przydarzyło w Mieliszu i kamu.

— Waszej ekscellencyi... pan rotmistrz może zawiele...

— Co?... praszu, gawaritie, gospodin Natan.

— Czy ja wiem? może pan rotmistrz po winie zachorował i... przy kolacyi upadł... Upadając pan rotmistrz ściągnął ze stołu obrus, ze wszystkim co na nim było... Cenne szkło, porcelana kosztowna... stare wina i likiery—wszystko potłuło się na kawałeczki, pan Tokarzewski ma żądać odszkodowania—które wyniosłoby sumę ogromną, ogromną—powtórzył Natan, śmiejąc się w duchu, że jego improwizacya, o odszkodowaniu wywarła na rotmistrzu piorunujące wrażenie.

Zerwał się z furią, grzmotnął pięścią w stół krzycząc:

— Winowat ten mierzawiec, ten buntowuszczyk!

— Kto?

— Stanisław Wojtasiewicz. Chaljera!

— Ależ jego nie było w Mieliszu.

— Nie było go? gawarisz gaspadin Orvietto, tedy kuda że on był?

— Już od paru tygodni przepadł jak kamień w morzu — wy, panie rotmistrzu, powinniście złożyć raport, żeś, ekscelencyo, Stanisława Wojtasiewicza, w Mieliszu nie zastał, bo jak mówią ludzie uciekł zagranicę.

— Da! nie naszoł ja Wojtasiewicza w Mieliszu, da! onże zagranicu ujechał! Da! ja dziś jeszcze raport napiszu i dziś do Lublina poślę. Chaljera!

— Tak właśnie trzeba zrobić... Ale! to już koniec czerwca i ekscellencyi zapewne bardzo niewiele z gaży pozostało, jak zwykle w końcu miesiąca?

— Ni, ni, kopiejeczki. Żeby to ja w poborowej kamisyi zasiadał, ili w intendenctwie służył, u mnie byłyby dieńgi. Jej — że! jej!

— Skoro niema „dienieg“, to niechże ekscellencya pożyczkę odemnie przyjmie łaskawie—rzekł Natan podając Arystydesowi spory rulonik.—O tej szkodzie zaś to ja pogadam z panem Sebastyanem Tokarzewskim.

— Kanieczno! kanieczno! gawaritie z panem Tokarzewskim—wy mądry czelawiek, Natan Orvietto.

— Skoro ekscellencya raport wyekspedyuje, ja dopożyczę jeszcze...

— Kanieczno — dopożyczytie! ka-

nieczno! raport budiet siejczas gatow!
Chaljera!

Rzeczywiście tego samego dnia, sztafeta powiozła do Lublina raport, w którym rotmistrz brygady żandarmskiej, Arystydes Fomicz Sidow, zawiadamiał wyższą władzę, że buntowszczyka Stanisława Wojtasiewicza w Mieliszu nie zastał, ponieważ przed kilku tygodniami uciekł zagranicę.

W teatrze w krakowskim tłumno.

W łóżach zasiedli: Mieroszewscy, Sołtykowie, Darowscy, Skalkowscy, Pieniążkowie, Kostrzyccy, Jaroszewscy, Wojnarowiczowie, Stojowscy, Wasilewscy, Bohusze, Aleksander Różycki, major b. wojsk polskich, z krzyżem virtuti militari u piersi.

W krzesłach sami mężczyźni różnego wieku, stanowisk, przeróżnych kast.

Zwierzyniecki „włóczek“ siedzi obok szlachcica,—górnicy z żup Bochni i Wieliczki obok uczonych mężów, pośród chłopów, mieszczan, pośród rzemieślników — studenci Jagiellońskiej Alma Mater.

A w tym tłumie,—barwnym strojem krakowskich kmieci wyróżniają się młodzi szlachcice: Wacław Rogaliński, Ludwik Mazaraki, Szymon Darowski, Kostrzycki Ignacy, Józef Belina-Leszczyński, Korczyński, Kochanowski, Jędrzej Deskur, Zadebski chłop z Chrobrza, przy nim Stanisław

Wojtasiewicz w swojej lubelskiej siermiedze popielatej, z czarnemi pętlicami i szamerunkami.

Austriacy ustąpili z Krakowa do Wadowic, gdzie zakładają obóz i sypią szańce.

Przeto w starym Krakusowym grodzie wszystkie serca biją radością i nadzieją.

Wszyscy przywdziali barwy jasne, harmonizujące z ogólnym, wesołym nastrojem.

Kiedy Ludwik Mierosławski i dyktator Jan Tyssowski pojawili się w łoży, gwar rozmów zeichł w całym teatrze zapanowała uroczysta cisza.

Podniosła się kurtyna.

Na scenie już była ulubiona artystka dramatyczna: pani Szturmowa.

Ubrana w białą suknię, z amarantową szarfą, z amarantowemi kwiatami u gorsu i we włosach, deklamuje wiersz, na cześć dyktatora Tyssowskiego.

Obecni powstają z miejsc, a kiedy pani Szturmowa skończyła, zrywa się burza oklasków i okrzyków:

— Wiwat dyktator Jan Tyssowski! wiwat!

Dyktator podnosi się, wychyla z łoży, kłania się i publiczności dziękuje.

Zaledwie przeciągłe wiwaty i oklaski umilkły w jednej z łóż ukazuje się akademik.

Szczupłą twarz młodzieńca rozpromienia zapal. Jego źrenice płoną, jak czarnoksiężkie karbunkuły. Opiera dłonie o rampę łoży i wygłasza płomienny wiersz Edmunda Wasilewskiego:

Po pieśni bólu zabrzmiał pieśń swobody

Z trumien spróchniałych, powstanie świat młody.

Tryumfów uderzy dzwon
I każdy z nas
Będzie tak niszczył — jak czas
I stwarzał tak, jak on!

Śpiew cicho nucony, przeleje się w grom,
Zbudowany na naszej ziemi strzaska dom
I na wrogów ruinie bujnie i zaszczytnie
Dziesięciowiekowego szczepu liść znowu zakwitnie

Niech każdy z nas
Wierzy że wyrośnie ten liść,
Niech się nie wzdryga, gdy przyjdzie czas
Z życiem i szablą iść!

Wszystka młodź będąca w teatrze, tę ostat-
nią zwrotkę powtarza.

Deklamator znika w głębi łoży.

Kiedy śpiew umilkł, kapelmistrz Stanisław
Matyński podnosi w górę pałeczkę.

Orkiestra zaczyna grać pieśń legionów.

Niewysłowny entuzjazm ogarnia obecnych.

Akademik raz jeszcze deklamuje ten sam
wiersz Edmunda Wasilewskiego...

Orkiestra parokrotnie powtarza pieśń legio-
nów...

Już zegar na wieży katedry wawelskiej wy-
bił północ, — już strażnik na Maryackiej wieży
„hejnał“ odegrał — kiedy rozentuzjasmowane rze-
sze opuściły teatr, po mrocznych ulicach starego
Krakusowego grodu, rozchodząc się do domów.

I każdy z obecnych w teatrze tego wieczoru,
gotów był przysiąc, że lud łącznie ze szlachta—

na każde zawezwanie dyktatora Jana Tyssowskiego, ramię przy ramieniu, pierś przy piersi,—z całym impetem uderzy na wroga,—że broń już jest gotowa,—że dowódcy oczekują już tylko, aż zagrzmią bojowe pobudki, że fundusze wnet się znajdują... że oswobodzenie tuż... tuż stoi za progiem.

Dyktator Tyssowski, sam pełen wiary w lud, zasugiestionował młodzieży takąż samą wiarę, która rozviała się bardzo prędko...

Wnet złudzenia pierzchły, pod krwawym obuchem rzeczywistości...

Płomienny entuzjazm zgasiała krew, która potokami popłynęła pod Gdowem.

W myśl rozkazu gubernatora Galicyi, arcyksięcia Ferdynanda d'Este: „żeby stłumić powstanie bez udziału wojska“, austriacki pułkownik Ludwik Benedeck parę tysięcy chłopów puścił, na pięciuset powstańców obozujących pod Gdowem. Chłopi po wielu już dokonanych mordach byli rozjuszeni. Dano im obficie gorzałki. Benedeck kazał ogłosić, że po tej bitwie każdy jej uczestnik otrzyma dwa cwancygiery i dwa cetnary soli bocheńskiej.

Pijana czerń z widłami i kosami rzuciła się na mały oddziałek powstańczy, przeważnie złożony ze studentów Jagiellońskiego uniwersytetu, oraz z górników z Bochni i Wieliczki.

Ze wszystkich stron otoczeni powstańcy ulegli wpředce...

Na pobojowisku wnet pozostały tylko trupy...
Ocalało zaledwie paru...

Stach Wojtasiewicz nigdy nie umiał zdać sobie sprawy, jakim cudem, prawie bez szwanku wydobyl się z krwawego pobojowiska pod Gdowem.

Pamiętał, że czerń chłopstwa uniosła go, ni-
by wodna fala i, wepchnęła go do małej, murowanej
kapliczki, w której była kamienna figura Chrystu-
sa, w szkarłatnym płaszczu i w cierniowej koro-
nie. Jak długo, wycieńczony upływem krwi z ra-
ny, którą mu cięciem kosy w bok zadano,—pozo-
stawał zemdlony,— nie miał pojęcia.

Kiedy odzyskał trochę przytomności naokół
panowała grobowa cisza.

Kapliczka była przy rozstajnych drogach.
Stach pierwszym, lepszym gościńcem powlókł
się nie wiedząc dokąd zajdzie?...

Szcześliwy instynkt skierował go do Krakowa.

Austryacki generał Collin już był zdobył Pod-
górze, gdzie Stach poprzednio mieszkał i gdzie
całą swoją chudobę pozostawił. Śród tysiąca nie-
bezpieczeństw, zagrażających jego wolności i ży-
ciu Stach prawie cudem przekradł się do Krako-
wa i w dzień pochmurny, słotny, dzysty trafił na
Kazmierz do domu krewnych Natana Orvietty.

Przed żelazną, zamczystą furta, ze średnio-
wieczną kołatką stał długo, zanim go poznano
i, do wnętrza starego domostwa wpuszczono.

Przez mroczną sień, przez labirynt słabo
oświeconych korytarzy, krętych wschodków, gan-
ków z żelaznemi balustradami, wprowadzono

Stacha do ogromnej podłużnej sali, o ścianach obitych, staroświecką, kosztowną, w fantastyczne desenie wytłaczaną skórą kordubańską. Od sklepienia wspartego na czterech wysmukłych filarach, zwieszały się tutaj staroświeckie bogate pajaki, z zapalonemi świecami. Były tu meble ogromne, rzeźbione, obite makatą w maurytańskim guście. Przez tę całą długość sali ciągnący się stół, okryty białym, atlasowym obrusem, ze złocistym szlakiem, aż prawie uginał się pod masą kryształów i porcelany, pod ciężarem złotych i srebrnych naczyń.

Był to dzień sabbatu i przy stole zgromadziła się cała rodzina. Młode kobiety miały na sobie barwne lewantyńskie materye, brabantkie koronki, złote naszyjniki, łańcuchy, manele. Starsze były w ciemnych aksamitach, ciężkich brokartach, morach lśniących, w kaszmirskich szalach, w bindach ze złotogłowi, drogiemi kamieniami naszytych. Mężczyźni w czapkach sobolowych.

Na tle tego oryentalnego przepychu, tych tkanin kosztownych, tych koronek i klejnotów wprost bezcennych—Stach w swoich oblepionych błotem butach, w poszarpanej siermiedze, cały krwią zakrzepłą okryty wyglądał, niby przybysz z innej, przeklętej jakiejś planety.

Skoro ujrzał swoją postać wielokrotnie w wielkich, weneckich zwierciadłach odbitą, o mało nie wykrzyknął:

— Ktom zacz?... widmo, czy żywy człowiek?
Stary Uriel Orvietto zerwał się, poskoczył ku

niemu, a schylając przed nim swą postać wyniosłą rzekł.

— Bądź pozdrowiony w moim domu młodzieńcze! — i chwiejącego się na nogach Stacha poprowadził do stołu.

Wieść o klęsce powstańców już się rozeszła po Krakowie. Uczestnik nieszczęśliwej bitwy na polu gdowskiem opowiada o niej szczegóły.

Opowiada o trzasku, chłopskimi widłami łamanych ramion i goleni, opowiada o rozdartych kosami kmieci piersiach, w których drgały serca, tak bardzo miłujące ojczyznę i tych właśnie, którzy tak niemiłosiernie pastwili się nad braćmi... Opowiada o rozpłatanych kosami czaszkach, z których wytryskiwały mózgi, o ciałach drgających w spazmach przedśmiertnych, o postaciach młodzieńczych na miazgę cepami chłopskimi stłuczonych... o tej krwi, która strugami płynęła i na wskroś przesiąknęła pole nieszczęsnej bitwy... i nie tylko nieszczęsnej, ale przekłêtej, ach! stokroć przekłêtej, bo to była walka braci z braćmi, a raczej napaść braci na braci.

Podczas tych opowieści odzywały się jęki niewieście i łkania i głosy mężkie wzywające pomsty Jehowy, na okrutników i morderców, i jeszcze inne głosy błagające Jehowę, o miłosierdzie nad tym krajem i narodem nieszczęsnym.

A Stach, lubo od paru dni żadnego pożywienia nie przyjmował i teraz nie mógł wziąć do ust potraw, które mu podawano. Tylko pokrzepiał się węgrzynem tegim, to słodkiem alicante i wciąż

mówił o tych scenach krwawych, których był uczestnikiem i świadkiem, a które pamięć i wyobrażenia odtwarzały mu z przerażającą plastyką.

— „*Fièvre adynamique*“—taką dyagnozę postawił młody lekarz Francuz, wezwany do Stacha, który zaraz po przybyciu do domu Uriela Orvietty zachorował bardzo ciężko. Cięcie kosą, które wydawało się Stachowi zaledwie lekkim draśnięciem, okazało się głęboką raną, tembardziej jątrzącą się i trudniejszą do zagojenia, że przez kilka dni krwawiła bez opatrunku.

Straszna gorączka trawiąca ciało młodzieńca, mniej niebezpieczną była od tej, która pożerała całą jego istotę moralną. W rozpalonej, jak ogień głowie wciąż snuły się i wirowały potworne wizye;—wciąż brzmiały mu w uszach krzyki morderczonych, jęki umierających, przekleństwa morderców, których postacie wcale nie znikwały mu z przed oczów, ani na jedną chwilę nawet. A ten dobroczynny i dobrotliwy uspokojiciel spracowanych, nieszczęśliwych i chorych—sen, uporczywie uciekał od wezglowia nieprzytomnego Stacha.

Już fiołki, narcyzy i bzy okwitły, już siano kosiarze składali w stogi po łąkach, przepiórki na łąkach zbożowych coraz natarczywiej nawoływały: ludzi: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“—kiedy Stach poraz pierwszy w swojej chorobie przemówił i spojrział przytomnie.

Znajdował się w obszernym pokoju, z posadzką ułożoną w tafelki z szarego i czerwonego

marmuru. Spoczywał na ogromnem, staroświeckiem mahoniowem łożu, ustawionem na wysokiem wzniesieniu, na które trzeba było wchodzić po trzech stopniach. Całą ścianę wprost łóżka zajmował przepiękny gobelin przedstawiający sen Jakóba. Duże, gotyckie okna, o drobnych, w ołów oprawnych szybkach wprowadzały dużo słońca i światła do tej wspinałej, zacisznej, od ruchu domowego dalekiej sypialni.

Kiedy Stachowi przytomność wróciła, a gorączkowe majaki i krwawe wizye się rozpierzchły, wraz pamięć i wspomnienia opuściły młodzieńca. Trzeba było opowiadać mu wypadki, które poprzedziły jego chorobę i te, które podczas tej choroby zaszły; — trzeba było to wszystko opowiadać cierpliwie i wielokrotnie, zanim przypomniiał sobie fakta minione, zanim zrozumiał gdzie jest, a również i to, że powrót pod dach rodzinny, jest niemożliwy.

Czas rekowalescencyi, Stach w dni pogodne przepędzał w ogródku Orviettów. Słońce padało tutaj ukośnie; mały ciasny ogródek, ze wszystkich stron otoczony murami, byłby miał wygląd ponury, a nawet wprost więzienny, gdyby nie ta okoliczność, że na tle tych murów były freski przedstawiające wesołe, pasterskie sceny biblijne, w otoczeniu palm, egzotycznych roślin w najwspanialszym rozkwicie i wsadzonych w ogromnych donicach drzew cytrynowych, właśnie dojrzewającym owocem pokrytych.

Nikt nawet nie mógłby przypuszczać, ani odgadnąć, że na Kaźmierzu, w samym centrum kra-

kowskiego g h e t a znajduje się taki pełen żywych barw i woni, taki uroczy zakątek.

Dopóki Stach był chory i, nawet kiedy już był rekonwalescentem ukrywano przed nim prawdę.

Skoro odzyskał zdrowie i siły, okropne wieści posypały się na niego jak gromy.

Z tych, co przed oną nieszczęsną bitwą pod Gdowem byli w teatrze—niewielu na wolności, niewielu pozostało przy życiu.

Młodzi Stojowscy, we własnym domu, w oczach matki zostali zamordowani; podobnież dziedzice Smarzowej, Bohuszowie, z całą rodziną i z przybyłymi do nich gośćmi—i Wojnarowiczowie i krakowski profesor Tadeusz Skałkowski i major b. wojsk polskich, Aleksander Różycki, z żoną i synkiem... Ach! a tylu! tylu zginęło z krwawych rąk band Jakóba Szeli ze Smarzonej...

A z królewiaków, ze Ściegieńszczyków już prawie wszyscy byli uwięzieni w cytadeli, również ci, ze Związku Młodzieży: Ludwik Mazaraki. Wenda, Korczyński, Kostrzycki, Leszczyński, Ządębski chłop z Chrobrza. Jędrzej Deskur z Sancygniowa, wraz ze Stefanem Dobryczem z Warszawy pod szubienicą ułaskawieni wprost powiezieni zostali na Sybir.

Dyktator Tyssowski schronił się do Drezna.

Gubernator Galicyi arcyksiążę Ferdynand d'Este zapowiedział: „po trzech dniach rozruchów nastąpi całe stulecie spokoju“.

I tak się stało faktycznie.

Trzy dni, pod przewodnictwem przebranych urzędników, grasowały po Galicyi bandy chłopskie, mordując szlachtę i inteligentów...

Zaczem nastał spokój...

Jakkolwiek przyjaciele wystarali się o legalny paszport dla Stacha, wszelako pozostawać w Krakowie pod fałszywym nazwiskiem było ryzykowne i niebezpieczne.

Młody medyk, który go leczył wciąż opowiadał mu o Francyi: o gościnności tej ziemi, którą węzły odwiecznej przyjaźni, a świeże braterstwo broni łączyło z Polakami, o gorącej sympatii jaką cieszą się we Francyi Polacy. Jest ich tam tylu a tylu i żadnemu ani poważania, ani przyjaźni Francuzów, ani chleba nie zabrakło.

Takiemi opowiadaniem, lekarz w sercu swojego młodego pacyenta rozniecał najgorętsze pragnienie dostania się nad Sekwanę, do tego kraju, które wedle jego wyobrażeń był krainą szczęśliwości wszelakich.

Natan Orvietto przywiózł Stachowi listy z domu i pieniądze.

Stach pragnął jaknajrychlej wyrwać się z Krakowa w świat. Ciężyla mu bezczynność, udęczała go tęsknota, którą spodziewał się ukoić w podróży przez obce społeczeństwa i kraje. Medykowi, przeciwnie: nie spieszyło się wyruszać w drogę powrotną do ojczyzny. Przybył on do Polski z pewną rodziną magnacką i dzięki jej protekcji, a może dzięki swoim zdolnościom wnet stał się lekarzem modnym i moc pacjentów po-

zyskał. Ktokolwiek z zamożniejszych osób w Krakowie podówczas zasłabł, medyk Francuz był do chorego wzywany i jakikolwiek byłby wynik jego kuracyi, otrzymywał wynagrodzenie, o wiele przewyższające zwykłą normę honoraryów lekarskich.

Z tych racyi, medyk z dnia na dzień swój wyjazd z Krakowa odkładał. Stach niecierpliwił się, czekał jednak.

Tymczasem, jak co rok, zaraz po żniwach Uriel Orvietto wyprawiał swoich zaufanych do Węgier po zakupno win. Zaproponował Stachowi, aby pojechał, pomagać w rachunkach, w ogóle przy zakupnach, jego pełnomocnikowi, który aczkolwiek bardzo doświadczony w tego rodzaju sprawach, wszelako stary już był i właśnie niebardzo zdrów. Stach skwapliwie przyjął propozycję nastęrczającą mu sposobność poznania dużego obszaru ziemi, sympatycznej Polakowi.

Nie zwlekając wyruszyli w podróż.

Długi szereg frachtowych bryk, odpowiednio urządzonych do transportu wina, leniwo ciągnął ku granicy węgierskiej. Popasali i noclegowali po karczmach, gdzie za szynkwasem przy beczulce gorzałki, przy zapleśniałych wędlinach i czerstwym chlebie, zwykle gospodarował arendarz Izraelita. W tych karczmach, niechlujnych, mrocznych, wprost mających wygląd jaskiń zbójckich, zawsze było tłumno i gwarno. Pieniądz i klejnoty bardzo często podówczas były w posiadaniu galicyjskich chłopów. Po rzezi i rabunkach mieli poddostatkiem i biżuteryi i papierów procento-

wych, a nie znając wartości takowych, za kielszek wódki i kawałek kiełbasy pozbywali się walarów wysokiej wartości, albo cennych przedmiotów złotych i srebrnych.

Stach pragnął jeśli już nie wprost zbliżyć się do tych upijających się chłopów, to przynajmniej posłuchać ich rozmów, aby z nich wywnioskować, co się na dnie tych dusz nieświadomych ukrywa.

Lecz mu się to nieudawało.

Zaledwie zbliżył się do jakiej grupy rozmawiających, już budził nieufność... Kmiecie szeptali: „ciarach! cichajcie!“ Skoro do kogo zagadał arendarz stawał się niespokojny i podejrzliwy. Wnet skądciś, niby z pod ziemi wyrastał landdragon, żądał pokazania paszportu oglądał go bardzo nieufnie, bardzo skrupulatnie sprawdzał rysopis Stacha i tylko ta okoliczność, że ludzie i bryki bogacza Uriela Orvietty, na całym tym trakcie byli doskonale znani, a Wojtasiewicz z nimi wszak jechał — ta okoliczność chroniła go od wielkich nieprzyjemności, a może nawet od aresztowania.

Przeto musiał dać za wygraną wszelkim psychologicznym studyom, nad duszą galicyjskich kmieci.

Znajomość z Aleksandrem Petöfi wpłynęła na zupełną zmianę projektów Stanisława Wojtasiewicza.

Pozostał w Peszcie, poprzyjaźnił się z Pe-
tőfim i z całą grupą otaczającej go młodzieży;
brał udział w ich naradach, w ich posiedzeniach,
we wszystkich ówczesnych ruchach patryotów
węgierskich, a skoro wybuchnęła wojna, wstąpił
do legionu polskiego i walczył za niepodległość
Węgier.

Wszystkie szczegóły w tem opowiadaniu
zawarte, są jaknajściślej prawdziwe, czerpane
z listów Stacha oraz, z jego dziennika, w którym
wszelkie swoje myśli, uczucia, wszystkie swoje
czynności zwykł był w miarę możności zapisywać
codziennie.

Wiadomo, że czasu wojny, pocztę nie mogą
akuratnie, terminowo i wiernie obsługiwać tych,
którzy im swoje korespondencye powierzają. —
Przeto i listy Wojtasiewicza z owej epoki, bardzo
są rzadkie i krótkie. W dzienniku też są tylko
lakoniczne wzmianki o marszach, kontrmarszach,
o pochodach, o bitwach chwalebnie wygranych
i o smutnych porażkach. To wszystko należy do
dziejów wojny węgierskiej, dziejów znanych, przez
historyków i powieściopisarzy opisywanych wie-
lokrotnie. Osobistość Stacha usuwa się na plany
bardzo dalekie; częstokroć z horyzontu znika
zupełnie.

To tylko jest zupełnie pewnem, że Stach bił
się mężnie, jakgdyby za sprawę swej własnej oj-
czyzny, a przy tem pragnął pomścić tylu towarzy-
szów swoich, w kwiecie wieku pod Gdowem,
zamordowanych z rozkazu Ludwika Benedeka,

który w kampanii węgierskiej był już w stopniu jenerała.

Zaraz po przybyciu do Pesztu, pośród młodzieży grupującej się wokoło poety Szandara Petöffi, poznał Stach Wojtasiewicz węgierskiego szlachcica Gezę Czengery. Obaj młodzieńcy nawzajem przypadli sobie do serca i poprzyjaźnili się bardzo.

Czengery był właścicielem ogromnych obszarów ziemi na Węgrzech.

Po skończonej wojnie, Haynau nakazał konfiskatę dóbr rodu Czengerych. Zmuszony uchodzić z ojczyzny, Geza unosił z sobą jedynie swoje dyplomy szlachectwa i pyszny, narodowy strój węgierskiego magnata. Poza tem, okrom zdrowia, silnych rąk i gorącej, niegasnącej nigdy wiary, w lepszą przyszłość swojego narodu—Czengery absolutnie nic nie posiadał.

W zupełnie identycznym położeniu był i Stach Wojtasiewicz. I z tego względu, obu młodzieńcom nie łatwo przyszło przekraść się do Turcyi.

W Konstantynopolu już mogli zarabiać. Obadwaj dobrze władali językami francuzkim i niemieckim. Więc popołudniu, kiedy w Galacie najbardziej ożywiony handlowy ruch zapanował,—Geza i Stach spełniali funkcyę tłumaczyw pośredniczących, pomiędzy kupującymi Europejczykami, a Turkami właścicielami bazarów.

Poranki znów Czengery i Wojtasiewicz przepędzali w porcie jako tragarze, przy ładowaniu na okręty towarów i przy wyładowywaniu takowych. Te wielorakie zajęcia i prace dawały

dwu przyjaciółom utrzymanie i nadto możność zrobienia drobnych oszczędności.

Mieli oni zamiar dostać się do Paryża i, zebrawszy potrzebną na opłacenie przejazdu do Francyi sumę, zakupili sobie miejsca na francuzkim żaglowcu „Kadmea“.

Kapitan Flocon, bynajmniej się nie kępował liczbą pasażerów, których zabierał z wybrzeża Złotego Rogu. Kiedy już na pełnem morzu spostrzegł, że „Kadmea“ jest przeciążaną towarami—nie mogąc naturalnie pozbyć się takowych, postanowił pozbyć się części pasażerów. To postanowienie wnet w czyn wprowadził, z bezwzględnem okrucieństwem stosując je przedewszystkiem do dwóch, ubogich emigrantów: Gezy Czengery i Stanisława Wojtasiewicza.

Pod pozorem jakoby przez pomyłkę zamało policzono im na kosztą podróży do Paryża, skoro nie mogli wypłacić summy, której kapitan Flocon domagał się natarczywie,—wysadzono obu na Pantellaryi.

Kapitan Flocon w łodzi eskortował ich osobiście. Widocznie doskonale był znany wojskowej załodze skalistej wysepki strzegącej. Pogadał z sierżantem, zaczęł w przyjęciu na ląd Gezy Czengery i Stanisława Wojtasiewicza nie czyniono trudności żadnych.

Na skalistej górze sterczały szare, chropowate mury twierdzy, z jedną pękatą, wyniosłą wieżą z gankiem, po którym dniem i nocą krążył wartownik, z karabinem na ramieniu. Od strony morza twierdza wydawała się niedostępną.

W otworach strzelnic widać było paszcze armat skierowanych ku morzu, przez okienka w skalistym podłożu wykutych kazamat, widać było snujących się żołnierzy.

— Wcale nie rozkoszna sytuacja! co my tutaj ze swojemi figurami zrobimy?...—mówił Geza do Stacha.

Jakgdyby w odpowiedzi na to, zbliżył się do młodzieńców sierżant i krótko, a węzłowato coś do nich przemówił w sycylijskim narzeczu. Szczęściem Stach i Geza pracując nad Złotym Rogiem, mieli sposobność słyszeć prawie wszystkie włoskie narzecza, zwłaszcza z miejscowości nad morzem Śródziemnem położonych, przeto zrozumieli odrazu, że sierżant rozkazuje im, aby natychmiast przedstawili się jego excellencyi komendantowi twierdzy.

Z pomiędzy wartowników odłączył się jeden żołnierz i pomaszerował ku twierdzy.

Geza Czengery i Stach Wojtasiewicz podążyli za nim posłuszni komendzie sierżanta, który zawołał:

— A v a n t i !

Wązką ścieżynką, wykutą w skalistym podłożu i ślimakowato wijącą się pomiędzy dwiema przepaściami, młodzieńcy wspinali się za żołnierzem. Na każdym zakręcie ścieżynki, stał szyldwach.

— Kto idzie? Stój! daj hasło! — wołał.

Prowadzący młodzieńców żołnierz odpowiadał hasłem.

Zaczem szyldwach przepuszczał idących, szyldwach wnet znikał za złomami głazów, ukazywał

się inny, znów inny... zresztą była pustka, istic pustynna pustka i głusza.

Po dość długiem i nużącym wstępowaniu w górę, wreszcie stanęli na obszernym placyku, wyłożonym polerowanym granitem. W pośrodku placyku był ogromny krzyż z brązowym wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Krzyż otaczała żelazna balustrada, bardzo artystycznie kutą i złożonemi kwiatami przyozdobioną.

A nawprost krzyża gmach ponury, z miedzianym dachem, z małemi, okrągłemi okienkami, opatrzonemi w grube, żelazne kraty. To właśnie był fronton twierdzy, będącej więzieniem dla politycznych przestępców z królestwa Obojga Sycylii.

W głębi placyku, pod osłoną dachu, na granitowych filarach wspartego, stały armaty, przy nich kanonienierzy z boku, z każdej strony po czterech żołnierzy pod bronią. Przed bramą kolczastemi gwoźdźmi najeżoną do więziennego gmachu prowadzącą, chodził szyldwach. Jego ciężkie stąpania po granitowych płytach, odbijały się rozgłośnie i mąciły panującą tutaj ciszę.

Skądciś zjawił się podoficer i zbliżył do maszerującej przez placyk trójki. Zamienił parę słów z żołnierzem, który mu doręczył list, parokrotnie kołatką przy bramie poruszył, znać w umówiony sposób i zniknął za furką, którą jakaś niewidzialna osoba otworzyła przed nim.

Geza Czengary i Stach Wojtasiewicz, na placyku przed gmachem więzienym czekali bardzo długo.

Zmienił się wartownik u bramy, zmienili się żołnierze i artylerzyści przy armatach, oni wciąż stali, nie wiedząc po co ich tutaj przyprowadzono, nie mogąc domyśleć się co ich tu spotka?

Nikt do nich nie przemówił, nikt na nich nie patrzył nawet... Skądciś przyfrunęło stadko gołębi; chwilę na ramionach krzyża spoczęły, pogruchały, wysoko wzbiły się w błękity i znikły...

A oni wciąż stali, pod żarem promieni słonecznych, prawie prostopadle upadających na placyk.

Nagle otwarto bramę z takim rozmachem, że aż zatrzęsa się na wieżach.

Z gmachu wyszedł mężczyzna wysoki, z bujną, siwiejącą już czupryną i takim samym zarostem, suchy, z orderami przy mundurze majora.

Szyldwach i żołnierze sprezentowali broń.

Geza i Stach domyślili się, że ów mężczyzna jest komendantem twierdzy i najwyższym na Pantellarii dostojnikiem.

Major skinął. Towarzyszący mu podoficer zakomenderował:

— A v a n t i !

Geza, Stach i konwojujący ich żołnierz przymaszerowali i zatrzymali się przed majorem.

Żołnierz powtórnie sprezentował broń, cofnął się o trzy kroki w tył. Major utkwiał w Stachu i Gezie wzrok badawczy, zaczem zwrócił się do nich.

— Mój przyjaciel, kapitan Flocon,—przemówił głosem tak donośnym, jakgdyby całym puł-

kiem komenderował, — w tej oto missywie (palcami lewej ręki uderzył w list, który trzymał w prawej), pisze mi, że jakkolwiek jesteście cudzoziemcy, jednak rozumiecie po włosku i możecie się rozmówić.

Sklonili się głęboko, a Stach który brzydził się blagą i kłamstwem odpowiedział:

— Niewiele rozumiemy po włosku, a mówimy bardzo słabo, prawie że nic, excellencyo.

— Mniejsza o to, — zawołał major, — nie gawędziarzy tutaj potrzeba, lecz robotników pracowitych i silnych.

— Robotników! — wykrztusił Stach w najwyższym stopniu zdumiony i nie mogący się zorientować, w jakiej roli mają występować na tej wysepce.

Geza skarcił przyjaciela wymownem spojrzeniem i, szczęśliwie pokonywając trudności wysławiania się po włosku, mówił rezolutnie:

— Jesteśmy zdrowi, silni, chętni do pracy, excellencyo. Każdą robotę, którą excellencya łaskawie nam powierzyć raczy, wykonamy akuratanie i uczciwie.

Niefortunny wykrzyknik Stacha, bardzo źle usposobił majora, względem przybyszów. Badawczem, podejrzliwym spojrzeniem, zmierzał ich od stóp do głów... zapytał ich o narodowość i nazwiska, a skoro je wymienili, znać było z jego miny, że miano Węgra i Polaka, dotychczas było mu absolutnie obce... parokrotnie odczytywał list kapitana „Kadmei“... namyslał się... namy-

ślał, wreszcie machnął ręką i zwracając się do podoficera rzucił rozkaz krótki:

— Jutro zabrać ich do roboty. Teraz zaprowadzić do koszar.

— Według rozkazu! — salutując, odpowiedział podoficer.

Komendant odwrócił się i znikł za bramą, którą znów przed nim otwarto na ścieżaj.

Geza Czengery i Stach Wojtasiewicz odeszli z podoficerem.

To, co komendant Paolo di Rivoltella nazywał „koszarami“ było właściwie długą, prostokątną, wąską szopą, z nieheblowanych desek skleconą niedbale. Grube, żaglowe płótno, przytwierdzone do ścian stanowiło dach, niby wachlarz olbrzymi, każdym powiewem wiatru poruszany. Podłogę stanowiła granitowa skała.

Po obu stronach szopy były ustawione tapczany, po większej części przykryte kołdrami, które kiedyś zapewne były białe. W pośrodku szopy stały cztery kamienne gerydony, a w każdym rogu olbrzymie, wydrążone, kwadratowe, kamienie zastępowały stągwie do wody. Nie było w tej szopie, ani drzwi, ani oszklonych okien. Okna zastępowały wyrzniete w deskach otwory; podobne tylko znacznie wyższe i szersze były naśladownictwem drzwi. Na hakach wbitych w ściany, wisały męskie odzienia; sporo męskiej garderoby poniewierało się też niedbale rozrzuconej przy tapczanach. Porozrzucane też były na gerydonach kubki blaszane i także talerze, z resztkami



niedojedzonej strawy. Słowem: schronisko przeznaczone dla ludzi pracujących na Pantellarii było cuchnące, brudne, wstrętne.

Kiedy Geza i Stach weszli do tej budy, psy wylegujące się na tapczanach zaczęły wściekle naszczekiwać. Uspokojone przez podoficera, obwahały przybyszów, poczem zaczęły się łaścić, przymilać, wreszcie lizać ich po rękach i wspinać się na ich piersi. Było to pierwsze przyjazne powitanie, jakie Gezę Czengery i Stacha Wojtasiewicza spotkało na Pantellarii!

Podoficer wskazał młodzieńcom niezajęte tapczany, oddając je w posiadanie nowoprzybyłym i odszedł śpiesznie, zachęcając ich, aby się „wygodnie rozgościli w koszarach“.

— Co to wszystko znaczy? — przemówił Stach, kiedy pozostali sami — nie mam pojęcia, a ty, czy rozumiesz Gezo, co znaczy, to co nas spotkało?

— Ależ rozumiem! rozumiem, jaknajwyborniej. Wysadzając nas na Pantellarii, kapitan Kadmei wiedział, że my nie mamy pieniędzy, a tutaj rąk do jakichciś robót potrzeba. Więc postanowił nam dostarczyć zarobku, a jednocześnie zobowiązać komendanta, któremu nas jako robotników przedstawił...

— Lepiej żeby nas był potopił w morzu! — wybuchnął Stach.

— No! pozwól, że na to się nie zgodzę. Przemysłny to człek, ten kapitan Flocon! — zębami zgrzytnął Geza, po chwili namysłu ciągnął:—obe-

enie musimy, pojmujesz, chwilowo, musimy pogodzić się ze smutnym naszym losem, a skoro zbierzemy trochę grosiwa, bo chyba przecież, płacić nam będą... z pierwszej sposobności skorzystamy, aby się dostać do Francji. Ciekawe tylko do jakich robót nas użyją?...

Ta kwestya wyjaśniła się bardzo niedługo—kiedy po zachodzie słońca, do szopy zeszli się wszyscy robotnicy.

Byli to po największej części Sycylijczycy, sprowadzeni do mularskich i kamieniarskich robót w twierdzy. Naczelný inspektor więzień w królestwie Obojga Sycylii, zapowiedział był swój przyjazd na Pantelarię. Ponieważ termin przyjazdu dygnitarza był już blisko, przeto bardzo forsownie prowadzono reperacyę już mocno nadwątlonych murów twierdzy, a zarazem roboty w celach więziennych, rzeczywiście od niepamiętnych czasów nieodnawianych.

Geza Czengery i Stach Wojtasiewicz niezdatni byli do mularskich robót. Ale zręczni, wysmukli, silni, ciężkie granatowe płyty dygowali na wysokości ogromne; z wapnem i cementem wspinali się po sznurowych drabinach, wózki naładowane piaskiem, toczyli w górę po stromych, krętych ścieżkach nad przepaściami.

Dozorcy bardzo byli radzi z tych dwóch cudzoziemców, których niepotrzeba było do roboty naganiać i o ich pracy o inteligencyi ich niezwyklej pochlebne raporta składali komendantowi. Ze swej strony zaś Paolo di Rivoltella, listownie, ka-

pitanowi Falcony wynurzył swą wdzięczność za zwerbowanie tak wyjątkowo pracowitych robotników.

Tylko w niedziele i święta wypuszczano robotników z fortecy. Wymyci i wymuskani mularze i kamieniarze, w świątecznych ubiorach schodzili do miasta Pantellarii. Uliczki małej stolicy wyspy mającej całego obszaru 2 i $\frac{3}{4}$ mili kwadratowej już od wczesnego ranka w dni świąteczne rozbrzmiewały hałaśliwym zgiełkiem. W albergach były tańce, rozlegały się śpiewy i muzyka. Lecz wesołe zabawy zwykle kończyły się bójkami na noże. Uczestnicy każdej takiej coltellaty bardzo często otrzymywali rany krwawe, tak, że z sal tańca wprost trzeba było odnosić ich do szpitala.

Stacha i Gezę współtowarzysze pracy, z początku natarczywie angażowali do wspólnej pohulanki.

Grzecznie odrzucając wezwanie, podali rzetelne powody odmowy. Raz, że jako wygnańcy, mający wstęp do ojczyzny wzbroniony są przygnębieni bardzo i smutni i, nie byłiby zdolni tańczyć i weselić się narówni z innymi, powtóre że muszą każdy grosz oszczędzać, aby coprędzej zebrać fundusz na podróż do Francyi, do Paryża, gdzie już przebywają ich przyjaciele i krewni.

Te racje jednomyślnie uznano jako słuszne i, dostatecznie usprawiedliwiające odmowę.

Niedzielne popołudnia, kiedy Sycylijczycy bankietowali w mieście, wygnańcy Stach i Geza

przepędzali samotnie. Najczęściej Geza wyszukawszy sobie w skałach jaką chłodną i cienistą kryjówkę, otulał się płaszczem i wysypiał się po całotygodniowym znoju.

Stach siadywał nad morzem.

Śródziemne morze bardzo bywało zmienne. To ciemno-szafirowe, to jasno-błękitne, to błyszczące jak wypolerowana tafla złota. Czasem nad szafirową tonią, białe przejrzyste opary unosiły się niby długa, długa opona; ta wprędce rozdzielała się na drobne pasy, które znów zwijały się niby lekkie welony krepowe i zapadały w otchłanie morskie. Lubił też z innego punktu skały spoglądać na miasteczko Pantellarię, na wioski w żyznych dolinach wyspy, na wygasły wulkan, którego stoki amfiteatralnie pokrywały winnice i piękne gaje oliwne. I w miasteczku i w wioskach i w gajach, wszędzie — wrzała cała pełnia życia. Stach zapominał o swojej własnej niedoli, patrząc na tych ludzi rozśpiewanych, rozradowanych niefrasobliwie.

W obrębie fortecy panowała cisza, maconą tylko odgłosem stapań szyldwachów i trzepotem skrzydeł synogarlic i gołębi, przelatujących z gzymsu na gzyms budynków.

Raz, zbliżywszy się więcej niż zwykle do więziennego gmachu Stach usłyszał głos dziwny.

Czy to był śpiew przytłumiony?... czy śpiew przy wtórze jakiejś niedosłyszalnej muzyki?... czy recitativ jakiś?... czy deklamacja? trudno byłoby określić.

Głos był słabiutki, nikły, rozwiewny, a płynął, jakgdyby z pod obłoków, z wysoka... Chwilami przycichał i po krótkiej pauzie odzywał się znowu... Natężywszy słuch i uwagę Stach mógł wreszcie odróżnić i zrozumieć wyrazy:

Gli uomini sono fratelli *)
Tutti, tutti, tutti,
I poveri, e i ricchi
Tutti gli uomini
Sono fratelli, fratelli, fratelli.

Stach ogarnął wzrokiem kanonierów, armaty, uzbrojonych żołnierzy, szyldwacha, zakratowane okienka, zamczystą bramę żelazną...

Popatrzył na to wszystko i zaśmiał się ironicznie:

— Tak! tak! wszyscy ludzie są braćmi!... Masz rację kochanku! waryacie, bydlę bezmózgie, masz najkompletniejszą rację!

Wszystkie krzywdy doznane, wspomnienie bratobójczej bitwy pod Gdowem i straszne sceny rzezi galicyjskiej,—martyrologium całych narodów i jednostek,—to wszystko nagle ognistą, krwawą błyskawicą przemknęło przez głowę Stacha.

— Masz rację kochanku—powtórzył—wyjże

*) Ludzie są braćmi
Wszyscy, wszyscy, wszyscy.
Ubodzy i bogaci
Wszyscy ludzie
Są braćmi, braćmi, braćmi!

sobie do końca świata tę sentecję pewno z kaligraficznych wzorów zaczerpniętą.

Odszedł rozdrażniony w najwyższym stopniu...

Pogonił za nim przyciszony, rozwiewny, miły głos powtarzający:

Tutti gli uominisono fratelli! fratelli! fratelli!

Bardzo długo błakał się bez celu. Kiedy wszedł do szopy, wszyscy robotnicy już tam noclegowali. Czengery też już spał. Obudził go.

— Słuchaj Gezo — mówił — czy generałowie Benedeck i Haynau są twoimi braćmi?

— Do pioruna! właśnie wybrałeś odpowiednią chwilę do żartów.

— Pytam zupełnie seryo. Odpowiadaj.

— Ruszaj do wszystkich dyabłów, a mnie pozwól spać.

— To spijże śpiochu przebrzydły i niechaj ci się przyśni, że Benedeck i Haynau obejmują cię braterskim uściskiem.

Czengery już chrapał, z głową wsuniętą pod kołdrę.

W pewien czas potem Stach i Geza pracowali przy reperacyi bruków dziedzińczyka przed gmachem więziennym. Była to praca niezmiernie uciążliwa i mozolna. Przy upale iście tropikalnym, płyty granitu były rozpalone, jak żelazo w czeluści hutniczego pieca. Na plecy i głowy robotników słońce rzucało ogniste groty, od których jasne, grube, flanelowe koszule i słomiane kapelusze, z wielkimi rondami, niedostatecznie ich zabezpieczały.

Pył wznoszący się w górę, za każdym uderzeniem młotów wkładał się pod ciemne okulary pracujących i gryzł ich oczy, prawie oślepione słonecznym blaskiem i żarem.

Przy tym obezwładniającym upale, robotnicy jednak pracowali ze zdwojoną energią, do której podniętą było przyrzeczenie podwójnej zapłaty, oraz sutego traktamentu w gospodzie pod „Jelenim rogiem“, w całej Pantellarii słynącej, z najprzedniejszych win, najsmaczniej przyrządzanych potraw i z najobszerniejszej sali do tańca. Po między jednym, a drugim uderzeniem młota odzywały się refrainy piosenek miłosnych, urywki tanecznych melodyi. Przy frenetycznych wybuchach śmiechu wymieniano zdrobniałe imiona kobiece, zapewne imiona kompanek dzisiejszej zabawy, mającej, wraz z zachodem słońca rozpocząć się w albergo pod „Jelenim rogiem“. Oprócz Wojtasiewicza i Czengerego, wszyscy pracujący na tym dziedzińcyku, przeżywali radosne chwile, w oczekiwaniu niedalekiej zabawy i biesiady. Tylko Geza i Stach równie gorliwie pracując nie mogli brać udziału w tem rozradowaniu swoich towarzyszków.

Olbrzymi dzwon, pomiędzy dwoma kamieniami słupami zawieszony pod miedzianym daszkiem, zadzwonił donośnie.

Był to znak zawieszenia robót na dwie godziny.

Sycylijczycy całą gromadą pośpieszyli do „koszar“, na obiad, który jeden z nich przyrządzał

dla wszystkich. Geza i Stach pozostali Mieli z sobą figi, pomarańcze, chleb, lemoniadę. Nie był to coprawda posiłek dość pożywny, przy tak wyczerpującej fizycznej pracy, ale miejscowe potrawy, w dodatku przyrządzone i nieumiejętnie i w najwyższym stopniu niechlujnie, nie smakowały im, więc woleli poprzestać na wybornych owocach i chłodzącym napoju, przytem oszczędzając sobie utrudzającej wędrówki do „koszar“.

Słońce już cokolwiek swoją ognistą tarczę przechyliło po za wieżę, Stach i Geza rozciągnęci na bruku drzemali w tym waziuchnym pasczku cienia, które rzucało jedno ze skrzydeł więziennego gmachu.

Nagle ozwał się ten sam pół śpiew, czy recitativ, czy półdeklamacya:

Gli uomini sono fratelli
Tutti, tutti, tutti.
I poveri e i ricchi
Tutti gli uomini
Sono fratelli, fratelli, fratelli!

Stach się zerwał. Zupełnie był rozbudzony ze snu.

— A więc, nawet krótkie chwile wypoczynku, po istic bydlęcym znoju, przerywa mi i mąci ten jakiś niezmordowany głosiciel idei, która mnie z ojczyzny wygnała, która mnie wyzuła ze wszystkiego, co na tym świecie jest szczęściem, pomyślnością i dobrem. Ale kim jest ów niewidzialny propagator braterstwa ludzi?... Trzebaż się o tem dowiedzieć nareszcie.

Zerwał się Stach, na środek placyku skoczył, a ponieważ głos, jakgdyby z pod obłoków płynął, podniósł głowę w górę i ciekawy wzrok wlepił w szary, granitowy, tajemniczy fronton więzienia.

Podczas tej kontemplacji, zaledwie kilka minut trwającej, ktoś uderzył Stacha w ramię, obrócił nim jak frygą i przemówił:

— Niewolno stać przed gmachem więziennym.

Stach spojrzał zdziwiony.

Był to jeden ze znanych mu strażników, zasiadających ławki przed bramą żelazną. Pochmurny był zwykle, nieprzystępny, w tej chwili łąał zagniewany:

— Niewolno wpatrywać się w zabudowania więzienne, pod karą sześciomiesięcznego więzienia w ciemnej kazamacie, o chlebie i wodzie.

— Jako cudzoziemiec, nie wiedziałem o tym zakazie — tłumaczył się Wojtasiewicz, dodając że go wygląd więziennego gmachu nie interesuje bynajmniej. Pragnąłby tylko dowiedzieć się skąd pochodzi śpiew, który już słyszy powtórnie.

Strażnik się rozśmiał.

— Pewno: „gli uomini sono fratelli?”

— Tak właśnie. I któż to ciągle powtarza?

— Numer 59.

— Numer 59?... A nazwisko?

Strażnik wzruszył ramionami, rozłożył ręce, energicznie potrząsnął głową, na znak że nazwisko numeru 59 nie jest mu wiadome i raz jeszcze powtórzył:

— Niewolno zatrzymywać się przed gmachem więziennym. Niewolno wpatrywać się w gmach więzienny; pod karą sześciomiesięcznego więzienia, w ciemnej kazamacie o chlebie i wodzie. Takie są przedwieczne prawa u nas, na Pantellarii. Wyryj to sobie dobrze w pamięci, cudzoziemcze młody. I swojemu kompanowi powiedz o tem też.

Numer 59, ponad wszelką miarę zainteresował Stanisława Wojtasiewicza.

Kim był ów 59 numer?... od jak dawna w więzieniu na Pantellarii przebywał?... postanowił dowiedzieć się koniecznie.

Dla dopięcia tego zbliżył się do urzędnika, który w administracyi więzienia zajmował jakieś podrzędne stanowisko z bardzo lichem uposażeniem.

Signor Pasquale przepadał za winem, za wesołem towarzystwem i grą w arcaby. A ponieważ był niezamożny i zaledwie przy wielkiej oszczędności mógł koniec z końcem związać, przeto nie pogardzał kompanią robotników o ileby w tej kompanii znalazł się fundator napitków i, chętny partner do gry w arcaby.

Stach przez kilka niedziel z rzędu zapraszał signora Pasquala, do oberży pod „Jelenim Rogiem“ fetował go winem należycie, pozwolił mu wygrać w arcaby i tym sposobem niewielkim kosztem, a małym trudem pozyskał i przyjaźń i zaufanie urzędniczka.

Raz zrećźnie skierował rozmowę na numer 59. Lecz zdziwił się i zmartwił skoro signor Pas-

quale, nazwiska tego więźnia nie wiedział równie jak strażnik.

— Ale poczekaj młody forestiere — mówił urzędnik—poczekaj! W przyszłą niedzielę, powiem ci nazwisko tego 59 numeru; powiem ci nazwisko rodowe, imię ze chrztu i z bierzmowania (jeśli był bierzmowany) i wszystkie jego tytuły (jeśli miał jakie „na świecie“). Wszystkie wiadomości odemnie otrzymasz tutaj, w albergo pod „Jelenim Rogiem“, przy tym samym stoliczku, przy którym teraz siedzimy. Ale już czas na mnie wracać do twierdzy. Addio! i niech Bóg ma cię w swojej wszechmocnej opiece, cudzoziemcze młody!

W następną niedzielę, Stach stawiał się w oznaczonej godzinie i miejscu. I signor Pasquale nieomieszkał przybyć punktualnie, przecież strasznie kiepską i skonfudowaną miał minę. Usiadł przy stoliczku i zaczął od uzaleń, że mu czkawka od samego rana dokucza. Następnie długo milczał zadumany, wachlował się chustką. Wreszcie odchrząknął i zagaił rozmowę:

— Nie wiem czy ci wiadomo, cudzoziemcze miły, że w naszym pięknym i starożytnym gmachu więziennym, panuje zawsze chłód przejmujący... Czy ci to wiadomo?... powiedz proszę.

— Domyślałam się tego—odparł Stach.

— No widzisz! wszyscy ludzie mądrzy to odgadują... tylko wyobraź sobie: nasza zwierzchność nie chce dać temu wiary.

— Nie chce dać wiary?—wielkie zdziwienie udawał Stach—czy podobna?

— Nie „czy podobna?“ ale tak jest! ja ci to mówię, ja Pasquale!—zaperzył się człowieczyna.— A wiesz ty, cudzoziemcze młody, dlaczego zwierchność ignoruje chłód w naszym pięknym, więziennym gmachu?... Bo zwierchność może na koszt skarbu dowoli używać rozgrzewek. Więc, uważasz: na śniadania rosolio, przy obiedzie wino, do kolacyi—wino. I tak ciągle naprzemian: likiery i wina—wina i likiery. Tymczasem, człek pracujący ciężko jak muł, musi poprzestawać na cytrynach, pomarańczach i koziem mleku.

— „Rozgrzewka“ pewno pomoże panu na czkawkę? — rzekł Stach i kazał podać gąsiorek wina.

Signor Pasquale wzdychał, jęczał, postękiwał, nakoniec wysączywszy z gąsiorka ostatnią kroplę—rzekł:

— Pomimo chęci najszczerzej—a wierz mi cudziemcze młody, pragnąłem z całej duszy oddać ci przysługę, o którą prosiłeś. Mimo usiłowań moich, przecież nazwiska, o które ci chodzi, nie mogłem się dowiedzieć... Przewertowałem wszystkie księgi, od r. 1800 to jest od początku bieżącego stulecia, rozumiesz? i we wszystkich spisach więźniów, numer 59, figuruje tylko, jako numer 59. A jeszcze trzeba ci wiedzieć, że odkąd twierdza na Pantellarii istnieje, urząd który ja obecnie piastuję jest dziedzicznym w naszym rodzie. Syn bierze go po ojcu. A ja co się w twierdzy tutaj urodziłem, zawszem słyszał tylko: numer 59, więcej nic! absolutnie nic!

— Czybyś nie mógł signor Pasquale przepa-
trzeć księgi z przed r. 1800?—zapytał Stach.

— Idea!—wykrzyknął urzędnik, przecież zo-
ryentował się wprędce.—Chociaż nie! księgi z prze-
szłego stulecia. O! to, to nie!... one już są w archi-
wum, od lat zgórą czterdziestu... Zaś do archi-
wum się dostać!... Cudzoziemcze! nawetbym się te-
go nie podjął, za pięć butelek wina z Fiesole.

— A za dziesięć?

Signor Pasquale palcami potarł czoło, podra-
pał się w ucho, w łysinę dłonią klapnął spędzając
muchy natrętne i po długim namyśle przez zęby
wycodził:

— Za dwanaście butelek... tak!

— Niechaj będzie dwanaście. Racz signor
Pasquale, wynotować mi z ksiąg wszystkie szczegó-
ły dotyczące tego więźnia.

— Dobrze! ja dam notatkę — ty paczuszkę
z winem mi dasz—z ręki do ręki.

— Zgoda!

Signor Pasquale za dwa tygodnie dopiero zja-
wił się w oberży pod „Jelenim rogiem“.

Tym razem on oczekiwał spotkania.

Skoro tylko Wojtasiewicz wszedł i zbliżył się
do stolika, przy którym rozsiadł się Pasquale—ów
z tryumfującą miną pokazał mu złożony we czwo-
ro arkusz papieru.

— Ecco il foglio!—mówił żebyś zaś nie
przypuszczał, żem cię oszukał (bo i to mogłoby
się zdarzyć. Wszystko przytrafia się na tym świe-
cie) notatkę opatrzyłem pieczęcią, z datą w której

numer 59 przywieziono na Pantellarię. Pieczęć była w archiwum przy księgach.

Stach kupił dwanaście butelek wina z Fiesole, wręczył paczkę urzędnikowi, otrzymując w zamian wiadomość upragnioną oddawna.

Rozłożył papier i przeczytał:

„Numer 59: Ettore, Lucca, Enrico, Nicolino, Giuseppe, margrabia della Rocca, przeciw jego królewskiej mości królowi Ferdynandowi spiskował. Porozumiewał się z Francuzami. Kiedy z rozkazu francuzkiego jenerała Championnet'a, w Neapolu ogłoszono tak zwaną „rzeczpospolitą partenopeńską“, idąc na czele pochodu rebeliantów, niósł chorągiew z napisem: „L'ibertà, Fraternità, Egalità.“ Ujęty w r. 1799 został na dożywotnie więzienie skazany.“

Tak więc Ettore Lucca, Enrico, Nicolino Giuseppe, margrabia della Rocca, pięćdziesiąt lat już przebył w karceresie i miał pozostać w niem dopóki go śmierć oswobodzi.

Po przeczytaniu tej notatki Stach Wojtasiewicz postanowił zbliżyć się koniecznie do Hektora, margrabiego della Rocca. I dążył ku temu z cierpliwością i wytrwałością niezłomną.

Potroszę signor Pasquale, bardziej okoliczności dopomogły mu i to niedługo.

Do malarza mającego odnawiać cele wprosił się Stach na pomocnika, a że już dał się poznać ze swej pracowitości, zręczności, uprzejmości, nie potrzebował nalegać, owszem był najchętniej i najżyczliwiej przyjęty.

Na trzeciem, najwyższem piętrze cytadeli, przebywali skazańcy na bezterminową kaźń.

Owych lokatorów nieszczęsnych, na czas odnowień przeprowadzono do kazamat.

Tylko numer 59 w swej celi pozostał, za sprawą signora Pasquala. I raz w porze obiadowej, kiedy rzemieślnicy do „koszar“ odeszli, kiedy „zwierzchność“ w swoich wygodnie urządzonych mieszkaniach, w miłej sieście była pograżoną, kiedy na trzeciem, opustoszałem z lokatorów piętrze, żaden strażnik nie czuwał—signor Pasquale za cenę drugiej paczki wina z Fiesole—wpuścił Stacha Wojtasiewicza do celi pięćdziesiątego dziewiątego numeru.

Stach spodziewał się ujrzeć starca złamanego wiekiem i niedolą, dotkniętego lekkim obłędem, czy manią.

Tymczasem nie!

Pięćdziesiąty dziewiąty numer, czyli Hektor, Łukasz, Henryk, Józef margrabia della Rocca zachował na swoim obliczu ślady przedziwnej piękności, a w postawie, w obejściu zachował dystynkcyę i wytworność zazwyczaj cechującą ludzi wykształconych i do wyższych warstw społeczeństwa należących.

Musiał słyszeć jak zgrzytnął klucz w zamku, jak drzwi skrzypnęły na zawiasach, jak ktoś wbiegł do celi i szybkim, posuwistym krokiem zbliżał się ku niemu... przecież nie raczył ani się obejrzeć, ani odwrócić—i dopiero kiedy Stach impetycznie przypadł do niego—wstał i utkwiał w młodzieńcu

zdziwione, ale pogodne i zupełnie przytomne spojrzenie.

— Pięć minut, nie więcej możesz z pięćdziesiątym dziewiątym numerem rozmawiać, cudzoziemcze młody. Ja tymczasem z zegarkiem w ręku będę stał przeddrzwiami na czatach i skoro zapukam—umykaj! umykaj czempredzej. Gdyby cię przydybano w celi—no nie daj Boże! ciebieby wrzucono do kazamat, sotto terra, i jużbyś pewnie świata bożego nie ujrzał żywemi oczyma... a ja bym dostał dymisję... I stałaby się okrutna krzywda mnie, mojej żonie, moim biednym dzieciom maleńkim!... Coprawda, o żonę i dzieci jeszcze nie postarałem się dotychczas, ale... musisz przyznać, że w każdej chwili, gdybym chciał, mógłbym to uczynić... Więc, pamiętaj, pięć minut, nie więcej!

Tak perorował signor Pasquale przed wpuśzczeniem Stacha do celi.

W gorączkowych, bezładnych słowach, Wojtasiewicz opowiadał więźniowi kim jest, jakie sprawy aż na Pantallarię go przygnały i do tak ciężkiej, fizycznej pracy zaprzęły i czemu zapalał nieprzewyciężonym pragnieniem poznania go, Hektora della Rocca.

Więzień uśmiechał się pół smutnie, pół ironicznie, usłyszawszy że jego nazwisko już zapominiano tutaj.

— Pewno — zapomniano je też i w mojem rodzinnem mieście, w Neapolu;—mówił. — Z koła rodziny, przyjaciół, współdziałaczy mściwe ręce

wyrwały mnie w sposób tak gwałtowny, a zarazem tajemniczy, żem zniknął, przepadł, niby kamień w odmęty oceanu rzucony. Może... może... kiedyś jaki patryota szperacz, moje nazwisko z otchłani zapomnienia wyłowi i na kartach historii je zapisze... Chociaż to bardzo wątpliwie, a dla mnie zgoła obojętne... Niechaj giną działacze, niechaj imiona ich będą zapomniane, byleby idea braterstwa ludzi żyła promienna, cudowna, niepokalana!... Jak dawno jestem w więzieniu?... nie umiałbym określić... Straciłem miarę czasu, zgubiłem rachubę dni... Z początku ach! to już dawno... dawno... błagałem o pracę... o pracę, chociażby najznojnieszczą... Odmówiono mi... Nalegałem... ponawiałem prośby, a zawsze bez rezultatu. Przestałem prosić... Wegetuję niby roślina złamana i podeptana brutalnie... W mojej bezmocy krzewienia idei braterstwa, powtarzam frazesy któreś słyszał... Uważają mnie tu za waryata... Czy ja wiem?... może naprawdę jestem maniakiem, który wciąż żywi nadzieję, że jego głos trafi do czyjegoś serca, które tę ideę odczuje i wcieli ją w czyn... Twoje zainteresowanie się mną, twoje odwiedziny, to dowody, że się niezupełnie łudzę...

Signor Pasquale pukał coraz energiczniej i coraz częściej... wreszcie uchylił drzwi i łypiąc przeraźliwie oczyma, a wygrażając pięścią, głosem drżącym z niepokoju i gniewu mówił:

— W tem miejscu oto, gdzie wstęp dla obcych surowo wzbroniony, ty przebywasz już

trzydzieści minut... Wychodź natychmiast cudzoziemcze, wychodź, jeśli nie chcesz abym cię zasztyletował.

Stach ujął w objęcia Hektora della Rocca, i uściśnął go mocno... porwał jego ręce przywarł do nich ustami. Zaczem wypadł z celi łzami zalany...

— Jeśli się głośno rozbeczysz—a nawet jeśli natychmiast nie obetrzesz łez z oczu,—zaalarmuję straż.—Groził signor Pasquale, nie mając bynajmniej zamiaru, żadnej ze swych pogroźek wykonać.

Mimo to Stach Wojtasiewicz, siłą woli stłumił łkanie i mokry płatek przyłożył na oczy, aby nie było znać że płakał.

Przez kilkanaście dni z rzędu, Stach Wojtasiewicz, codziennie w południowej porze odwiedzał Hektora della Rocca.

Signor Pasquale, codziennie Stachowi groził „*coltellata*” zaalarmowaniem dozorców, dożywotniemi więzieniem *sotto terra*, ale mimo to wpuszczał młodzieńca do celi pięćdziesiątego dziewiątego numeru, trzymał straż przy drzwiach, i pozwalał na dłuższe rozmowy.

Wreszcie więzień i wygnaniec musieli rozstać się nazawsze.

Odnawianie trzeciego piętra było ukończone. Z podziemnych kazamat sprowadzano więźniów do cel, które zajmowali poprzednio.

Wykończający jakąś robotę Stach, widział pochód tych więźniów.

Wszyscy bez wyjątku, byli to polityczni skazańcy na dożywotni karceres, ludzie starzy, którzy najpiękniejsze lata swego życia strawili w tej cytadeli i, resztek smutnych dni swoich już dożywali. Chłód murów więziennych wyssał z ich ciał siły, energię, koloryt. Ich zwieńdłe, poorane zmarzczkami twarze miały barwę starej kości słoniowej, białka oczu mieli żółte, jak szafran, źrenice przygaste, spoglądali apatycznie, bezmyślne.

Dyszząc ciężko i pokastując dwójkami pięli się po wschodach.

Dwójkami, stąpając ostrożnie, cicho, jak ludzie od ruchu odwykli, szli przez korytarz i do cel, które przed nimi otwierali dozorczy wchodzili, nie żegnając współtowarzyszów, nawet nie patrząc na nich, wogóle nie patrząc na nic, ani na nikogo...

Widocznie wszelka indywidualność, wszelka samodzielność, najmniejszy odruch własnej woli był w tych ludziach przez długie lata stłumiony, zabity.

Po rozmowach z Hektorem della Rocca, po spotkaniu z owymi więźniami, opanował Stacha nastrój wprost rozpaczliwy.

Nocami miewał złudzenie, że od cytadeli dochodzą dziwne głosy i szmery, które przejmowały go trwogą i spędzały sen z jego powiek... Zdawało mu się, że od cytadeli dolatują westchnienia, jęki... że tam ktoś kona, boskiej i ludzkiej pomocy wzywając napróżno...

Że od cytadeli nadciągają widma, które nawet w grobach nie znalazły spoczynku i przy-

chodzą uważać się, uskarżać przed nim, otwierać przed nim krwawe rany swoich serc...

Po nocach bezsennych, po gorączkowych wizjach i hallucynacjach, Stach tracił siły, energię i zaczął poważnie zapadać na zdrowiu.

Raz, kiedy w niedzielę byli sami w koszarach zagadnął Gezę:

— Czy też zastanawiałeś się kiedy, mój drogi, co my na tej Pantellarii robimy?

— Chyba niema się nad czym zastanawiać,—rozmiał się Czengery—no! dźwigamy wapno, cement, piasek, wodę, dygujemy złomy granitu...

— Nie to mam na myśli,—przerwał Stach,—chciej mnie zrozumieć. Czy nie przyszło ci to do głowy, że my, my, którzy na innych terenach krew przelewali za wolność, tutaj restaurujemy i wzmacniamy mury więzienia dla tak zwanych, politycznych przestępców?

Czengery zgniótł trzymaną w ręku pomarańczę cisnął ją i zawołał:

— Do miliona dyabłów masz rację! Zaiste! to zdumiewające, że taka refleksja żadnemu z nas wcześniej nie skoczyła do głowy!

— Ano, zdumiewające, skoro przecież nie skoczyła?—trudno! co się stało, już się nie odstanie... Tylko według mnie, skorośmy się zorientowali w sytuacji, — dłużej pozostać tutaj nie możemy.

— Rozumie się, że nie! naturalnie że nie! spakować manatki, otrząść z nóg tutejszy pył i uciekać corychlej, corychlej!

— Czy nas zechcą zwolnić odrazu?

— Jakto nie zechcą? przecież nie zaprzędaliśmy się w niewolę!... Nie mają prawa!

— Prawo po naszej stronie, siła przy komendancie. Nie zapominaj! Wszelako mamy szczęście, w nieszczęściu, a mianowicie to, że chory. Każdy lekarz to poświadczy... Więc musimy przenieść się do miasta, ja, aby się leczyć,— ty, abyś się mną zaopiekował. Tymczasem obliczmy kasę.

Okazało się, że im wystarczy pieniędzy i na opłacenie przejazdu do Francji i na koszt pobytu w miasteczku, w oczekiwaniu okrętu.

Ponieważ roboty były już na ukończeniu, nie robiono im trudności, nie zatrzymywano ich dłużej, wypłacono im resztę należności i zwolniono odrazu.

Pożegnani życzliwie i przez „zwierzchność“ i przez współtowarzyszów pracy, odeszli.

Rzucając ostatnie spojrzenie na fronton cytadeli, Stach był pewien, że w jednym z okienek trzeciego piętra widzi delikatny profil Hektora della Rocca... i że goni za nim *vox clamantis*, niezmordowanie usiłujący w serca ludzkie wpoić przekonanie, że wszyscy ludzie są braćmi.

Droga do miasteczka Pantelarii od strony morza prowadząca, wężykowato szła pod górę.

Na jednym z jej zakrętów pośród cyprysów i piramidalnych topoli stał kościółek maleńki. W głównym ołtarzyku był tutaj wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku, wizerunek tutaj

nazywany: „Madonna in verde,“ a to z tej racyi, że obie postacie Najświętszej Panny i małego Jezusa, artysta malarz umieścił na tle zielonych kunsztownie splecionych liści i otoczył je wieńcami z zieleni. Nazwisko twórcy obrazu było nieznane, przecież musiał to być niepośledniej miary artysta.

Stach Wojtasiewicz, który z domu rodzinnego wyniósł pobożność prawdziwą, nigdy tego kościołka nie ominął, aby doń nie wstąpić.

Za przykładem przyjaciela, Geza Czengery, także do kościołka wstępował, pozwalając sobie na żarty, że jako kalwin, nie przychodzi naprzykrzać się swojami prośbami Madonnie, pragnąc jedynie, w przybytku Jej poświęconym podumać w chłodzie i błogiej ciszy.

Raz trafili na uroczyste nabożeństwo.

W kościołku były wprowadzie organy, nie było jednak organisty. Małeńka, uboga parafia nie mogłaby mu dać utrzymania.

Przeto trzech mali pfiiferari przygrywali na kobzach, akompaniując śpiewom kilku starych dewotek.

Po mszy proboszcz wstąpił na ambonę.

Sędziwy księżyna, w połataney komży, w załuszczonej sutannie, nie był bynajmniej znakomitym kaznodzieją, mimo to do nielicznych swoich słuchaczy przemawiał z głębokiem uczuciem i z silną wiarą dowodził, że Bóg nie opuszcza tych, którzy w Nim ufność pokładają i ludzkie

sprawy ku dobremu obraca, najczęściej wtedy właśnie, kiedy to jest najmniej spodziewanem.

Nie mocą swoich argumentów, ale siłą swej wiary, skromny kaznodzieja kojąco podział na rozbolełą duszę Stacha.

Księżyna skończył, zlął z ambony, przez zakrystę wyszedł, eskortowany przez najgorliwsze swoje parafianki, kościółek opustoszał zupełnie, a Stach wciąż w ławce pozostał z głową, w dłoniach ukrytą zatopiony, w gorącej modlitwie, o pomoc i ochronę od beznadziejnej rozpacz.

Kiedy zbliżali się ku drzwiom, z za filaru wysunęła się wysmukła postać niewieścia cała w bieli.

Geza Czengery, Stach i owa postać jednocześnie spotkali się przy kropielnicy.

Z szerokiego rękawa batystowej sukni, z falban i koronek wynurzyła się rączka... Umooczywszy delikatne paluszki, w święconej wodzie, krople, które na małych paluszkach zawisły, podała Gezie, potem Stachowi, przeżegnała się, i wyrzekła:

— Maria, Mater Dei, ora pronobis!

To mówiąc spojrzała najpierw na obraz Najświętszej Panny w ołtarzu, potem kolejno Stacha i Gezę obdarzyła spojrzeniem, przyklękła przed sanctus sanctorum, i wyszła.

Czengery i Stach pośpieszyli za nią.

Trzej pfiferari zatrzymali ją przed ko-

ściołem; przeto młodzieńcy mogli przypatrzeć się jej zbliska.

Była to młodziutka panienka, z twarzyczką ściągłą, delikatną jak płatki polnej róży, miała ciemne oczy i włosy, tej gorąco złocistej barwy, którą Tycyan uwiecznił na portretach patrycyuszek weneckich.

Rozmawiając z malcami śmiała się bardzo wesoło, przytem gestykulując bardzo żywo. Wydobyła z torebki garść drobnej monety i obdarzywszy nią chłopców pożegnała ich słowy:

— Do miłego widzenia, moi kochani muzykanci!

Miała w ruchach wdzięk i lekkość ptaszęcą. Śpiesznie dążyła do miasteczka, ubrana w przezroczystą, batystową suknię i w duży kapelusz z florenckiej słomki przybrany błękitnymi wstążkami.

Młodzieńcy ścigali wzrokiem postać pięknej panny, dopóki im nie zniknęła z oczu za zagięciem drogi wysadzanej topolami.

— Kto to może być? — w zamyśleniu wyrzekł Geza — w kościele obeszła się z nami, wedle obyczaju wieśniaczek, z chłopcami rozmawiała ludowem narzeczem, a przecież to nie jest dziewczyna z ludu, to jakaś patrycyuszka wykwintna.

— Przynajmniej, — odpowiedział Stach, — z urody i ze stroju ma wszelkie pozory patrycyuszki. Poczekaj! Dowiemy się zaraz.

— Chłopcy — zwrócił się do kobziarzy — znacie tę panią, która przed chwilą odeszła?

— Znamy doskonale—wykrzyknęli jednogłośnie,—to anioł!

— Anioł? — powtórzył Stach i rozśmiał się.

— Nie śmiej się!—zaindyczyły się chłopaki—cała Pantellaria poświadczy, że to co mówimy jest prawdą!

— Ależ ja wcale nie zaprzeczam, że ta pani jest aniołem,—usprawiedliwiał się Stach,—pragnąłbym tylko wiedzieć imię i nazwisko tego anioła.

— To signorina Giovannina di Rivoltella.

— Cóрка komendanta tutejszej cytradelli.

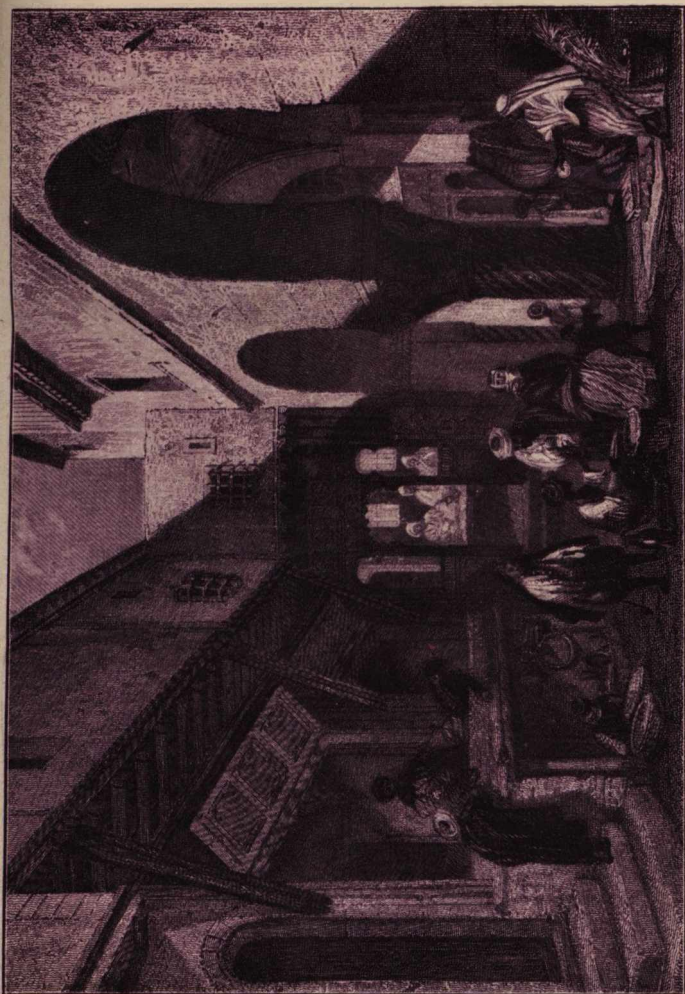
— Tak właśnie, jedynaczka ekscellency majora Paola de Rivoltella.

— Jakimże to sposobem się stało, że ten kwiat precudny wykwitł i żyje w tem sępiem gnieździe?—wykrzyknął Czengery.

— Mój kochany, — odrzekł Wojtasiewicz, — mamy dość we własnym losie zagadek do rozwiązania, aby sobie tą kwestyą głowę zaprzątać—najlepiej nie zajmuj się tym kwiatem, w sępiem gnieździe.

— Do licha z radami!—opryskliwie mruknął Geza. Pozostawiając Stacha dopędził kobziarzy i wraz z nimi oddalił się w stronę oberży pod „Jelenim rogiem!“

Ponieważ nie mieli w miasteczku znajomych i w ogóle Czengery nienawidział zawierać znajomości z ludźmi z niższej sfery, a również nie lubił pieszych wycieczek, — przeto Stach niepomiernie był zdziwiony, że Geza z ich mieszkanka codziennie teraz znika na



SKLEPY ARABÓW W ALGIERZE.



parę godzin. Przypuszczał, że może pod „Jelenim rogiem“ przypatruje się grającym w mora i pokrzepia się cienkuszem, które gospodarz oberży nazwał „vino della capra saltante,“ bo według jego twierdzenia ten trunek, nazwany „winem skaczącej kozy“ posiada czarodziejską własność wprawienia w wesoły humor tych wszystkich, którzy go używają często. Więc raz i drugi zaszedł Stach do oberży, ale Gezy tam nie zastał i nawet widocznie wcale tam nie był, skoro gospodarz zapytał:

— Co to porabia, wasz przyjaciel, że do nas teraz nie zagląda?...

Kilka razy Stach zauważył że Czengery powraca z nad morza, z pustkowi, gdzie oprócz poszukujących żeru mew, żadnej istoty żywej nie było.—Wycieczki te musiały być miłe Gezie, gdyż powracał do domu, w coraz to lepszym humorze. Aż raz zapytał Stacha:

— Czy ci wiadomo, że moja matka była katoliczką?

— Wspominałeś mi o tem.

— I to niezmiernie żarliwą i pobożną. Ponieważ w okolicy nie było katolickiego kościoła, matka, w naszym obszernym dworze urządziła kaplicę, gdzie codziennie nabożeństwa odprawiał kapelan, l'abbé Durier, którego wielka rewolucja francuska aż w nasze strony zagnała. L'abbé Durier uczył mnie łaciny, zaś przede wszystkim usiłując uczynić ze mnie papistę... No! to mu się nie udało, natomiast lekcye śpiewu i muzyki,

których mi udzielał, (przy moich nie chwalący się zdolnościach), świetny uwieńczył sukces. L'abbé Durier uczył mnie grać na organach. Mszę papieża Marcella, Stabat Mater, mnóstwo lamentacyi i hymnów Palestriny umiałem na pamięć i śpiewywałem je, przy swoim własnym akompaniamencie. To uszczęśliwiało moją, ukochaną matkę... Po jej śmierci, mój ojciec zagorzał kalwinista, kaplicę skasował, na moją prośbę pozostawiając organy. Trzeba ci wiedzieć, że uwielbiałem moją matkę. Muzyka, religijne katolickie hymny, wydawały się mnie węzłem mistycznym, łączącym moją duszę, z duchem matki... Nie podejrzewałeś mnie o uczuciowość i mistycyzm. Co?

— Bynajmniej.

— Myślałem, że podczas wojny i tych oparów, w jakie zapędziła nas akcja przegrana, cały Palestrina wywietrzył mi z głowy z kretesem... Wyobraź sobie: nie!... Przez te ostatnie dni przebywałem w pustkowiach nad morzem, próbując śpiewać... I co powiesz, mój drogi?... Ani jedna nuta, z tych utworów, którem umiał dawniej, nie uleciała mi z pamięci... Czuję, że byłbym zdolny w tej chwili zasiąść przy organach i cały mój instrumentalny i wokalny repertuar wykonać, z dawną precyzją i dokładnością.

— Winszuję ci.

— Szydzisz? Przypuszczasz, że się chętnie zarozumiałe?

— Broń Boże!

— A ty Stachu, śpiewywałeś dawniej?

— Jako uczeń należałem do szkolnego chóru. Później na wojnie, podczas biwaków urozmaicaliśmy sobie czas, śpiewając narodowe nasze pieśni...

— Jaki masz głos: tenor, bas, basso profundo?

— Zamyślasz urządzić koncert wokalny w Pantellarii?

— Inne mam projekty. Odpowiadaj przede wszystkim na pytanie.

— Bas.

— Cudownie:—właśnie basu potrzeba... zrobimy kilka prób.

— Czego?

— „Gloria in excelsis“ ze mszy Palestriny.

— Zamierzasz konkurować o posadę organisty, w kościółku pod wezwaniem: „Madonny in verdo“?

— Zamierzam piętnastego sierpnia, w dzień odpustu zagrać na organach i mszę Palestriny śpiewać, w tym kościółku podczas sumy.

— Także koncept z kalendarza!

— Z kalendarza, czy z brewiarza mniejsza! To pewna; że com postanowił zrobić! Więc nie szydź! nie perswaduj! a raczej dopomóż, abym stęsknione serce pokrzepił wspomnieniami osób ukochanych, których już nigdy nie zobaczę, czasów które bezpowrotnie minęły... Pozwól mi tutaj gdzie mnie znają, jako pociągowe bydlę robocze,

przedstawić się raz, jako człowiek wykształcony i utalentowany.

— Skoro to uważasz za potrzebne—skoro ci to ma zrobić przyjemność... Chociaż... słuchaj: prawdopodobnie już niedługo dobijemy się wreszcie do Paryża... możeby ten, twój instrumentalno-wokalny występ odłożyć i urządzić go, w którym z kościołów paryskich.

— Nie! nie! Stachu, to już zadecydowane, postanowione i tego instrumentalno-wokalnego występu, jakeś go nazwał, odkładać nie można.

Rzeczywiście Czengery grał na organach i śpiewał jak prawdziwy artysta.

Uszczęśliwiony proboszcz zaprosił Stacha i Gezę na plebanie, gdzie po sumie zebrali się wszyscy miejscowi notable z rodzinami: syndyk miasta, gubernator wyspy Pantellarii, komendant cytadeli Paolo di Rivoltella z córką Giovanniną, miejscowy krezus, signor Flavio, liwerant spożywczych produktów dla więźniów, paru kanoników i mnichów różnych reguł.

— Grałeś mój synu, jakgdyby sama święta Cecylia prowadziła po klawiszach twoje palce, — mówił proboszcz.—Taki tenor jak twój z pewnością nawet w kaplicy sykstyńskiej wywarłby wrażenie potężne. Czy kto z państwa temu zaprzeczy?

Nikt nie myślał zaprzeczać. Wszyscy jednozgodnie przyznawali, że owszem, owszem: śpiew i muzyka były w najwyższym stopniu artystyczne. Zaś liwerant Flavio, słowem uroczystem

zareczał, że gdyby „signor forestiere“ w Neapolu, w teatrze San Carlo zechciał wystąpić, zbierałby tam i złoto i brawa i laurowe wieńce i płomienne zachwyty dam.

Coprawda, w celu zdobycia zachwyty dam, Geza Czengery nie potrzebowałby, aż do Neapolu jeździć i, w teatrze San Carlo występować.

I na tej wysepce skalistej i w tej ubogiej plebanii wzbudzał je, aż nadto widocznie płomienne.

Geza Czengery był urodziwym mężczyzną, a strój węgierskiego szlachcica, który dziś przywdział, jeszcze tę urodę podnosił, nadając jej czar egzotyczny.

Damy otoczyły go kołem, badając szczegóły jego ubrania, dysputując o złocistych haftach i sobelach na jego atylli. Dla wielu z tych niewiast, rodzinna wyspa była całym światem, po za nią wszystko było im nieznane, obce. Futra na ubraniu widziały po raz pierwszy w życiu. Więc palcami dotykały soboli, zapytując o nazwę i cenę tego futra.

Czengery wprost nie mógł nadażyć odpowiadać, na tę masę różnorodnych pytań, jakimi młode dziewczęta i matrony go zarzucały. Skoro tylko zdołał szczęśliwie wydostać się z ich koła, zbliżył się do Giovaniny di Rivoltella, która trzymała się zdala od tej zgiełkowej i natarczywej niewieściej rzeszy, — przez swoją dystynkcyę i urok dziewczęcy pociągając go ku sobie.

W tem zgromadzeniu prezentacya była ce-

remonią wcale i nigdy niepraktykowaną, bo wszyscy znali się, żyjąc na maleńkiej, dwumilowej przestrzeni. Geza był wprost przez obecnych pytany o nazwisko. Skoro je wymienił, usiłowano obce dźwięki wymawiać prawidłowo. Bezskuteczne usiłowania były przyjmowane wybuchami śmiechu, od których aż trzęsły się wątle ścianki plebanii.

Geza przypomniał pannie di Rivoltella spotkanie przy kropielnicy w kościółku pod wezwaniem „Madonny in verdo.”

Była zdumioną i zaambarasowaną.

— O wybac signor,—usprawiedliwiała się uprzejmie,—wybac że cię nie poznałam...

— W tej metamorfozie robotnika, na węgierskiego szlachcica grającego na organach i śpiewającego mszę mistrza Palestriny. Niepodobna mieć o to pretensyi. Pewno nie raz jeden spotka mnie coś podobnego, bo sporo jeszcze upłynie czasu, zanim będę mógł swoje, dawne stanowisko odzyskać.

Opowiedział jej swoje dzieje minione, zwierzył się z projektów na przyszłość.

Słuchała uważnie, z nieudaniem współczuciem, bo często łyzy, jej precudne oczy zwilżały podczas smutnej opowieści Gezy.

Po południu na placyku pod cieniem cyprysów i topoli rozpoczęły się tańce, w których Stach i Geza nie brali udziału. Młodzież chcąc zaimponować cudzoziemcom, tańczyła z prawdziwą frenezią przy dźwiękach skrzypiec, mandolin i fletów.

Starsza, poważniejsza część towarzystwa pozostała na plebanii przy winie, owocach i słodyczach.

W otwartych drzwiach plebanii ukazała się nagle Giovannina di Rivotella.

Byстрыm wzrokiem objęła placyk, tańczące pary, a spostrzegłszy Gezę kołując przystąpiła do niego.

Była bardzo bladą, jej śliczne usteczka drżały, dygotały ręce, zmienionym głosem spytała Czengerego:

— Signor, czy dobrze władasz językiem francuskim?

— Jak rodowitym.

— Posłuchaj uważnie:—wyrzekła po francusku — spacerujmy, śmiejmy się hałaśliwie, gestykulujmy oddalając się od plebanii... ja nie mogę w tej chwili mówić, ty signor powiedz cokolwiek.

— Wypowiem to, co przemocą ciśnie się na moje usta. Wyznam, że równie uroczej istoty, jak ty, Giovannino—dotychczas nie spotkałem nigdy w życiu.

— Spotkasz niejedną.

Śmiejąc się głośno, ukosem spojrzała czy kto za nimi nie idzie.

— Flavio, wiesz? liwerant podsłuchał naszą rozmowę... powtórzył ją i syndyk, gubernator, mój ojciec, księża, wszyscy przypuszczają, że ty i twój przyjaciel, nie wygnańcy jesteście, ale... francuskie szpiegi... No! śmiejże się na Boga!

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Giovannina położyła rękę na ramieniu Gezy.

— Dzisiejszej nocy, mają was uwięzić, osadzić w cytadeli... w kazamatach. To postanowione.

— Ach! jakie to komiczne! jakie to komiczne! — po włosku wołał Czengery zanosząc się od śmiechu...

— Prawda?

Wachlowała się, zalotnie zwracając główkę ku niemu.

— Trzeba wam uciekać!—rzekła po francusku. Geza klasnął w dłonie i zaśmiał się.

— Żartujesz chyba. Dokąd?...

— Francuski okręt zatrzymał się przy Pantellarii, szalupa przywiozła listy na wyspę.

Wysunęła rękę z pod ramienia młodzieńca, przegięła wiotką figurkę i uczyniwszy kilka posuwistych kroków—mówiła wesoło.

— Patrz, signor tak się zaczyna tańczyć tarantelę. Jeślibyś chciał, mogłabym cię nauczyć...

Skłonił się bardzo głęboko.

— Skorzystam z łaski.

— Gdzie mieszkacie?...

— Wymienił ulicę w miasteczku Pantelarii.

— Daleko!

Obejrzała się płochliwie. Nikt na nich nie zwracał uwagi. Byli sami. Mówiła gorączkowo.

— Wracajmy. Wejdz do plebanii i wobec wszystkich powiedz, że pragnąłbyś tańczyć, ale ci zagorąco w tym stroju, który masz na sobie. Pójdiesz zmienić ubranie, wziąć lżejsze.

— Rozumiem.

— Uprzedź przyjaciela. Biegnijcie do waszego mieszkania. Włóżcie ubiór robotników. Malec, który grywa na kobzie, w kościółku... znasz go?...

— Lorenzo?...

— Lorenzo... doprowadzi was do przystani... wskaże łódkę, która was przewiezie na Kadmeę...

— Kadmeę?... kapitan tego okrętu — Flocon wyda nas.

— Kapitanem obecnie jest Berquin, mój krewny... moja matka była Francuzką. Lorenzo odda wam mój bilecik, doręczycie go Berquinowi. Przyjmie was jak braci. Zaręczam...

Gościniec w tem miejscu spuszczał się z wyniosłości i zwał się znacznie... Przez gałęzie topoli i cyprysów filtrowało się złoto-zielonawe światło. Szli jakgdyby przez tunel wykuty w malachicie.

— Przypuśćmy — rzekł Czengery — że uciekniemy...

— Uciekniecie niezawodnie!

— A z tobą, co się stanie Giovannino?... czy dla ocalenia nas, ty sama nie narażasz się na przykrości?

Rozśmiała się, tym razem szczerze.

— O! niech myśl o mnie nie zatrważa cię bynajmniej... Mój ojciec jakkolwiek Rzymianin, nie ma charakteru i cnót Brutusa. Gdyby nawet, co być może, domyślił się żem ja wam ułatwiła ucieczkę, ani mnie oskarży, ani nawet przedemną do tego się nie przyzna. Zawróćmy! już czas.

— Poczekaj, Nino, i wysłuchaj mnie. Gdy-

bym odzyskał zagrabiony mi majątek i wydarte stanowisko, lub, gdybym zdołał zdobyć inne, czy pozwalasz mi powrócić tutaj?

— Na Pantellarię, nie!... Ja u ojca przebywam rzadko i tylko chwilowo... Jabym tutaj umarła... Boże! w tym gmachu, obok cel tych niešťczęśnych więźniów... Stale, z ciotką mieszkam w Neapolu. Berquin wskaże ci dom i ulicę... Z Francyi napiszesz do mnie; doniesiesz o swoim i, twójego przyjaciela losie.

— Napiszę i doniosę. A, ty, czy nie zapomnisz o mnie Giovannino?

— Nigdy w życiu! Madonnę wzywam na świadka.

Pochwycił ją w objęcia, całował jej śliczne usta, oczy, włosy, przytulał ją do serca.

Po długiej ekstazie, Giovanina oprzytomniała pierwsza. Wyrывая się z jego objęć rzekła:

— Wracajmy!

Na placyku pod cyprysami zabawa wrzała w całej pełni.

Stach wbrew woli został w nią wciągnięty.

Dziewczyna, przezwana „fifa*)“ pochwyciła go za ręce. Najprzód w miejscu kręcili się w „młynka“, później naokoło placyku, coraz szersze zataczając koła wirowali... wirowali... przez przeciąg czasu, który Stachowi wydał się wiekiem. Usiłował uwolnić się, wyrwać się, z rąk dziewczyny. Daremnie! trzymała go jak w klesz-

*) Czajka.

czach... Aż wreszcie, z obłądnym wzrokiem, roz-
wichrzonemi włosami zatrzymała się—w pośrodku
koła widzów, jedną rękę Stacha mając jeszcze
w swej dłoni, drugą ujęła się pod bok krzycząc:

— Non abbiamo il capogiro!*)

Rozległy się frenetyczne oklaski i okrzyki:

— Brawo fifa! brawo, młody cudzoziemcze!

Ev viva!

Powracający Geza z Giovaniną bili też okla-
ski i wołali:

— Brawo! ev viva!

Czengery skinął na oszołomionego tym za-
wrotnym tańcem Stacha.

Weszli razem na plebanię.

Czengery uczynił jak mu Nina kazała. Uspra-
wiedliwił swoje odejście potrzebą zmiany ubrania.

— Duszę się formalnie — mówił — i dopiero
dziś odczuwam, jak bardzo niewygodnym jest mój
strój narodowy.

Zauważył, że gdy wymawiał: „mój strój na-
rodowy“ syndyk, gubernator major, liwerant i księ-
ża wymienili pomiędzy sobą porozumiewawcze
spojrzenia, a ktoś szepnął: „il capobandito!“**)

— I mój towarzysz również potrzebuje ubrać
się lżej, aby mógł w całej pełni zażywać rozkoszy
tańca sub Jove.

— Kiedyż panowie wróćcie, zapytał guber-
nator.

*) Nie mamy zawrotu głowy.

**) Herszt zbójców.

— Postaramy się wrócić jaknajśpieszniej. Jak długi urlop udzielają nam panie? zwrócił się do stojących obok dziewcząt.

Wybuchnęły śmiechem. Naradzały się szep-tem, poczem jedna wyrzekła.

— Na godzinę. P e r B a c c o !

— Dołożymy wszelkich usilności, aby jeszcze skrócić ten termin, odpowiedział Czengery,—tembardziej, że wysoko urodzona panna Giovannica di Rivoltella łaskawie przyrzekła, udzielić nam pierwszej lekcyi taranteli.

Komendant spojrzał na Giovanninę, uśmiechnął się pod wąsami i wyrzekł uprzejmie:

— Będzie to dla mojej córki zaszczytem i przyjemnością.

Czengery skłonił się głęboko.

— Jak się nazywa narodowy taniec węgierski?—zagadnął Czengerego jeden z mnichów.

— Czardasz, wielbny ojcie. W czardaszu odzwierciedla się ognisty temperament Węgrów—objaśnił po łacinie Geza, dodając że każdy szlachcic węgierski językiem łacińskim włada równie dobrze jak rodowitym. Na Węgrzech—mówił—z zapalem studyujemy literaturę klasyczną, a na dowód że tak, jest pozwolę sobie zadeklamować jedną z B u k o l i k Wirgiliusza, która mi właśnie na myśl przychodzi w tej chwili.

Znajomość łaciny, deklamacya Bukoliki jeszcze gorzej względem Czengerego usposobiły notablów, utwierdzając ich, w podejrzeniach co do szpiegostwa.

— Z każdego ruchu, z każdego spojrzenia, z każdego słowa tego młokosa znać, że on jest wyrafinowanym bezbożnikiem, a zarazem francuskim szpiegiem. Taki wyrok ci przenikliwi mężowie ferowali na Gezę po odejściu młodzieńców.

— Masz wdzięczność, masz podziękowanie za grę na organach, za śpiew, za mszę Palestriny. Masz rezultat ze swojej maskarady, ze swej jakieś ją nazwał „metamorfozy robotnika w węgierskiego [szlachcica“, — gniewał się Stach, kiedy w drodze do miasteczka, Czengery podzielił się z nim wiadomościami, które otrzymał od córki majora.

— Niech dyabli porwą twoje szalone pomysły i niedorzeczne koncepta! Zamkną cię teraz w podziemiu, które własnymi rękami porządkowałeś i bielileś, ty węgierski szlachcicu!

W przeciwieństwie do Stacha, Czengery był w najświetniejszym humorze i mówił:

— Tylko spokojnie! tylko się nie unoś, mój ty drogi socyuszu.

— Do licha z żartami! Bo już cierpieć za kraj, za wolność, za ideę jakąś podniosłą, — rozumiem! ale przez pyszałkowatość, przez chępliwość, przez prostą głupotę być wprowadzonym w otchłań, z której nas sam dyabeł nie wyciągnie...

— Wyswobodzi nas anioł, który ma imię Giovannina. Nie grymasz, nie swarz się ze mną.

— Zamilcz! do pioruna!

— Umiotyguj się Stachu. Będiesz mnie łażał, strofował, będziesz gderał, ile ci się tylko ży-

wnie podoba, teraz zbierz całą uwagę, wszystką przytomność umysłu i rób co ci powiem, — raczej to, co ona kazała.

Stach wyrzekał, kłął, ale już pocichu. Wpadli do swoich izdebek. Przebrali się; z manatków swoich porobili tobołki, które łatwo mogli ukryć pod płaszczami.

Przed domem oczekiwał ich Lorenzo.

— Kapitan już dostał list od anioła, wyszeptał i przygrywając na kobzie, wyprzedził ich, maszerując ku przystani. Nie spotkali nikogo.

Nad morzem wręczył Gezie maleńki pakietek mówiąc:

— To od anioła.

Rzucił mu się na szyję, ucałował go; podobnież Stacha ucałował, a skoro wsiedli do łodzi i wypłynęli na morze, wybuchnął płaczem i kłusem pobiegł ku plebanii.

Kapitan Berquin, z odkrytą głową przyjął, na pokładzie Stacha i Gezę i powitał ich temi słowy:

— Imieniem wolnego francuskiego narodu, braterskim uściskiem witam was, którzyście walczyli za wspólnie wszystkim, szlachetnym sercom drogą, ideę wolności.

Od wstąpienia na Kadmeę zaczęły się dla Czengeryego i Wojtasiewicza dni bezwarunkowej

swobody, spokoju, względnego szczęścia. Pierwsze dni takie, odkąd tułali się po ucieczce z Węgier.

Kapitan Berquin, ani chciał słyszeć o przyjęciu opłaty za przejazd i utrzymanie, mówiąc że posiadanie takich pasażerów jak oni, jest i zaszczytem dla niego i przyjemnością zarazem.

Uważani za gości upragnionych i miłych i traktowani odpowiednio obaj młodzieńcy odżyli; bo w szczęściu łatwo zapomina się o bolesnych przygodach, gdy natomiast wedle prawdziwych słów poety: „nic tak nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli“.

Pakiecik który Lorenzo na wybrzeżu wręczył Gezie, pochodził od panny di Rivoltella i zawierał staroświecki, złoty sygnet z rubinowym serduszkim które okalał, już cokolwiek zatarty, przecież jeszcze dość wyraźny napis: „triste, mais forte“.

Podarunek od Giovanniny wydawał się Czen-geryemu najdrogocenniejszym w świecie klejnotem. Ten sygnet stwierdzał, że panna di Rivoltella uważa się za narzeczoną Gezy, który już marzył o przyszłości cudnej i szczęsnej, w swoje projekty wtajemniczając Stacha.

— Te moje „kurye“ na Węgrzech, skonfiskowane przez Haynau'a, uważam za stracone na zawsze. Mimo to nie mógłbym nazwać się nędzarzem. Po matce posiadam, w Siedmiogrodzie, duże obszary ziemi, pomiędzy Wielkim i Małym Küküllo. Ojciec mój Siedmiogrodu nie lubił, te

majątkości były zawsze w dzierżawie. Matka rozporządzała dochodami. O ile mnie pamięć nie zawodzi, kontrakt ekspiruje niedługo. Dzierżawca był człowiek uczciwy i honorowy. Jestem pewien, żeby mi odesłał tenutę, gdyby wiedział gdzie mnie szukać. Już tam są raty z czasu wojny zaległe i tworzące poważną sumę. To bieda że nie mam sposobu z nim się porozumieć. Trzeba szukać sposobu, dania mu wiadomości o sobie.

Stach zaraz sobie przypomniał Uriela Orwietę, którego ajenci i w Siedmiogrodzie zakupywali wino. Więc rzekł:

— Wskażę ci kogoś, kto ci wyszuka twojego dzierżawcę i w twojem imieniu z nim się porozumie.

— Ogromnie będę ci wdzięczny, bo chociaż te siedmiogrodzkie dobra, nie żadna magnacka fortuna, zawsze przecież dochody mogą mi dać byt przyzwoity i niezależność. A to już wiele.

— Zwłaszcza dla takich, którzy jak my, oprócz porządnie już spracowanych rąk nic nie posiadają. Więc uzbrój się w cierpliwość, w twoim interesie napiszę do mojego znajomego byleśmy tylko dobili się do Francyi.

— Francya! Francya! powtarzali wygnańcy. Samo wymawianie nazwy tego kraju, wprawiało Stacha i Gezę, w błogość niewysławioną.

Francya!...

Oni o tej krainie myśleli i mówili z uniesieniem, z ekstazą.

I wkrótce mieli ujrzeć tę ziemię, którą z Polakami łączyło braterstwo idei i broni.

Tęsknili do Francji, jak ongi do Ziemi Obiecanej tęsknili Izraelici błakający się po pustyni... Wreszcie kapitan Berquin oznajmił im, że już jutro ujrzą Francję, że jutro zawiną do portu w Tulonie.

Całą noc spędzili bezsennie, wypatrując francuskich wybrzeży.

Jakgdyby na uroczysty dzień godów przywdziali szaty najlepsze i chwili wylądowania, oczekiwali z płomieniami w źrenicach, z radosnem biciem serc.

Kadmea zatrzymała się na pełnem morzu wprost handlowej przystani Tulonu.

Na okręcie zapanował ruch, wrzawa, biegania, ożywienie wesołe.

Jeden z podróżnych, młody chłopak powracający z Lewantu, całą siłą swoich zdrowych płuc zaśpiewał:

Ainsi ma chère, je m'en reviens,*)
D'un pays dont je me souviens
Comme d'un rêve.

De ces beaux lieux, où l'oranger
Naquit pour nous dédommager
Du péché d'Eve.

— F a r ç e u r ! zaśmiał się Berquin.

*) Alfred de Musset.

— Ależ to nie żaden Farçeur, uchowaj Boże! panie kapitanie, to Alfred de Musset panie kapitanie, skomponował tę piosenkę, — mentorskim tonem wtrąciła jakaś leciwa, krygująca się jejmość.

— Wiem, m a d e m o i s e l l e, nie mniej za lekcję dziękuję, — odparł Berquin i odwróciwszy się na pięcie wydawał majtkom rozkazy:

— Zwijać żagle chłopcy! zwijać zupełnie! bagaże pań i panów pasażerów znosić na pokład. Niechaj będą gotowe do rewizyi, aby ci panowie z komory nie czekali, co ich zawsze wprowadza w dyabło zły humor i szukają kontrabandy wszędzie, tam, gdzie nawet niema jej cienia.

Chłopak powracający z Lewantu widocznie miał jakąś urazę do wykrygowanej jejmości, bo stanął naprzeciwko niej i patrząc jej w oczy zaśpiewał:

Madame Fausseté

Madame, madamel

Ton nom est femme,

Femme, femme, femmel

— Czy to także skomponował Alfred de Musset, proszę m a d e m o i s e l l e?... Bo ja nie wiem, a chciałbym się też czegoś nauczyć, proszę m a d e m o i s e l l e.

To rzekłszy z koniecznym grymusem, czmychnął na drugi koniec pokładu, a lękliwa jejmość wrzeszczała jakby ją kto ze skóry odzierał:

— Gammin! Polisson! manvaise tête, coeur de brave!

W około pary mandolinistów, Neapolitańczyków w narodowych strojach, śpiewających piękne, ludowe piosenki, zebrało się grono słuchaczy.

Kapitan Berquin zainicyował dla nich składkę, która była obfitą.

— Il n'y a que le saltimbanques, qui font fortune, en France!—zgryźliwie mówiła owa, wszystko i wszystkich krytykująca stara panna.

— Mademoiselle ma racyę! proszę mademoiselle! krzyczał ten sam chłopak, który owej damie sprzeciwiał się przez cały przeciąg podróży. — Oh la! Oh la!

— Sale bête! wrzasnęła stara panna i doprowadzona do fury, pięścią pogroziła żartownisiowi.

Wygodnie na ławie rozparci małżonkowie okazałej tuszy, zabawiali się przypuszczeniami, czy w domu znajdują już stół nakryty i obiad zupełnie gotowy?

— Uprzedziłem Francillon, że przyjedziemy dziś o trzeciej. Ale czy to można być akuratnym kiedy się zależy od fantazyi celników?

— Ach! ci celnicy!—głęboko westchnęła pani, otrząsając się z oburzeniem.

Pan zaniepokojony, odwrócił się żywo, utkwiał w małżonce spojrzenie badawcze i przyciszonym głosem zapytał:

— Czy aby znów nie masz w kufrach ja-

kiej kontrabandy, za którąbym znów musiał „beknąć“?

Pani solennie upewniła małżonka, że tym razem nie ma w swoich walizach, ani strzępka, za któryby musiał „beknąć“.

Zaczem małżonkowie chwilę oczekiwania na celników, skracali sobie odgadywaniem, czy Francillon, dziś na obiad da im kapłona à la Vatel? czyli też indyczkę z truflami?...

Nietylko Kadmea i handlowy port tuloński był ożywiony ogromnie.

Tragarze wyladowywali towary i płody, które okręty handlowe, z odległych krain i z różnych części świata dostawiły tutaj na użytek Francyi.

Majtkowie wprowadzali w ruch windy, podnoszące w górę olbrzymie paki, które pod dozorem urzędników straż celna odwoziła do poblizkiego gmachu komory.

Różnojęzyczny gwar rozbrzmiewał, w tym zbiegowisku ludzi.

Tego dnia tłok był jeszcze spotęgowany przez tę okoliczność, że w klatkach żelaznych, opatrzonych kołami, wysadzono na wybrzeże olbrzymie afrykańskie lwy, małpy i bengalskie tygrysy, które sprowadził właściciel jakiejś menażeryi.

Natomiast w warownym porcie Tulonu, królowała zupełna cisza...

Mondovi. — Marengo. — Somo-Siera. — Friedland. — Arcole. — Austerlitz. —

Maréchal Lannes. — Général Lefebvre. — Desnouettes.

Oto: jakie przesławne miana nosiły olbrzymie okręty, które w wojennym porcie Tulonu spoczywały — groźne nawet w swej nieruchomości i budziły wspomnienia niedawnej, a prześwieatnej epopei Bonapartowej.

Ponad górą Pharon i kamiennemi bastyonami warowni, — ponad miastem i tym mrowiskiem krzątających się i pracujących ludzi, — ponad spokojnem morzem i wyniosłemi masztami wojennej floty — unosił się bezchmurny firmament koloru lapis lazulli.

Niežnośnie doskwierał dokuczliwy upał, niewiele złagodzony przez powiewy od kasztanowych i oliwnych gajów Prowancyi, od Alp Sabaudzkich i Pirenejów.

Słońce złociste groty rzucało na połyskliwe morze Śródziemne, w tej chwili gładkie, bez fal.

Z handlowej przystani wysunęły się dwie łodzie.

W jednej siedziało kilkunastu mężczyzn, w mundurach straży celnej.

W drugiej siedziało trzech urzędników policyi.

Łodzie z obwisłemi żaglami, posuwały się w kierunku Kadmei — ociężale, wolno. Po przejściu łodzi perliła się woda, wywołując wrażenie, że za łodziami ciągną się nanizane na sznury opale. —

Podczas rewizyi bagaży podróżnych na Kadmei, trzej urzędnicy trzymali się na uboczu.

Kiedy celnicy ukończyli swą czynność, najstarszy rangą urzędnik policyi zapytał kapitana:

— Kapitanie Berquin, czy są na Kadmei emigranci, mający zamiar wylądować i osiedlić się we Francyi?

A kiedy Berquin przedstawił mu Gezę Czen-gery i Stacha Wojtasiewicza, powitawszy ich bardzo grzecznie zapytał, czy rozumieją po francusku?

Otrzymaawszy odpowiedź twierdzącą, poprosił aby „raczyli“ wysłuchać tego, co im zakomunikuje „*au nom du Peuple français*“.

Następnie zawołał:

— Chut, mesdames!

— Chut, messieurs!

W tej chwili zaległo milczenie.

Urzędnicy zdjęli kaszkiety. Za ich przykładem wszyscy mężczyźni odkryli głowy.

Najstarszy rangą urzędnik rozwinął papier, który przywiózł z sobą i zaczął czytać. —

Zaczął od szumnego panegiryku, na cześć Francyi, która najpierwsza ze wszystkich ludów na swoim sztandarze wypisała: *Liberté, Egalité, Fraternité*, której historia zajmuje najpiękniejsze karty w dziejach świata, która od wieków, przodowała innym narodom cywilizacją, która wydała tylu genialnych wodzów i autorów, tylu wielkich artystów i znakomitych rękodzielników. Francya jest wielkoduszną i gościnną, do nieszczęśliwych i prześladowanych wyciąga

ramiona i ani serca, ani chleba im nie skąpi. Ale w ostatnich latach do Francyi tak tłumnie przybywają cudzoziemcy, że już nam, we własnym naszym domu stało się zaciasno. Przeto momentalnie, lecz tylko momentalnie, Francya zmuszoną jest zamknąć swoje granice dla tych, którzy ze swej ojczyzny zbiegli, chociażby z najbardziej podniosłych i najszlachetniejszych pobudek.

Od obowiązków gościnności Francya wszelako nie usuwa się zupełnie. Toby nie licowało z jej wspaniałomyślnością, więc emigrantom ofiarowywa gościnność w swoich afrykańskich posiadłościach, a mianowicie: w Algieryi.

Okręt wojenny „Marengo“ za dwa dni odpływa do Algieru. Rzeczpospolita emigrantom ofiarowywa miejsca na Marengo, oraz utrzymanie bezpłatne podczas podróży, 180 mil wynoszącej.

— Panowie emigranci (ukłonił się Gezie i Stachowi) raczą w przeciągu dwóch godzin zdecydować się, czy z gościnności ludu francuskiego korzystać będą.

— O decyzji panów emigrantów, kapitan Berquier zawiadomi, główne biuro policyi w Tulonie.

— W razie odmowy, panowie emigranci, raczą bezzwłocznie wybrzeża Francyi opuścić.

Urzędnik zakończył tę harangę okrzykiem:

— Vive la République!

Podróżni i załoga okrętu powtórzyli ten okrzyk, z niekłamany entuzjazmem.

Wszyscy zawołali jeszcze:

— Vive le Peuple français!

A kilka osób wykrzyknęło potem:

— Vive le président de la République.

Zaczem urzędnicy, pokładli kaszkiety i uściskiem dłoni pożegnawszy kapitana, Gezę i Stacha, zeszli do łodzi i odpłynęli w kierunku handlowej przystani.

Ten dekret zamykający przed emigrantami wstęp na ziemię francuską, niwecząc wszelkie nadzieje Czengeryego i Wojtasiewicza, wywarł na nich piorunujące wrażenie, które odbiło się na ich twarzach młodzieńczych, przed chwilą tak jasnych i rozradowanych.

Zewsząd zwróciły się do nich wyrazy współczucia.

Nawet stara, zgryźliwa mademoiselle zwróciła się do nich i dla zmanifestowania swych uczuć przyjaznych, ucierając nos hałaśliwie, powtórzyła parokrotnie:

— Pauvres jeunes gens! przyjmcie moją kondolencję, moją najserdeczniejszą kondolencję.

Powracający z Lewantu chłopak, który w ciągu całej podróży wojował z mademoiselle, przypadł teraz do Gezy i Stacha.

— Messieurs! — wołał energicznie, skoro lud francuski wydaje takie dekrety, jak ten, który tutaj przed chwilą, nam odczytano, to ja, chociaż jestem Francuzem i, pochodzę z ludu, utrzymuję przecież, że lud francuski jest głupi

i zły! Francya jest obszerna i bogata, i w naszym domu jeszcze nam nie zaciasno!

Dwie godziny... tylko dwie godziny zostawiono im do powzięcia stanowczej decyzji.

Położenie Czengeryego i Wojtasiewicza rzeczywiście było okropne.

Cóż mieli postanowić?...

Nie przyjąć gościnności republiki francuskiej w Algierii, to znaczy, że będą musieli bezzwłocznie opuścić wybrzeża Francji...

Tak! opuścić!

Jakim sposobem? — pytanie pierwsze.

Drugie: dokąd się udać?...

Na obadwa pytania niepodobna znaleźć odpowiedzi żadnej...

Na terytoryum włoskiem, wszak próbowali już szczęścia.

Do Konstantynopola powrócić?... Powrócić do roli tragarzy w porcie i tłumaczy w sklepach Turków na przedmieściu Galata.

I w dodatku ostatni grosz wydać na podróż powrotną.

Powrót na Węgry, dla Gezy znaczył: dobrowolne skazanie się na więzienie w celi wykutej w skale Kufsteinu lub do weneckich: „Sotto Piombi“.

A Stach Wojtasiewicz, co miał w perspektywie w razie powrotu do Ojczyzny?

Najprzód: długie więzienie w warszawskiej cytadeli, potem katorga, a jeszcze później osiedlenie na Syberii...

Nie mieli wyboru,... a nóż na gardle... Muszą pojechać do Algieryi.

Kapitan Berquin, zawiadomił główne biuro policyi w Tulonie, że dwaj emigranci Polacy: Stanisław Wojtasiewicz i Węgier Geza Czengery zdecydowali się przyjąć gościnność Francyi, w jej posiadłościach afrykańskich, a mianowicie w Algieryi.

Po takiej deklaracyi rządowa szalupa powinna była odstawić ich na okręt wojenny.

Kapitan Berquin swoją osobą i majątkiem swoim zaręczył, że Czengery i Wojtasiewicz nie zbiegną na ląd francuski, pozwolono im tedy pozostać na Kadmei, aż do chwili odpłynięcia okrętu Marengo, z przystani warowni Tulonu.

Kapitan Berquin przyrzekł, że na zimę przywiezie do Algieru Giovaninę di Rivoltella z ciotką.

— Jestem jednym z opiekunów Giovanniny i moja w tem głowa, że się niedługo pobierzecie. Major Paolo di Rivoltella nie wiele troszczy się o córkę i, nie będzie stawiał przeszkód przeciwko waszemu związkowi. — Komendant jest rygorystą krańcowym. — Niegdyś z żoną, obecnie z chwilowo przebywającą u niego córką, często bywa w poróżnieniu o to, że z politycznymi więźniami w cytadeli Pantellarii obchodzi się wprost z drańskim okrucieństwem; nie robi im nigdy ulg żadnych, nawet takich, które wyłącznie od jego dobrej woli zależą. Giovannina, po matce odziedziczyła najżywsze współczucie dla wszystkich

nieszczęśliwych i prześladowanych, za swoje przekonania polityczne. Tem współczuciem, tłumaczy się, żeś pan szturmem zdobył jej serce.

Tak mówił Berquin, a Geza promieniał z radości.

Krew wrzała w nim kipiátkiem, na wspomnienie tej przelotnej chwili, kiedy uroczą dziewczynę trzymał w swoich objęciach, kiedy całował jej różane lica, jej złote włosy, jej precudne oczy i usta; kiedy jej wiotka kibić gięła się w jego uścisku, kiedy Giovannina przytulała się do jego piersi...

Podczas, kiedy Czengery, tonął w tęczyowych marzeniach, Stach pisał listy do rodziny, do Uriela Orvietty, którego prosił, o wywiady w sprawie majątności Gezy na Siedmiogrodzie.

Kapitan Berquier zobowiązał się listy wyeksperydować, i odpowiedzi, które miały być do niego adresowane przywieźć do Algieru.

Kadmea wciąż krążyła po morzu Śródziemnem i wodach przyległych, od Konstantynopola, do francuskich portów śródziemnomorskich.

Z kapitanem Berquier, Czengery i Wojtasiewicz zwiedzili, co było godnem widzenia w Tulonie: muzeum żeglarskie, plac *C h a m p - d e - B a t a i l l e*, z wyżej wspomnianym gmachem, w którym się mieściły biura zarządu marynarki; zwiedzili też ogród botaniczny, obserwatorium i publiczną bibliotekę, w owym czasie, szesnaście tysięcy tomów zawierającą.

Po dniu mile spędzonym w Tulonie, mło-

dzieńcy wracali na Kadmeę bardzo wesoło usposobieni.

W porcie, jak zwykle, panował ruch gorączkowy.

Jakiś okręt właśnie miał odpłynąć, z ładunkiem francuskich towarów do Nowego Jorku.

Naokół ogromnego żaglowca krążyło mnóstwo małych bark, w których mieścili się ci, którzy pragnęli jeszcze ujrzeć i pożegnać puszcujących się w tak niebezpieczną i daleką podróż.

W jednej barce były same młode wieśniaczki. Jedna bardzo urodziwa ponsową chustką powiewała ku okrętowi śpiewając:

„Au revoir!
Au revoir!
Grégoire.

Souviens toi
De moi!

A toi de coeur
A toi de tout coeur
Prosperé“.

— Szczęśliwi, kogo żegnają piosenką!—westchnął Stach i melancholijny jego wzrok pogonił w dal, przesunął się ponad portem, nad miastem i zatrzymał się aż, na leciuchnej, szaro-fioletowej linii, znaczącej na horyzoncie sosnowe lasy Grateloup. —

Z tęsknej zadumy wyrwał go brutalny głos:

— Circulez, canaille! — Ne vous arrêtez pas, sales brutes!

Jednocześnie, tuż za uchem Wojtasiewicza rozległ się świst bata.

Obrócił się i, ujrzał tuż obok siebie mężczyznę olbrzymiego wzrostu, z ogromną kędzierzawą głową, z niskiem, w tył głowy przechyłonym czołem, z twarzą napiętnowaną okrucieństwem dzikiem, z zębami jak u buldoga, wysuniętymi z warg wraz z dolną szczęką.

Trzymał on w ręce bat długi, ze skórzanej pletni, którym wymachując, krzyczał głosem tak jednostajnym, jakgdyby był maszyną powtarzającą wciąż jedno i też same połajania i obelgi:

— Circulez canaille! Ne vous arrêtez pas brutes!

— Kto to jest? — zapytał Stach stojącej obok siebie dziewczyny.

C'est un de gardes-chiurmes, monsieur, — odparła.

— Gardes — chiurmes?... cóż to jest?

— Dozorca galerników, proszę pana, — o h! les voilà, les voilà, les forçats!

Mężczyźni różnego wieku, w czerwonych flanelowych koszulach, a zielonych czapkach, z grubego filcu, zaledwie osłaniających ich, przy skórze strzyżone włosy, ciągnęli wózki nadmierne wyładowane bryłami granitu, które okręty dostawiły do Francyi, z jakiejś odległej, północnej krainy. Mielł oni saboty, na nogach obnażonych

do kolan i kajdany, które prawą nogę jednego skuwały, z lewą nogą towarzysza.

Wózki ciągnęli za pomocą przewieszonych przez ramię sznurów, które wrzynały się w ich nagie karki pozostawiając na nich krwawe i sine pręgi.

Tych wózków ciągniętych przez owych uznanych ludzi, był długi, bardzo długi szereg, dozorowany przez kilkunastu *gardes-chiurmes*, po obu stronach nadbrzeżnej uliczki stojących w ten sposób, że jeden widział i, mógł w razie potrzeby, natychmiast zaalarmować drugiego.

I ci, skuci z sobą ludzie, pod tym rozpалonym firmamentem, przed wylękłym Stachem przesuwali się niby piekielny pochód mar, z jakiejś Dantejskiej wizyi.

Chociaż zdumiony i wylękły musiał jednak Stach spostrzedz, że w tych parach, jeden zwykle był kościsty, muskularny, o rękach, nogach i karku grubym, ordynaryjnym, o wyrazie twarzy wprost zezwierzęconym, drugi przeciwnie: węższej budowy, z twarzą o rysach delikatnych, a chociaż ból fizyczny wykrzywiał ją i zasępiał — przecież to oblicze otaczał jakiś majestat ogromny, jakiś nimb męczeństwa, przed którym każdy człowiek rozumny i uczciwy musiałby, z uszanowaniem pochylić głowę...

Opodał kapitan Berquier rozmawiał z jakimś wojskowym.

Stach zwrócił się do Berquier'a, z zapyta-

niem, kim są ci ludzie pełniący służbę zwierząt pociągowych?

— Właśnie pan pułkownik, może raczy udzielić panu informacyi dokładnych, — rzekł kapitan i jako swojego przyjaciela przedstawił Stacha wojskowemu.

— Z przyjemnością, — z ukłonem odpowiedział pułkownik i powtórzył to, co już Wojtasiewiczowi powiedziała zagadnięta przez niego dziewczyna.

— To są galernicy na ciężkie roboty skazani, w naszej warowni.

— Czy zawsze są kajdanami skuci we dwóch?

— O! nie, tylko na dzień podczas robót i poza obrębem kazamat...

— ?

— Aby im utrudnić ucieczkę. Nie jeden z tych łotrów, a zwłaszcza z tak zwanej „szlachty“, gotówby nawet w morze się rzucić, byleby uwolnić się od zasłużonej kary. Zdarzały się takie wypadki. Dawniej, nawet dość często... Teraz się to nie przytrafia. Bo gdyby nawet jeden przestępca miał inklinację do samobójstwa — to skutą z nim razem towarzysza do tego nie dopuści.

— Bardzo to mądrze obmyślane, — bąknął Czengery.

Pułkownik pokręcił węża, widocznie zadowolony z pochwały cudzoziemca i rzekł:

— Nieprawdaż? to mój własny pomysł!

— Racz mi łaskawie wytłomaczyć panie pułkowniku,—wyrzekł Stach w zamyśleniu, — tę różnorodność typów, jaką się pomiędzy tymi ludźmi widzi. I to jakgdyby wprost przeciwne sobie typy, były w tych dwójkach skojarzone umyślnie.

— Bo też faktycznie tak jest. Ci którzy dopuścili się pospolitych zbrodni, no! powiedzmy poprostu: kryminaliści są skuwani z innego rodzaju zbrodniarzami. Raczcie panowie zwrócić uwagę, na zbliżającą się do nas dwójkę... A co?.. przypatrzyliście się im dobrze? Ten ocieślały olbrzym, który oprócz zewnętrznego wyglądu nic w sobie nie ma ludzkiego — to Prowansalczyk, był nawet względnie zamożnym rolnikiem.

Córka, umyślnie przyjechała w celu odwiedzenia go. Nazwoziła mu prezentów i łakoci, on zaś, wyobraźcie sobie panowie:—on ją zarznął, aby jej zabrać pieniądze, które na służbie w Paryżu zarobiła i dał je swojej kochance, — ulicznicy. Skazany na dożywotnie ciężkie roboty. Ten drugi, wąły, prześliczny paniczek...

Do pułkownika przystąpił oficer i salutując wręczył mu jakiś zapieczętowany pakiet.

Pułkownik spojrzał na adres, na pieczęcie i rozkazał podoficerowi odnieść pakiet do swojego mieszkania.

— Wybacz panie pułkowniku, że go utrudzę zapytaniem jakiej zbrodni dopuścił się ów wąły towarzysz Prowansalczyka? — znów zapytał Stach.

— Aha! ten?... Spiskował przeciwko Rzeczy-

pospolitej, — odrzekł pułkownik i gniew błyskał w jego źrenicach. —

— Nasz piękny, republikański sztandar chciał zastąpić szmatą z burbońskimi liliami... Chciał „potomków św. Ludwika“ na tronie Francyi osadzić... Niechże go teraz św. Ludwik, z galer tulońskich uwalnia! — zaśmiał się pułkownik, rad ze swojego dowcipu.

— Więc i tu, więc i we Francyi, głosiciele wolności, której panowanie powinnyby być ustalone i trwałe... Więc i tu za przekonania polityczne trzeba pokutować, tak srogą katuszą... Matko Boska Częstochowska! wykrzyknął Stach, oburącz chwytając się za głowę.

Pułkownik cofnął się zdziwiony tym krzykiem.

Kapitan Berquier, chociaż nie zrozumiał słów, przecież odgadł ich znaczenie i przeląkł się skutków, jakieby dla Stacha wynikły, gdyby to po francusku powtórzył.

— Mój przyjaciel pochodzi z kraju, gdzie jest więcej niż chłodno... Lękam się czy nie uległ *coup de soleil*. Piekielny bo dzisiaj mamy upał!—rzekł i naprędce pożegnawszy pułkownika, uprowadził Stacha do szalupy, oczekującej na nich w przystani. —

Już właśnie okręt udający się do Nowego Jorku odpływał.

Kilku muzykantów na pokładzie grało „Marsyliankę“.

Niewybrewnym dźwiękom muzyki, towarzyszył wtór pasażerów i okrętowej załogi.

Małe barki, od boków olbrzyma, gdy ruszył, rozpieńczły się po morzu.

Z tej barki, skąd niedawno ulatywał śpiew pięknej wieśniaczki, teraz unosiły się rozpaczliwe krzyki przeszywające powietrze.

— *A u r e v o i r, G r e g o i r e!* — łkając wołała Prospera — *a u r e v o i r!*

Nic bardziej do Republiki francuskiej nie mogło rozczarować Czengerego i Wojtasiewicza, niżli owo spotkanie ze skazańcami na ciężkie roboty w warowni Tulonu, oraz informacye, których im udzielił pułkownik.

Przejęci zgrozą i oburzeniem, byli zrozpaczeni, że nie mogą zrzec się gościnności bardzo problematycznej.

Czuli, że owa gościnność jest nieszczerą, że nawet nie mogą być pewni, czy ich rzeczywiście do Algierii zawiozą?...

A to ofiarowanie gościnności w Algieryi może perfidją jest tylko?... zdradą?...

Może z „Marengo“ wyrzucą ich na jaki łód bezludny i dziki?... lub przynajmniej jeszcze mniej gościnny, niżli Francya?...

Któż mógłby zaręczyć, że tak nie będzie?...

Wszelako nie mając nietylko lepszej, lecz żadnej innej, nie mając perspektywy przed sobą — musieli w tę podróż, o niepewnym celu wybrać się skoro tylko wezwano ich na „M a r e n g o“.

Kapitan Berquier odwiózł ich sam. Zwierzchności okrętowej gorąco polecił ich, jako swoich osobistych i najlepszych przyjaciół.

Ponowił przyrzeczenie wyeksperymentowania pewną drogą listów do Polski. Ponowił przyrzeczenie przyjazdu na zimę do Algieru. Gezie przyobiegał rychłe wiadomości, od Giovanniny di Rivoltella. Krzepił nieszczęsnych emigrantów nadzieją szczęśliwszej przyszłości. Upewnił ich o swojej niezmiennej przyjaźni, której zresztą tyle złożył dowodów i w szalupie płynął za „Marengo“ — aż okręt rozwinąwszy żagle, przy pomyślnym wietrze z portu rychło wyostał się na pełne morze.

Marrons glacés! Marrons glacés!

Ohé! Messieurs les officiers! messieurs les sous officiers!

Marrons glacés! Marrons glacés!

Tak wywoływała, a właściwie monotonnie wyśpiewywała dziewczyna, chodząc po najgłośniejszej w owej epoce ulicy Algieru: Bab-Azou n-Bab-èl-Oued, przed kawiarnią pod: „Okretem pustyni“.

Co zaś nazywano „Okretem pustyni“, wyjaśniał olbrzymi szyld, na którym wcale ładnie wymalowany był, wielbłąd na swoim garbatym grzbiecie niosący jeźdźca, ku oazie ożywionej zielenią, źródłem i palmami.

W rzęsisto oświetlonej kawiarni, o ścianach szklanych, w tej chwili rozsuniętych zupełnie, pomiędzy lekkimi, jaskrawo pomalowanymi pilastrami, przy marmurowych stolikach siedzieli oficerowie ze sztabu generała Saint-Armaud.

Przy czarnej kawie i sorbetach gawędzili wesoło nie zważając bynajmniej, na wołania dziewczyny:

Ohé! messieurs les officiers! messieurs les sous officiers!
Marrons glacés, marrons glacés!

Dopiero dziki wrzask dziewczyny:

— Arrière, mannants! bourgeois! arrière! bo strzele! jednego z najmłodszych oficerów wywabił na ulicę.

Lecz na ulicy było zupełnie ciemno; snuły się tylko jakieś postacie niewyraźne.

— Citoyenne Amande, — śmiał się oficer, kogoż to tak maltretujesz?... komu wymyślasz od prostaków i mieszczuchów.

Z cienia wyłoniła się i w krąg światła weszła dziewczyna, w stroju markietanki, z wojskowym kaszkieciem na obciętych i w drobniutkie pukielki ufryzowanych włosach. Przystojna, drobniutka, fertyczna, prawdziwy typ francuskiej subretki, dziewczyna w jednej ręce trzymała wyciągnięty z za pasa pistolet, drugą podtrzymywała lekką, drewnianą tackę na różowych wstążkach zwieszającą się od jej szyi, a pełną, w cukrze osmażanych kasztanów.

— Podporuczniku, Adryanie Colombet, — odparła zainteresowana dziewczyna, pistoletem wskazując dwóch opodal stojących mężczyzn. — Ci oto cywile, bezprzestannie włożą mi w drogę. Skarć ich, proszę.

— Czy tylko ty jedna, obywatelko, Amando, masz prawo, czyli też wyłączny przywilej, chodzenia po ulicy Bab-Azoun-Bab-él-Oued? — za-

pytał jeden z mężczyzn, obadwaj zaś przysunęli się do podporucznika Colombet, ów rozśmiał się wesoło.

— *A vrai dire*, oficjalnie ta ulica nie została jeszcze oddaną w posiadanie obywatelce Amandzie. Ale czemu zaczepialiście ją?... I coście za jedni?

— Przedewszystkiem najsilniej bronimy się od zarzutu, jakobyśmy zaczepiali obywatelkę Amandę i stanowczo zaprzeczamy temu. Owszem: obywatelka Amanda przechodząc mimo potraçała nas za każdym razem. My, jako damie, grzecznie ustępowaliśmy z drogi, — odpowiedział ten sam, który już przemawiał poprzednio. — Cośmy za jedni?... Oto: z Tulonu przybyliśmy na wojennym okręcie „Marengo“. Wyładowaliśmy przed dwoma dniami. Pragnęlibyśmy z inżynierem panem Raulem Serret pomówić w sprawie wspólnie nas obchodzącej. Powiedziano nam, że pan Serret przepędza dzisiejszy wieczór w kawiarni „pod okrętem pustyni“. Więc oczekujemy na jego wyjście. Oto i wszystko.

— Co słyszę!... Więc to tak było!—śmiał się podporucznik Colombet. — W takim razie, nie kto inny, lecz ty obywatelko Amando, powinnabyś być pociągniętą do odpowiedzialności, sądzoną i ukaraną surowo za fałszywy alarm.—Oznajmie inżynierowi Serret, że go oczekują dwaj interesenci—dodał, zwracając się do mężczyzn i wrócił do kawiarni, pogłaskawszy pierw zachmurzoną

twarzyczkę Amandy, która wsunęła pistolet za pasek i mrużąc: *mannants! bourgeois!* rozpoczęła swoje krążenie po ulicy.

Wprędce pojawił się inżynier Serret.

Badawczem spojrzeniem zmierzył obu mężczyzn i rzekł, że radby wiedzieć, co to jest za wspólnie ich i jego obchodząca sprawa, o której wspominali podporucznikowi Adryanowi Colom-bet?

Wówczas ten, który rozmawiał poprzednio z podporucznikiem odezwał się:

— Wczoraj przechodząc około tej kawiarni, słyszeliśmy, że uskarżałeś się, panie inżynierze, na brak rąk potrzebnych przy budowie szosy wskrós pasma gór Mały Atlas. Pan potrzebujesz rąk do pracy, przychodzimy ofiarować nasze zdrowe, młode, silne ręce kierowane inteligencją i chęcią najgorętszą wywiązania się dobrze z przyjętych dobrowolnie obowiązków.

Mężczyzna wysławiał się poprawnie. Mówił z zapałem, ale bez afektacyi. Z powierzchowności obydwóch petentów znać było, że należą do wykształconych, wyższych sfer społeczeństwa.

Inżynier Serret przypatrywał im się zdumiony. Po chwili namysłu powiedział wolno:

— Czy propozycję panów mam uważać jako żart niewczesny, czyli traktować ją seryo?

— Najzupełniej seryo, panie inżynierze.

— W takim razie proszę panów za mną. Na ulicy nie możemy, wszak, ukończyć interesu. Bę-

dę prosił o szczegóły dotyczące panów i, o wyjaśnienie motywów, które skłoniły ich do poszukiwania zarobków na terenie, pozwólcie mi panowie być szczerym, na terenie, moim zdaniem, zupełnie dla panów nieodpowiednim.

Wprowadził ich do kawiarni.

Zasiedli na uboczu.

Opowiedzieli mu wszystkie swoje przeżycia. Pokazali mu swoje szkolne dyplomy i dowody szlachectwa i chlubne świadectwa ciężką pracą fizyczną zdobyte na Pantellarii, a nakoniec polecający list kapitana Kadmei Oktawiusza Berquier.

Podczas tych wynurzeń inżynier Serret zrywał się z krzesła i załamywał ręce, oburącz chwycił się za głowę, szczerze szafując wykrzyknikami:

— Niezwykłe! niepojęte, nadzwyczajne! bajeczne!

Te wybuchy, te wykrzykniki Serreta, zgromadzały około nich wszystkich gości obecnych w kawiarni „pod okrętem pustyni“.

Kiedy narator powiedział, że ich nie wpuszczono do Francji, jeden z oficerów zawołał:

— To kompromituje cały naród! Jaki też jeszcze nowy, niefortunny pomysł wylegnie się w głowie obywatela, prezydenta Rzeczypospolitej, Ludwika Napoleona Bonaparte.

— Chut! — strofowali koledzy zbyt szczerego oficera.

Opowiadający cudzoziemiec uśmiechnął się gorzko:

• A więc i tutaj i w Afryce, nie ma wolności myśli, słowa, idei, przekonania!... Zdeptał tyle lądów... Boże! przeszedł tysiące mil, przepłynął morza, dostał się do innej części świata i tu zaraz na wstępie usłyszał to, co z palcem na ustach szepcą w jego ojczyźnie: „że ściany mają uszy!“

• Nieprzeliczoną ilość uścisków dłoni, nieprzeliczoną ilość zapewnień przyjaźni, obadwaj cudzoziemcy otrzymali od oficerów sztabu generała Saint-Arnaud. Tylko, pomimo najwyższych wysiłków i usiłowań, żaden z tych panów nie mógł dobrze i prawidłowo wymówić nazwisk swoich nowych przyjaciół: Gezy Czengery i Stacha Wojtasiewicza.

Kiedy opuścili kawiarnię i szli ulicą Bab-Azoun-Bab-èl-Oued, dziewczyna ze swoim słodkim towarem defilowała jeszcze.

Zbliżyli się do niej z grzecznym ukłonem.

— Obywatelko Amando,—przemówił Stach—czy raczysz nam sprzedać wszystkie kasztany, które jeszcze pozostały na twojej tacce?

— Nie!—wykrzyknęła ze złością dziewczyna, energicznie potrząsając ufryzowaną głową. — Niegodnie oszkalowaliście mnie, przed podporucznikiem Adryanem Colombet.

— Jakkolwiek to, co mówiliśmy podporucznikowi Adryanowi Colombet było najrzetelniejszą prawdą, decydujemy się przecież, rewokować ją, jeśli rozkażesz, *m a d e m o i s e l l e*.

Tytuł — *mademoiselle*, bardzo mile, względem młodzieńców usposobił Amandę.

— Rozkazuję rewokować!—rzekła rezolutnie.

— Uczynimy to, przy najpierwszej sposobności.

— Rozkazuję nie czekać sposobności. Rozkazuję rewokować zaraz jutro.

— Zgoda! niech będzie jutro.

— Chcę wiedzieć wasze imiona, obywatele.

— Geza i Stach.

— *Comment?... comment?*

— Geza i Stach. Patrz: oto są napisane na karteczce, weź ją i zatrzymaj, abyś naszych imion nie zapomniała.

— Nie zapomnę!... Ładni jesteście chłopcy. Zabierzcie wszystkie kasztany. I... do miliona bagnetów! po jednym pocałunku, *par dessus le marché*.

Śmiejąc się przyjęli pocałunki. Zabrali kasztany i położywszy garść drobnej monety na tacce, odeszli pośpiesznie.

— Ładni chłopcy i grzeczni! — mruknęła dziewczyna, zbliżając się do światła bijącego z kawiarni „pod okrętem pustyni“.

Przeliczyła pieniądze, a wziąwszy tyle, ile się jej należało za kasztany, resztę ścisnęła w piastce i pobiegła za nimi:

— *Citoyens! Zeza! Stasz!* czekajcie! zapłaciliście więcej niżli potrzeba! odbierzcie wasze pieniądze!—krzyczała. Skoro ich dopędzić

nie mogła i zupełnie znikli jej w ciemnościach, zaczęła się złościć i kląć.

— Bodaj was tysiąc wystrzałów armatnich sprzątnęło! *manants! bourgeois! muły! cywile! ropuchy! tygrysy!*

Rozpłakała się wreszcie, nie mając na kim wyrzucić swej złości i rzuciwszy wszystkie pieniądze na środek ulicy, pogroziła pięścią w tę stronę, w której znikli.

— Poczekajcie! poczekajcie Zeza i Stasz nauczę ja was *moresu*; przy pierwszym widzeniu z wami wydrapię wam ślipse! Poczekajcie! obmierźli cywile!

Budowa szosy skróś pasma gór Mały Atlas nie mogła być prowadzoną z należytych pośpiechem.

Jakkolwiek emir Abd-el-Kader do niewoli wzięty przez generała de Lamorcière przebywał w więzieniu we Francji, — jakkolwiek po wściekłym szturmie oblegających, a rozpaczliwej obronie obleganych, twierdza Zaatcha już była zdobyta, wszelako Charron, gubernator cywilny, z ramienia Rzeczypospolitej francuskiej zarządzający Algeryą, musiał wciąż walczyć z zaciętą niechęcią tubylców, którzy we wszelkich jego zarządzeniach usiłowali stawiać mu przeszkody. Z drugiej znów strony, naczelny wódz wojsk francus-

kich, konsystujących w Algierze, jenerał Saint-Arnaud wciąż musiał staczać zacięte walki z nienawidzącymi Francuzów, a kochającymi niepodległość pokoleniami, a zwłaszcza ze szczepami Kabylów.

Małe oddziały Kabylów prawie co noc pojawiały się na terenach robót.

Niszcząc narzędzia, zapasy żywności, nierzadko uprowadzali z sobą robotników, zaskoczonych we śnie, a nabroiwszy znikali, na swoich koniach, jak wiatr chybkich i śmigłych.

Te nieustanne popłochy i alarmy były przyczyną zastoju w robotach przy budowie szosy.

Sprowadzano z Algieru francuskich żołnierzy, lecz i ci nie zdołali uporać się z Kabylami.

Robotnicy gromadnie uciekali do miast, do: Oranu, Tlemsenu, do Konstantyny, Budżii, Philippeville'u.

Trzeba było roboty zawiesić, a tylko od zniweczenia strzedz tę niewielką przestrzeń szosy, jaka już była zupełnie gotową.

Inżynier Serret oznajmił robotnikom, że mają rozejść się do domów i tam oczekiwać dalszych rozporządzeń. Ci zaś, którzy już poprzednio służyli wojskowo, będą wcieleni do oddziału francuskiego wojska, konsystującego u stóp Małego Atlasu.

— Masz dyable kaftan! — mówił Wojtasiewicz do Gezy, — otóż znów zostaliśmy wyrzuceni z siodła. Trzeba wracać do Algieru z Serretem, on może jakieś zajęcie dla nas obmyśli.

— Dyabli nadali z Kabylami! — mruknął zafasowany Czengery.

— Dzień dobry koledzy! — zawołał tuż za nimi głos wesoły.

Obejrzeni się.

Zbliżał się do nich uśmiechnięty Adryan Colombet, awansowany na porucznika i dowodzący oddziałkiem, który generał Saint-Arnaud wysłał przeciw Kabylom.

— Niewymownie się cieszę — ciągnął młody porucznik, że was będę miał w swoich szeregach. Pamiętajcie, proszę, że tylko na służbie muszę was traktować jako subalternów, — po za służbą, jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi i kolegami. Zgoda?

Stach i Geza milczeli zdziwieni niezmiernie.

— Co to znaczy? Nie odpowiadacie?... Idźcież czemp prędzej wybrać sobie mundury.

— Mundury!...

— No tak! przecież, w tych zakurzonych, flanelowych kostyumach, nie możecie walczyć pod sztandarami Rzeczypospolitej francuskiej.

— Panie lejtnancie! — wykrzyknął Geza, — przemawiasz do nas zagadkami, — racz wytłumaczyć się jaśniej.

— Na honor! co tu wyjaśniać? Przecież pan i jego kolega służyliście już w jakimś wojsku, na tej zasadzie, według rozporządzenia naczelnego wodza, wojsk francuskich w Algeryi, generała Saint-Arnaud zostaliście wpisani do tutejszego oddziału, jako szeregowcy.

— Rozporządzenie naczelnego wodza, generała Saint-Arnaud, nie dotyczy nas jako cudzoziemców.

— Obejmuje wszystkich, bez wyjątku wszystkich, znajdujących się obecnie na terytorium francuskim w Algierii.

— Protestujemy przeciwko temu.

— Rozporządzenia naczelnego wodza generała Saint-Arnaud są nieodwołalne.

— Jeśli się im nie poddamy?

— Natenczas, kulą w łeb! — z energicznym giestem i podniesionym głosem wybuchnął Adryan Colombet.

Stach i Geza osłupieli...

Porucznik zbliżył się do nich i ciszej, a całkiem już spokojnie mówił:

— Panowie, opór wszelki na nic się nie przyda, również protesty. Do kogo je zwrócicie? Czasu wojny, na terytorium pożarem wojny ogarniętem, rygor być musi... musi być bezwarunkowo! — Nie w charakterze waszego zwierzchnika, lecz jako wasz przyjaciel, radzę wam, bez oporu, bez narzekań bezowocnych, bez czężej gadaniny, poddać się konieczności. Zresztą, wszak służby w wojsku francuskim, nie można nazwać przykrą koniecznością. A nawet jak dla was moi panowie, jest to poniekąd wstąpienie na wyższy szczebel drabiny społecznej, z robotników na żołnierzy...

— Na żołnierzy, walczących z krajowcami, którzy rozpaczliwie bronią swej niepodległości!...

O! nie, poruczniku,—gorąco zawołał Stach,—szlachetniej jest tłuc kamienie, przy budowie szosy...

— O h! la! la! stanęliśmy na gruncie takim, że dalsza dysputa stała się już niemożliwą—mruknął Adryan Colombet, a głośno zakomenderował:

— Do koszar rekruci! marsz! Dubois wyda wam umundurowanie. Sierżant Selec wskaże wam, do kogo się macie udać po broń. Spieszyć się, abyście byli gotowi, w pełnym rynsztunku, na popołudniową musztrę.

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając Gezę i Stacha w najwyższym stopniu zrozpaczonych.

Musieli tedy rydel i oskard zamienić na bagnet i szablę i zostać żołnierzami francuskimi.

Więc fortyfikowali obóz, sypali szańce, re-duty wykuwali w skałach, odbywali musztry, zawsze będąc w pogotowiu odparcia napadu Kabylów.

Chociaż porucznik Colombet dotrzymał słowa i po za regulaminem służbowym traktował ich jak równych, wszelako po owej rozmowie niekiedy dostrzegali w jego obejściu, jak gdyby lekki odcień niechęci i nieufności. Ale to były przelotne chmurki tylko.

W tym czasie za pośrednictwem kapitana Berquier, Stach listy z Polski, a Geza otrzymał długą misywę od Giovanniny di Rivoltella.

Sercem udręczonych wygnańców wstrząsnęła wówczas radość gwałtowna, jak gdyby moc jakaś nadprzyrodzona każdemu z nich, z jego ojczy-

zny, przyniosła barwy świetliste i odurzające wonie.

Ani Geza, ani Stach, nie żywił nadziei powrotu do ukochanej ojczyzny, która, niby melancholijna, a smętna królowna ukazywała im się podczas zaśnień gorączkowych, krótkich, prawie każdej nocy przerywanych przez napaść Kabyłów.

Ci górale zamieszkujący płaskowzgórza w paśmie Małego Atlasu, od niepamiętnych czasów niepodlegli, zwycięzko opierający się zwierzchnictwu dejów Algieru i najściom obcych ludów, bohatersko też bronili się przeciw Francuzom.

Bardzo rzadko zdarzało się ująć którego z napastników, a każdy jeniec milczał uparcie, nie chcąc pod groźbą mąk najsroższych, wyznać do jakiego plemienia należy.

Zwykle rozstrzelano jeńców, a ponieważ plemiona Kabyłów tworzyły jakgdyby federację, przeto Francuzi, niby to wychodząc z zasady, że jeden za wszystkich odpowiada, a wszyscy za jednego, po każdym napadzie kontrybucją karali najbliższe obozu g u r b i s *).

Dla Czengerego i Wojtasiewicza było to prawdziwą katuszą, ilekroć kazano im należyć do wyprawy karnej do „g u r b i s“, czy do „k e b y l a “ **) wysłanej w celu ściągnięcia kontrybucyi.

*) wioska.

**) kilka wiosek jedna przy drugiej zbudowanych.

Kabylowie, plemię ludzi niezwykle zręcznych, niezmordowanie pracowitych, trudnili się rolnictwem, pszczelnictwem, hodowlą drzew owocodajnych, tkactwem i różnemi rzemiosłami.

W każdej wiosce, przeznaczone do sprzedaży mieszkańcom nizin, były zapasy oliwy i miodu, fig i daktyłów; były składy wybornej broni, precudnych biżuteryi, tkanych burnusów i naczyń glinianych, artystycznie ozdobionych barwnemi, a trwałemi malowidłami.

I to wszystko francuscy żołnierze, ładowali na wozy wobec mieszkańców, nie stawiających żadnego oporu, kiedy pod pozorem kontrybucyi wojennej, zagrabiano ich mienie, ich wyroby krwawym potem, pracy mozolnej oblane.

Wszelako ta bierność zionęła straszną nienawiścią względem łupieżców i, w swem milczeniu była i groźbą i krwawą obelgą zarazem...

Z uczuciem bólu niewysłowionego Czengery i Stach postępowali obok wozów, które im kazano konwojować i pełne do obozu dostawić. Ze schylonem od wstydu czołem, kroczyli środkiem drogi, o wiele szerszej, niżli najszersze gościńce europejskie, a po obu stronach zabudowanej.

Kabylskie wioski składały się z bardzo rozmaitych zabudowań. Były tam domy z białego kamienia obszerne, jasne, przewiewne i chatynki bardzo pierwotne, z brunatnej afrykańskiej gliny i z palmowego drzewa sklecone. Na żadnym domu nie było dachu, ale tylko polepy gliniane pokryte matami, z wiotkich jakichś gałązek.

Wioski podczas pochodu francuskich żołnierzy wydawały się, jakgdyby wymarłe. Głęboką, prawie cmentarną ciszę przerywał tylko szelest kroków żołnierskich i turkot kół. po spieczonej ziemi; czasem z głębi jakiegoś domostwa wyrwał się krzyk niemowlęcia, wnet stłumiony.

Kiedy zwieziono te łupy do obozu, porucznik Adryan Colombet przeglądał je i rozdzielał, lwia część zatrzymując dla siebie. Przesyłał też dużo piękniejszych wyrobów naczelnemu wodzowi i starszyźnie do Algieru.

Czengery i Wojtasiewicz nie przyjmowali najmniejszej drobnostki, jaką im dawano przy podziale.

— Tym, którzy mają wrócić do ojczyzny, te piękne rzeczy przydadzą się, na podarunki dla krewnych i przyjaciół.

— Ale nasz powrót do rodzinnej ziemi jest bardzo problematyczny, a w każdym razie nie nastąpi tak prędko, więc po cóż mamy nasze bagaże obciążać rzeczami, które nigdy nie będą zużytkowane.

W ten sposób tłumaczyli swoją odmowę.

— Te rzeczy warte są jednak przechowania— poufnie do nich mówił Adryan Colombet, — mają wybitny *couleur local*.

— Dla nas nie mają żadnej wartości, przeto niechaj przynależna nam część kontrybucyi, służy naszym kamratom,—odpowiadali niezmiennie.

Tą ich odmową, Adryan Colombet czuł się dotkniętym i obrażonym.

— Cóż to znów! — myślał — ci cudzoziemcy, pragną się wyróżniać — zadzierać nosa — o h! la! la! więcej poufałości, jak znajomości. Poczekajcież! nauczę ja was moresu i stosowania się do ogółu.

Wiele pomiędzy porucznikiem, a wygnańcami zapanował chłód. Węzły zażyłej przyjaźni łączące ich, zaczęły się rozluźniać powoli... rozluźniać, aż zerwały się całkowicie.

A skoro to dostrzeżono w obozie wnet wszyscy począwszy od sierżanta Selec'a aż do ostatniego ciury — wszyscy dla nich stali się szorscy, opryskliwi, gburowaci. Nie szczczędzono im przezwisk obelżywych, przymówek gburowatych „dla cudzoziemców, którzy się pasą francuzkim chlebem, na francuskiej (!) ziemi“. Trzeba było stać się głuchym i ślepym i mieć takt ogromny i cierpliwość wprost nadludzką, aby co chwila nie wybuchnąć gniewem i nie dopuścić do bójki, lub zwady.

— Kiedy się to skończy?.. kiedy wreszcie uwolnimy się z tych okowów! — mawiali, skoro po pracy i mustrze, mogli krótko odpocząć, w jakim ustronnym zaułku obozowiska.

— I my, cośmy walczyli za wolność i którzy za ideę wolności poszliśmy na tułaczkę, na cośmy zeszli?.. Na kondotierów, którzy prowadzą wojnę, z niepodległymi ludami, rozpaczliwie broniącymi swej niepodległości... Na najmitów spełniających zbójckie rzemiosło grabieży... Wyrzekaliśmy i sromaliśmy się, na Pantellarri przy reperacyi murów więzien-

nych, a przecież tamto honorową i miłą zabawką wydaje się, wobec tych niegodziwości, jakie tutaj popełniać musimy, w imieniu Rzeczypospolitej francuskiej i pod hasłem: Liberté, Egalité, Fraternité.

Lecz nawet ich dłuższe, ciche pogawędki, wzbudzały podejrzenia i szyderstwa. Widać ich szpiegowano.

Nie raz przy rozmawiających, jakgdyby z pod ziemi wyrastał, sierżant Selec i zaczynał ich brutalnie.

— Eh, ben! recrues! vous tramez des complots?.. hein? mes braves?.. Le métier de soldat, vous paraît ennuyant?.. Quinconque dirait, vous êtes faits pour paître des agneaux!

I śmiał się na całe gardło grubiańsko i szyderczo, a stojący opodal żołnierze wtórowali mu niemniej hałaśliwie — pykając z małych fajeczek zwanych: brûle gueule.

Niedługo potem zaszedł wypadek bardzo ważny.

Szeik pokolenia Beni-Jani, najpotężniejszego z pokoleń algierskich Kabylów, został przez Francuzów do niewoli wzięty.

Lekceważąc niebezpieczeństwo, szeik Sidi-Emra-bak samotnie, zapuścił się w góry, zażbyt blisko francuskiego obozu i, przez francuskie patrole został pochwycony. Dwaj jego towarzysze broniąc mężnie wodza polegli. Pod szeikiem zabito konia, a Sidi-Emra-baka skrepowanego pęta-

mi przyprowadzono przed oblicze dowódcy Francuzów, porucznika Adryana Colombet.

Ów kazał jeńca jeszcze lepiej skrepować, rozdziać go do naga i nałożyć mu kajdany na ręce i na nogi i bez opatrzenia ran, wrzucić go do jaskini, w wystającym zrębie skały wykutej, żelaznemi, zamczystemi drzwiami opatrzonej.

Jaskinia ta była miejscowym skarbcem, w którym przechowywano najdroższe rzeczy. Nie było jednak potrzeby usuwać ich, bo nie było obawy żeby skrepowany, poraniony jeńiec, mógł z tej jaskini coś zabrać, gdy nie mógłby był uratować z niej — najcenniejszego skarbu: swej wolności.

Porucznik Adryan Colombet wprost szalał z radości. Hojnie wynagrodził tych, którzy ujęli szeika, następnie suto uraczył żołnierzy, zapowiedział, za dwa dni wielką wyprawę do „gurbis“ Kabyłów i ostateczny, zupełny pogrom nieuległych dotychczas plemion. Zaczem w marzeniach widział swój tryumfalny wjazd do Algieru... Szeik Sidi-Emra-bak postępował przy jego koniu, a on, porucznik Adryan Colombet, na czele swego zwyciężkiego oddziału, z głową podniesioną dumnie wjeżdżał, w rozświetlone ulice miasta.

I widział swoje nazwisko, z zaszczytną wzmianką w raporcie naczelnego wodza, generała Saint-Arnaud... widział krzyż Legii honorowej... awans, a w następstwie tych wszystkich odznaczeń i dostojęństw, upięścielowaną rączkę panny Desirée, której ojciec Tartas, fabrykant pończoch jedwabnych, dotychczas o imiępanu Colombet, ja-

ko o zięciu nie chciał nawet słyszeć, jako o człowieku bez stanowiska i bez majątku.

Przy jaskini stróżowało wciąż dwóch żołnierzy, z nabitą bronią.

Późnym wieczorem, kiedy obóz bankietował, szalał, pił, brzmiał hulaszczym śpiewem, opodał na warcie przy jaskini, kędy był uwięziony szejk, stali Stach Wojtasiewicz i sierżant Selec.

Ten ostatni z twarzą zachmurzoną, wściekły, że nie bierze udziału w biesiadzie, która przydażyła się poraz pierwszy, podczas obozowania w pustyni.

Klął półgłosem, a strzepując biały pył, który grubą warstwą osiadł na jego błękitnym mundurze szóstego batalionu, strzelców orleańskich, pomrukiwał gniewnie:

— Schlają się, aż im się wińsko uszami będzie się wylewało, a ty człeku stój i, patrz jak się gżą i beczą cieleta...

Stach słyszał ten monolog.

Rozważał coś w myśli, wahał się, wreszcie zdecydowawszy się, na jakiś krok stanowczy, z determinacją przemówił do Selec'a:

— C a m a r a d e !

— J e n e s u i s p a s t o n c a m a r a d e , r e c r u ! — odburknął, jestem twoim zwierzchnikiem zrozumiano?

— O tem nie zapominam,—odpowiedział Stach uprzejmie, wyprostował się, stanął w pozycji, sprezentował broń przed sierżantem.

Ten udobruchany machnął ręką!

— Eh, ben! Eh, ben! i cóż tam nowego powiesz mi rekrucie?

— Oto panie sierżancie, zapytuję pokornie, czybyście nie raczyli napić się chartreusy?

— Chartreusy?.. skąd masz? pytaniem odpowiedział Selec.

— Tym wybornym likierem obdarzył mnie w Tulonie, mój przyjaciel Berquier, kapitan żaglowca „Kadmea“!

— Aż z Tulonu wiozłeś chartreusę?.. marynujesz ją w bagażu i, nie wypieś dotychczas?.. wyrzekł Selec, patrząc na Stacha z politowaniem, jak na warjata i ze zdumieniem zarazem.

— Nie używam żadnych trunków, — odpowiedział Wojtasiewicz. — Ale skoro dziś wszyscy piją i bankietują pomyślałem sobie, że może i wy, panie sierżancie, zechcielibyście wypić za powodzenie wyprawy, którą nasz dowódca porucznik Colombet, zamierza przeciw Kabylom.

— Racya!

— I za nasze, nad Kabylami zwycięstwo.

— Racya! Gdzie masz likier?

Stach wyjął ukrytą w ładownicy butelkę.

— Dawaj! — wykrzyknął Selec nie mogąc już pohamować się dłużej, chwycił oburącz butelkę z likierem i pociągnął z niej długi haust.

— Dobrze! — wyborne! wprost niebiańskie delicje! — cmokał oddając Stachowi butelkę. — Ojcowie Kartuzi są niezrównanymi mistrzami, w fabrykacyi likierów.

— Więc za pomyślność i wielebnych ojców Kartuzów, tryknijcie jeszcze panie sierżancie.

— Brr! — oburzył się i wzdrygnął sierżant. — Co to, — to nie! Zachłysnąłbym się, żebym też pił za pomyślność mnichów... Niedoczekanie ich. Do dyabła z mnichami!

— Tedy raz jeszcze, tryknijcie za szczęśliwe powodzenie naszej wyprawy na Kabyłów.

— Na to zgoda! Piję za nasze zwycięstwo, a zupełną Kabyłów zagładę!

— So it! rzekł Stach pochylając głowę na piersi.

Po wypróżnieniu całej flaszki likieru, sierżant wpadł w humor prześwietny.

Zrazu gestykulował energicznie, prawił coś trochę z sensem, więcej bez sensu. Zwolna zaczął bełkotać wyrazy bez związku... Wreszcie skleiły mu się oczy... zaczął się chwiać... pochyłać na prawą, to na lewą stronę...

Stach wyjął mu z ręki karabin... Nieprzytomnemu dopomógł usiąść... przysunął go do skały.

Wsparty wygodnie o skalistą poręcz, sierżant Selec zachrapał...

W obozie już też skończyła się biesiada.

Śpiewy ucichły. Światła pogasły. Cały obóz był w głębokim, pijackim śnie pogrążony...

Zdawało się Stachowi, że nawet wart nie postawiono na zwykłych posterunkach.

— Po ujęciu szeika, upojeni tryumfem i winem śpią: „en pleine sécurité“, cicho za-

śmiał się Stach, zaczęł stanąć nad swoim śpiącym towarzyszem i wyrzekł dosyć głośno.

— Sierzancie! wstawajcie! trąbią pobudkę do bitwy. Nieprzyjaciół tuż!

Selec ani drgnął.

Stach rozśmiał się zadowolony.

Zapalił hubkę, spojrzał na zegarek. Wskazywał samą północ.

Oparł karabin o ścianę...

Ukląkł, przeżegnał się i zaczął krótką odmawiać modlitwę. Z wyrazem. „amen“ podniósł się z klęczek i, zbliżył do drzwi zamykających wejście do jaskini.

Wyjętym z kieszeni pilnikiem, przepiłował skobel. Odrzucił go wraz z kłódką. Uchylił drzwi. Skrzypnęły na zawiasach.

Wszedł.

Pełzając po kamiennem podłożu jaskini, doczołgał się do kąta, w którym leżał szeik...

Dotknął zlekka jego głowy, była rozpaloną jak ogień. Podobnież całe ciało było gorące i aż chropowate od krwi, która z ran płynęła i zakrzepła.

— Cicho! szeptał do ucha Sidi-Emra-baka,— nie odzywaj się, przychodzę cię uwolnić.

Przeciął szablą sznury krępujące nogi Kabyla. Przepiłował jego kajdany na nogach.

Wszystko czynił po ciemku, spokojnie, ale pośpiesznie, sprawnie, powtarzając wciąż:

— Wolny jesteś... Rozumiesz? możesz wracać do swoich. Rozumiesz? uciekaj!..

Kabyl, czy nie rozumiał dość dobrze po francusku, czy też nie mógł się zorientować, co się z nim dzieje milczał, dysząc ciężko i nie poruszał się.

Stach dźwignął go, niby małe dziecko i poprowadził ku drzwiom.

Idąc, potracali paki ciężkie zawałające jaskinię. Stach się wzdrygał ciągle, wiedząc, że te paki zawierają plony łupieztwa, które Adryan Colombet nazywał kontrybucją.

Gdy wyszli, Kabyl całą piersią zaczerpnął świeżego powietrza, które go otrzeźwiło z odrętwienia.

Stach przeciął więzy krępujące mu ramiona, przepiłował kajdany, którymi ręce miał skute i wskazując w pustynię mówił dobitnie:

— Szeiku, Sidi-Emra-bak! jesteś wolny! uciekaj!

Kabyl zaczynał rozumieć, że go uwalniają. Gesty Wojtasiewicza, bardziej niżli jego słowa rozbudziły w Kabylu świadomość.

Porwał ręce Stacha przycisnął je do swego czoła i do piersi. Potem rzucił się na ziemię i, przy stopach młodzieńca trzykrotnie czołem uderzył.

Następnie podniósł się, wyprostował swą postać smagłą wiotką i wyniosłą i niby strzała silną ręką wyrzucona z łuku, szybko pomknął w pustynię.

Króciutko przed oczyma młodzieńca majaczył punkt ciemny, coraz mniejszy, coraz mniejszy, aż rozplynał się w powietrzu... aż znikł...

Natenczas Wojtasiewicz ujął karabin, wyprostował się, stanął w pozycyi i zawołał:

— Nie przed tobą dzikusie, nie przed tobą, ale przed ideą, której jesteś przedstawicielem prezentuję broń.

Co uczyniwszy, grzmotnął o ziemię karabin, zaczęł go podjąć i walił nim o skałę, walił... walił, aż się potrzaskał na drobne kawałki, a potem zawołał Stach:

— Ślubuję, nigdy nie walczyć przeciwko tym, którzy swej niepodległości bronią. Tak mi dopomóż Boże, który mnie słyszysz i Ty Matko Boska Częstochowska!

Był jakgdyby w ekstazie...

Bynajmniej nie zdawał sobie sprawy, z tego co uczynił. Stracił świadomość czasu, miejsca. Stracił świadomość zupełnie.

I w tym stanie przeżył całą noc.

Oprzytomniał dopiero, kiedy świt, po blado-cytrynowem niebie rozrzucił różane gałązki, kiedy od palmowych gajów, chłodne wionęły technienia.

Oprzytomniał i zaczął obliczać skutki, a następstwa swoich czynów, dzisiejszej nocy.

Nie może wszak zaprzeczyć, że z okowów uwolnił jeńca, że ułatwił ucieczkę szejkowi Sidi-Emra-bak...

Że potrzaskał swój karabin...

Że jaskinię ze skarbami pozostawił otwartą...

Że upoił sierżanta Selec'a...

Aniby chciał, aniby mógł zaprzeczyć niczemu...

Spojrzawszy na chrapiącego Selec'a pomimo woli uśmiechnął się i pomyślał:

— Sierżant powie, że go odurzył jakimś narkotykiem. Butelka po chartreusie nie jest żadnym dowodem. Wszak w niej mogła być nawet trucizna. Więc skazą mnie na rozstrzelanie. Z punktu widzenia karności wojskowej, patriotyzmu francuskiego, rozstrzelanie będzie karą sprawiedliwą.

Rozstrzelają go bez sądu...

Mniejsza z tem!

Obmierzło mu życie w tych warunkach, w jakich je pędzi obecnie. Wprost zabrakło mu już sił fizycznych i moralnych, aby dłużej dźwigać ten ciężar nieznosny, aby patrzeć na te okrucieństwa, na te okropności, jakie się tutaj dzieją.

Żal mu tylko Gezy Czengery...

Biedak zostanie taki osamotniony i, tak boleśnie odczuje śmierć towarzysza niedoli i przyjaciela.

Trudno!.. wszak już dawno mógł był poledz z rąk Kabylów tak, jak dziś zginie od kul żołnierzy francuzkich. Mniejsza z tem! że w piaskach pustynnych zostanie pogrzebiony, że jego mogiła zniknie bez śladu, jak kiść kwiatu huraganem porwany...

Spojrzał ku słońcu, które wstawalo majestatyczne i wspaniałe, ukląkł i zaczął się modlić serdecznie, gorąco z wiarą, z miłością udręczonego dziecięcia, które kierunek swego losu ukochanemu Ojcu powierza...

Nagle pośród ciszy rozległ się tentent gwałtowny...

Najpierw przytłumiony, jak echo dalekiego grzmotu, z każdą sekundą wzrastał, potężniał, stawał się coraz głośniejszy, wyraźniejszy, hucniejszy, aż z tumanów pyłu unoszącego się ponad szeroką drogą, wynurzyli się na spienionych koniach jeźdźcy, w krótkich, czerwonych, luźnych sukniach, w białych haikach, z jataganami za pasem i długimi fuzyami w rękach.

Konie z rozwianemi grzywami leciały wprost, na obóz francuski...

A obóz cały, w najgłębszym śnie był pogrążony...

Z pośród jeźdźców okrążających obozowisko, odłączyły się dwie postacie i z okrzykami:—A mi si! A mi si!—do Stacha przygalopowały.

Jeden z jeźdźców zsunął się z konia, rzucił się przed Stachem na ziemię, trzykrotnie czołem przed nim uderzył, zaczem porwał Stacha uniósł go i zarzucił na siodło swojego towarzysza, który oburącz objął Stacha zrobił mu miejsce przy sobie i powtarzając też:—A mi i! A mi i!—zawrócił konia i z błyskawiczną szybkością pocwałował w stronę, z której wszyscy przybyli.

Strasliwy popłoch powstał w obozie, wraz z pojawieniem się Kabylów.

Z twardego snu zbudzeni żołnierze, bezradnie biegali poszukując broni, której pod ręką nie mieli i, niepamiętali gdzie, od wczorajszego wieczoru pozostała. Najszybciej ocknęli się i oprzytomnieli

artylerzyści i na karabinową salwę Kabylów, wraz dali odpowiedź grzmiotem, armatnich wystrzałów.

Kilku Kabylów runęło z koni, które pozbawione kawalerzystów, rozszałałe krążyły po obozie tratując żywych, miażdżąc kopytami zwłoki poległych żołnierzy.

Przekleństwa Francuzów mieszały się z krzykami Kabylów:—„Alla h! Alla h!“ — ze rżeniem koni, z jękiem rannych i umierających, z komendą francuską, której nikt nie słuchał... Lecz ten zgiełk, tą piekielną sarabandę, głużyły nieustanne wystrzały armatnie, bo rzeczywiście, jedynie artylerzyści znaleźli się na swoich stanowiskach w redutach. Zresztą wszyscy Francuzi potracili głowy.

Swoim obyczajem, Kabylowie którzy niespodziewanie spadli, niby orkan, cofnęli się też do swoich siedzib, z błyskawiczną szybkością. Szeik Sidi-Emra-bak rzucił jakiś rozkaz; jego podkomendni sprawnie zatoczyli końmi, odwróciły się białe turbany, wionęły białe burnusy, wypadli na drogę i pędząc galopem wnet znikli, pozostawiając za sobą, w obozie Francuzów moc trupów i rannych i bezradną rozpacz, pozostałych przy życiu żołnierzy.

Ogromne było zdumienie wszystkich, kiedy zastali jaskinię otwartą, na ziemi przepiłowany skobel, przepiłowane kajdany, przecięte więzy, któremi szeik Sidi-Emra-bak był skrępowany, ale samego szejka, ani śladu.

Skarbiec pozostał nietknięty. Sierżant Selec

nie mógł dać żadnych objaśnień co do losu Wojtasiewicza i sposobu, w jaki szeik Sidi-Emra-bak, zdołał wydostać się z jaskini.

A podczas napadu na obóz Francuzów i straszliwych mordów, jakich się tam zobopólnie dopuszczano, Stach Wojtasiewicz wygodnie usadowiony na siodle, w objęciach Kabyla, który go porwał, z przed jaskini, ku nieznanemu celowi gna unoszony przez wiatronogiego rumaka.

Kabyl, do swej piersi przytula go z czułością i raz po raz powtarza:

— A m i ! A m i ! p a s p e u r !

Właściwie Stach niczego się nie obawia, tylko jest ogromnie zdziwiony i nic a nic nie może zdać sobie sprawy, z tego co się z nim dzieje.

Podczas tej zawrotnej jazdy, kędyś na gościńcu utracił kaszkiet. Wiatr chłoszcze mu policzki. Czuje zamęt w głowie. Ogniste koła wirują mu przed oczyma, doznaje w żrenicach olśnienia, które mu sprawia ból. Brakuje mu tchu, jakgdyby piersi przygniatał mu jakiś ciężar ogromny. Po francuzku Kabyla pyta dokąd go wiezie i po co? Okrom ciągłych, czułych zapewnień:

— A m i ! A m i ! p a s p e u r ! nie uzyskuje innej odpowiedzi.

Lecą... lecą coraz chyżej...

Stach już o nic nie pyta. Kombinuje, że przecież dowie się co go spotka.

Jakoż uczuwa nagle, że pęd wiatru, jest słabszy, że jakoby pomiędzy budynkami pędzili, że koń ma pod nogami grunt twardszy, niżli ten na

gościńcu, że już nie tak szalenie szybko bieży, że obejmujące go ramiona Kabyla rozluźniają się cokolwiek, że słyszy gwar licznych głosów frenetyczne okrzyki.

— Nie! to nie jest złudzenie!

Rzeczywiście koń staje...

Kabył zsuwa się z siodła. I zsadza Stacha, który czuje, że stanął na kamieniach i oprzytomniawszy trochę otwiera oczy.

— Ach!—co to jest? — co to znaczy?—woła po polsku.—Otocza go tłum Kabylów złożony z mężczyzn, z kobiet i dzieci.

Mężczyźni hurmem rzucają się na ziemię i, biją czołem przy jego stopach.

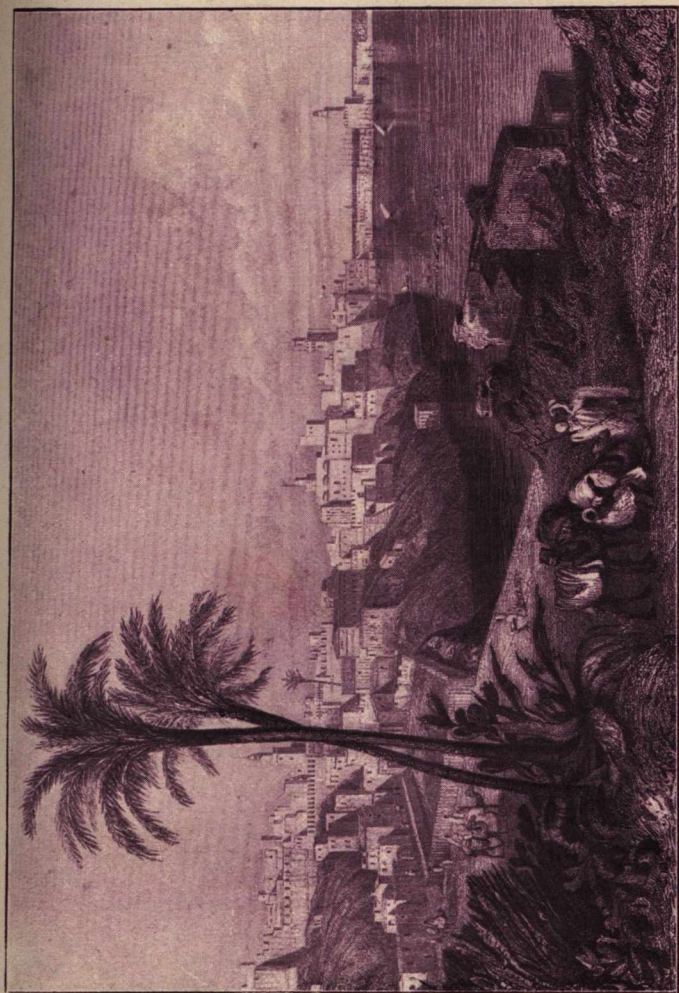
Młode kobiety zerkają na niego zalotnie, w uśmiechu pokazując równe, piękne zęby.

Wszyscy wydają okrzyki radosne.

Oszołomiony tem wszystkiem Stach, stoi nie wiedząc co począć, ze swoją figurą.

Aż na front występuje mąż poważny, z długą siwą brodą, w żółtych papuciach, w białym turbanie i w haiku białym, malowniczo udrapowanym, oddaje głęboki pokłon Stachowi i bardzo poprawną francuszczyzną przemawia, wyrażając mu w imieniu całego pokolenia Beni-Jani gorącą podziękę, za ocalenie życia szejkowi Sidi-Emra-bak, przez ułatwienie mu ucieczki, z niewoli niewiernych psów-Franków.

To rzekłszy, mówca oryentuje się, że przecież ten, do którego przemawia też jest „Frank“ i że przezwisko „psa niewiernego“ bądź co bądź



OGÓLNY WIDOK ALGIERU.

nie może mu wydać się ani miłe, ani zaszczytne. Więc usiłuje zatuszować to, co mu się nie dość zrecznie wyrwało, w oratorskim zapale i mówi:

— Wprawdzie ty, młody cudzoziemcze, jesteś Frank, ale psem niewiernym nazywać cię nie można, bo jesteś sprawiedliwym i nie prześladujesz ludzi, którzy nic ci nie zawinili, a tylko nie chcą, ze swojej ziemi rodzimej ustąpić, obcym przybyszom.

Z dalszego ciągu harangi dowiedział się Stach, że najdzielniejsi wojacy, z pokolenia Beni-Jani spieszący do obozu Francuzów, dla oswobodzenia szejka, w drodze spotkali go już na wolności.

Z tą radosną wieścią jeden Kabyl do „gurbis“ El-Berkain spieszył, zarazem przywożąc rozkaz, uczczenia „Franka“ któremu szejk swoje ocalenie zawdzięczał.

Porwanie i uwięzienie Stacha, było pomysłem powziętym w tym celu, aby go uchronić od ran, lub nawet od śmierci, podczas napadu na obóz Francuzów i bitwy.

Kabyl, który przemawiał do Stacha, nazywał się Tenied-el-Haad, dla handlowych interesów pokolenia Beni Jani, wydalął się często do Algieru i tam przebywając nieraz czas dłuższy, nauczył się wcale dobrze po francusku. Używał mało-wniczych przenośni, kwiecistych zwrotów, pompatycznych porównań, o ile zaś brakowało mu francuskich słów do wyrażenia myśli, pomagał sobie bardzo wyrazistemi gestami.

— Co zamierzyliscie ze mną uczynić? — zapytał Stach, skoro Kabyl skończył swoją harangę, — azali zatrzymacie mię w niewoli?

Tenied-el-Haad — wzniósł ręce ku niebu i zaprotestował bardzo energicznie.

— Niechaj Allah błogosławi cię, dobry cudzoziemcze! Wróćisz do swoich, skoro tylko zechcesz, ale nie wcześniej, jak po powrocie z wyprawy szeika Sidi-Emra-bak. Tymczasem odpoczniesz. Zechciej uszczęśliwić nas, swoje sługi, zwiedzeniem naszych sadyb, oraz przyjęciem u nas posiłku. Musisz być spragniony i głodny.

Że to było prawdą, Stach nie wzdragał się z przyjęciem traktamentu złożonego, ze świeżo zerwanych daktyli, z pieczonej baraniny, miodu mleka i wybornych placków, z mąki na żarnach mielonej.

Spożywał to wszystko w domu szeika, otoczony mieszkańcami wioski El-Berkani, którzy porzucili swoje zatrudnienia, aby ujrzeć „dobrego cudzoziemca“ i gremialnie wynurzyć mu swoją wdzięczność.

Mężczyźni, po większej części, byli bruneci, o ciemnej, jędrnej cerze prawie brunatnej i czarnych, ognistych oczach. Natomiast wśród kobiet było dużo blondynek, białych i błękitnookich. Kobiety i mężczyźni byli wysokiego wzrostu, wysmukli, muskularni, znać silni, o ruchach żwawych, energicznych.

Ubiór obojga płci był nacechowany niezmierną prostotą. Składał się zaś z białej, weł-

nianej szaty krótkiej i, z krótkimi rękawami, ujęty w pasie grubym sznurem, z wielbłądziej szerści.

Turban był świątecznym przystrojem głów męzkich, na codzień mężczyźni używali białych, filcowych mycek. Kobiety miały bujne włosy, w długich puklach opadające im na ramiona i, przepasane czerwonym sznurem.

Stopy i łydki do kolan wszyscy mieli obnażone. —

Żółte papucie cechowały wybitnych z pokolenia; a tylko szeicy, na wyprawy wojenne kładli safianowe, czerwone buty, z ostrogami.

Na uroczyste występy, na wyprawy wojenne Kabylowie przywdziewali tak zwane haiki.

Były to duże kawały białej, wełnianej, lekkiej tkaniny. Jeden koniec haika zarzucał sobie na głowę, umocowywając go kilkoma skrętami sznura, z wielbłądziej szerści, albo przepaską ze srebrnych, czy złotych misternie z sobą spojonych blaszek. Resztę tkaniny malowniczo drapowali na sobie.

A kiedy pędzili na koniach, haiki wokoło jeźdźców i rumaków unosiły się w powietrzu, niby rozpostarte, olbrzymie skrzydła białe.

Kabyłki nie nosiły zasłon na twarzach. Po między obojgiem płci panowała swoboda obejścia taka, jaka w Europie panuje.

Kobiety i mężczyźni śpiewali, tańczyli razem; nawet razem i jednocześnie strzelali do celu,

a w zabawach wymagających zręczności, kobiety o wiele przewyższały mężczyzn.

Zaledwie skończyły się igrzyska ku zabawie i uczczeniu Stacha urządzone, przybiegł młody Kabyl, na białym jak śnieg koniu i dał znać, że marabut Mohammed-Ben-Abdallah-Ould-Sidi-Chigr, pragnie poznać „dobrego Franka“ i zaprasza go w gościnę do swojego z u i a s.

Tenied-el-Haad przedłożył Stachowi życzenie marabuta, wyjaśniając mu zarazem, jak wielkiem jest ono dla niego zaszczytem.

Siadł tedy Stach na konia, którego wysłaniec marabuta prowadził za cugle. Zaś Tenied-el-Haad idąc obok, po francusku opowiadał, że Mohammed - Ben - Abdallah - Ould - Sidi-Chigr jest świętobliwym mężem, który zamieszkał pośród swoich przodków. W tej sadybie na cmentarzy-sku jest właśnie z o u i a s, czyli szkoła, gdzie młodzieńców, wiedzy łaknących, świętobliwy mąż różnych umiejętności naucza. Przedewszystkiem zaś objaśnia im takie ustępy Koranu, które dla zwykłych śmiertelników są wprost niezrozumiałe. Młodzieńcy w z o u i a s kształcą się bezpłatnie, bo jest napisane w Koranie że: „nauki nie wolno sprzedawać“. Owszem: uczniowie nawet pożywienie otrzymują w szkole zadarmo, z ofiar jakie w produktach spożywczych mieszkańcy wioski, w której się szkoła znajduje składają hojnie marabutowi.

Zouias, zarówno i cały obręb siedziby marabuta, uważane jest przez Kabylów za miejsce uświęcone, kędy nawet zbrodniarz znajduje schronienie bezpieczne, kędy staje się nietykalnym.

Uczniowie po wyjściu ze szkoły, jeśli byli pilni i sprawowali się wzorowo otrzymują tytuł talebs, czyli uczonych, tytuł jednający im poważanie, w całym plemieniu. Dziwnie sympatyczną wydała się Wojtasiewiczowi ta kabylska szkoła, gdzie „nie sprzedają wiedzy” — gdzie siwowłosy, pobożny starzec, bezinteresownie młodzież poucza, że: żaden język ludzki nie opowie, ani żadna najbujniejsza fantazyja ludzka, w najlżejszych nawet zarysach nie wyobrazi sobie onych szczęśliwości, jakie otrzymują w niebie ci, którzy cierpieli i walczyli za wiarę i ojczyznę, że śmierć na polu bitwy, jest najchwalebniejszą, zazdrości godną; że śmierć każda nie końcem, lecz jest początkiem życia wiekuistego, szczęsnego jest pomyślnością bezchmurną, niezamąconą nigdy i niczem, żadną myślą bolesną i przykrą, żadnym żalem, żadną tęsknotą zatem, co tutaj na tej ziemskiej nizinie pozostało,—że człowiek podły i krzywo-przysięzca, renegat, który się wiary i ojczyzny wyprze, zdrajca, który u wrogów, w ziemi rodzinnej służbę obejmie, — po śmierci, w wiekuistych mękach zasłużoną karę poniesie.

Kabylowie przez etnografów są uważani jako mieszańcy różnych ras, przed wiekami zamieszkałych i panujących w północnej Afryce i przez

zwycięzców ze swoich siedzib wypartych. Sami zaś Kabyłowie mieniają się potomkami Kartagińczyków, którzy ze zburzonej przez Rzymian Kartaginy uciekli i oparli się, aż o podnóża Atlasu. Ze swej zburzonej metropolii, wychodźcy unieśli z sobą umiejętność rzemiosł i zdolności do handlu; z potrzeby wyuczyli się rolnictwa i hodowli bydła. Skutkiem ciągłych stosunków handlowych z Arabami, Marokańczykami i Turkami przejęli od tych narodów mahometanizm. Lecz pamięć o tej świetnej metropolii, która wedle ich mniemań, była ich kolebką, zawsze w Kabylach tkwi. Każde pokolenie tę tradycję przekazuje pokoleniom następnym. Marabuci w *zouï's'a'h* opowiadają uczniom historję Kartaginy. Serca młodzieży biją radosnem i dumnem wzruszeniem, kiedy jest mowa o bogactwach, o potędze i świetności Kartaginy, a nienawiścią płoną ku potomkom tych, którzy to bogate i przepiękne miasto zburzyli, to jest ku „niewiernym psom Frankom“, czyli Europejczykom.

W wielkim budynku, z białego kamienia mieści się szkoła wioski El-Barkani.

Wysoka, prostokątna budowla, frontem ku wschodowi zwrócona, podzieloną jest na parę kompartymentów.

W każdym jest duży otwór, przez który wygodnie wchodzi ludzię, a dość skąpo wdziera się światło.

Kamienna posadzka wyłożoną jest ładnemi,

postrepi matami, na których marabut i uczniowie zasiadają podczas wykładów. W uczelniach na ścianach wiszą fuzye, jatagany, szablice, starożytne maczugi i „tromblony“.

Kompartymenta na sypialnie przeznaczone, wyścielają skóry panter, hyen, lwów i baranów. Na tem podścielisku sypiają uczniowie.

W samym końcu budynku jest kuchnia. Tu stoją żarna do tarcia zboża na placki; wielkie uplecione z sitowia kosze, do przechowywania i noszenia owoców i jarzyn, gliniane naczynia do gotowania, oraz talerze i miseczki, z bardzo ładną glazurą i czerwoną ornamentacją. Ognisko mieści się w wykopanej w ziemi, głębokiej jamie.— Kabyłowie nieznają kominów, dym z ognisk wydobywa się przez otwory, w glinianej polepie zastępującej dach.

Szkolny budynek otacza duża, na wszystkie strony otwarta przestrzeń.

To cmentarz...

Tu spoczywają przodkowie marabuta-nauczyciela.

Prostopadłe płyty kamienne z wykutym półksiężycem — i imionami tych, którzy pod nimi spoczęli, sterczały pośród roślinności, bujnie krzewiącej się, na tym przedwiecznym cmentarzysku, ponad którym kołyszą się pierzaste, ogromne liście wysmukłych palm.

Tutaj w godzinach przedwiecznych, marabut przychodzi codziennie dumać nad znikomością

wszelkich rzeczy ziemskich i utworów rąk ludzkich.

Stąd powraca, coraz bardziej umocniony w wierze, że tylko Allah jest nieśmiertelnym i dusza ludzka też...

W zouïas, codzień, w oznaczonej godzinie, punktualnie zjawia się instruktor, mający przysposabiać młodzież do wojennego rzemiosła. Uczniowie zdejmują ze ścian jatagany, maczugi, szablance i wprawiają się we władanie bronią różnego kalibru.

Później biorą fuzye, „tromblony“ i strzelają do tarczy.

Te ćwiczenia w strzelaniu i nauka fechtunku, odbywają się pod gołym niebem, na odwiecznym cmentarzysku...

A kiedy, w pobliskim meczeciku, muezzin na północ i południe, na wschód i na zachód wywołuje sławę Allaha, uczniowie z marabutem na czele, modlą się, aby Allah corychlej zapanaował nad światem i, aby kult jego imienia rozszerzył się, po całym globie ziemskim.

Za pośrednictwem tłumacza Tenied-el Haad'a, marabut porozumiewał się ze Stachem.

Ów, pokrótce opowiedział mu swoją smutną odyseę. Że jest wygnańcem z krainy bardzo dalekiej, zamorskiej i na podgórzu Atlasu przygnała go konieczność zarabiania na życie, nie zaś chęć wojowania z Kabyłami.

Uczniowie zouïs'a w wiosce El Barkani, stojący kołem, wyprostowani, zręczni, silni, zdro-

wi, wyrazem skupionej uwagi na pogodnych obliczach, przysłuchiwali się rozmowie marabuta „z dobrym cudzoziemcem“, na którego spoglądali bez ciekawości natrętnej, lecz bacznie uważali na każdy jego ruch, na każde słowo.

Wszyscy ci młodzi byli ubrani jednakowo: w białe wełniane krótkie szaty, w szkarłatne pasy, białe, filcowe mycki i żółte filcowe papucie. Daktyle, chleb świętojański, miód podali Stachowi, na misternie wyrobionych talerzykach, a wodę w starożytnym, cudnego kształtu dzbanie, może jeszcze od Fenicyan i Kartagińczyków pochodzącym...

Kiedy, pod cieniem palm, w otoczeniu tych biało ubranych ludzi, na kwiecistej murawie siedząc Stach spożywał wonny miód, łamał strąki chleba świętojańskiego i chłodził się przeczystą wodą kryniczną — nasunęły mu się na myśl znane sceny biblijne... i doznał wrażenia, jak gdyby cud jakiś cofnął go, kędyś na brzegi Jordanu, o wiele... wiele wieków wstecz.

Już słońce większą połowę swej drogi na firmamencie ubiegło, kiedy Stach na tym samym siwku, z zacisznego obrębu szkoły, do ruchliwej i gwarnej wioski powracał.

Nagle na gościńcu ukazali się jeźdźcy.

Zbrojni, krwią i kurzem pokryci, wprost do El-Barkani w pełnym galopie walili z okrzykami:

— El mout! El mout!

Ten okrzyk: „śmierć! śmierć!“ od tureckich

janczarów przejęty, oznaczał walne zwycięstwo, zupełny pogrom wroga.

To Sidi-Emra-bak, szeik pokolenia Beni-Jani ze swej zwycięzkiej powracał wyprawy.

Cała wioska El-Barkani wyległa na gościniec.

Kabylowie długo, długo i szeroko rozpowiadali o pogromie Franków. A gdy przebrzmiały frenetyczne okrzyki, na chwałę szeika i na cześć Allaha, który ramieniem zwycięzcy kierował — wówczas Tenied-el-Haad znów, w roli pośrednika i tłumacza wystąpił, i po porozumieniu się z szeikiem i, ze starszyzną mówił:

— Marabuci ogłosili „d j e h a d “)! Wszystkie pokolenia algierskich Kabylów, wraz chwycą za broń i powstaną. — Mężtwo pokolenia Beni-Jami, Frankowie już nie raz jeden mieli sposobność poznać i ocenić. Ty sam wiesz o tem, dobry cudzoziemcze. Pocóż mają na swojej skórze doświadczać jeszcze siły, chrobrego oręża innych walecznych, kabylskich pokoleń: Beni-Abbès, Beni Batton, Henneiches i jeszcze rozmaitych innych... Niechaj Frankowie porzucają budowę jakiejś tam — szosy... Czy tak się ów gościniec nazywa?... Po co tę, tam jakąś szosę robicie?.. Na co się ona przyda?.. i komu?... Chyba lwy, pantery, szakale i hyeny tamtędy będą chadzać... Nasze kabylskie rumaki wybornie umieją piąć się

*) Świętą wojnę.

i, spuszczać na dół po wązkich, górskich ścieżkach, a nad przepaściami przemykają się chyżo, jak błyskawice... Posłuchaj i zapamiętaj to sobie, dobry cudzoziemcze: Atlas cały, niebosiężny Atlas i jego podgórze, to odwieczna własność Kabylów. Sam wszechpotężny Allah, z nad morza tutaj nas przywiódł i osadził i tę ziemię w posiadanie nam oddał... Myśmy nią władali przez wieki, użyźniliśmy ją naszą pracą, zleli naszym potem... Przecz Frankowie usiłują nam ją wydrzeć?... Przecz sprzeciwiają się woli Allaha?... Porzućcie waszą szosę— opuśćcie wasz obóz. Wracajcie tam skądście przyszli... Do Algieru powracajcie, jeśli wam życie miłe!

To rzekłszy Tenied-el-Haad zamilkł.

Przy tych ostatnich wyrazach, setki zaciśniętych niewieścich i męzkich pięści zwróciło się w stronę, kędy francuski obóz konsystował. Wojacy wyciągali z za pasa jatagany, z za boków szablice, szczękając nimi groźnie, zarazem dzikie wydając okrzyki.

Kiedy przycichł ów tumult, Tenied-el-Haad ciągnął:

— Skoro „d j e h a d“ wybuchnie i całe Atlasu podgórze świętym płomieniem ogarnie, spadniemy na wasz obóz, jako stado lwów nieustraszonych i zgniemy was, jako lwy stado płochliwych antylop wyduszą. Ocaliłeś życie naszemu szejkowi, dobry cudzoziemcze, od nas wdzięczność należy się tobie... I oto, ona wdzięczność nasza, do ciebie, przez moje usta przemawia i dora-

dza ci: dobry cudzoziemcze! powracaj do swoich i powiedz im:—chcą-li żyć?... niechaj do Algieru uchodzą... niechaj uchodzą corychlej...

Uradzono, że Stach uda, jakoby do niewoli był uprowadzony i umknął Kabyłom. Że powtórzy wszystko, co mu o wojnie świętej powiedziano i postara się przekonać swoich, że lepiej ustąpić, niżli rozpocząć walkę — z pewną przegraną, nawet gdyby nadesłano posiłki.

Kabyłowie zobowiązali się kilkanaście dni czekać z ogłoszeniem „d j e h a d“,

Chcieli obdarzać Stacha cennymi podarunkami. Nie przyjął.

Prosił tylko o całkowite ubranie Kabyła.

Gdy je otrzymał, zwałkł z siebie błękitne umundurowanie szóstego batalionu orleańskich strzelców, — cisnął je do jamy, w której płonął ogień, a skoro na popiół zgorzało, przywdział szaty miejscowe, owinał się haikiem i na konia skoczył.

Otrzymał najlepszego rumaka, jaki się znalazł w El-Barkani.

Szeik, z licznym orszakiem asystował mu aż do miejsca, skąd już łatwo mógł trafić do swoich. Przy pożegnaniu ofiarował mu swoją fuzyę.

Tenied-el-Haad pośpieszył z wyjaśnieniem, że dobry cudzoziemiec tego daru odrzucać nie powinien, albowiem szeik ofiarował mu to, co jest jego najmilszą i najcenniejszą własnością, zaś kupić fuzyi Kabyła nie można, za żadną cenę, co miejscowe przysłowie potwierdza: „Kabył posiada

wołu, konia, osła i fuzyę. Ałlach uderza w niego gromem nieszczęścia i ubóstwa. Wówczas Kabyl sprzedaje swego wołu, następnie osła, wreszcie pozbywa się rumaka swojego, tylko fuzyi swej, Kabyl nie sprzedaje za żadną cenę“.

Uwierzono zupełnie zmyśleniu, że Stach był jeńcem Kabylów, że zmyliwszy ich czujność zdołał się wymknąć z El-Barkani i, zabrawszy im dzielnego rumaka ująć ich pogoni. Uwierzono też temu, co było zupełną prawdą: wieści o wojnie świętej, którą zamierzali zorganizować marabuci, a która najliczniejsze i najbitniejsze pokolenia algierskich Kabylów miała powołać pod broń.

Ta ewentualność budowę szosy usuwała do nieokreślonego terminu, a wobec groźby wojny świętej mały, już przez ostatni napad zdziesiątkowany oddziałek na podgórzu Atlasu, był narażony na absolutną zagładę i, to bez żadnej dla Francji korzyści.

Dowódzca oddziałku, porucznik Adryan Colombet, z konsternacyi wielkiej, ile, że ostatnia klęska, była jego winą, stracił zupełnie głowę i dopiero Stach podszeptał mu, że śladem pierwszych gońców, z wieścią o pogromie trzeba wysłać innych, z temi wieściami, które on z El-Barkani przywiózł, a które, skoro wódz naczelny generał Saint-Arnaud odbierze, bezwątpienia wyda

rozkazy, aby oddziałek niezwłocznie do Algieru powrócił.

Stało się jak powiedział Wojtasiewicz.

Pospiesznie zwinięto obóz, spakowano bagaże na furgony, i wyruszono do Algieru.

Stach nie zdjął już ubioru Kabyła. Sam chory i wrażeniami złamany, w zupełności poświęcił się pielęgnowaniu ранnego Gezy Czen-gery.

Ku Algierowi zdążając, oddziałek maszerował przez okolice często bezludne, bezdrzewne i piaszczyste. Żołnierze złorzecząc, grzęzli w rozpalonym piachu, zmordowani marszem, najczęściej głodni, bo zapasy żywności już się wyczerpywały i wydzielano im zmniejszone racye,—nie-rzadko pragnieniem dręczenia, bo i wody nie zawsze było pod dostatkiem. A jakikolwiek posiłek trudno było zgotować, bo musieli ścinać palmy i rąbać je, aby rozpałić ognisko. Po krótkich biwakach następowały długie marsze. Taki pochód skrós niedawno i, to tylko częściowo zawojowanego kraju i, pośród ludności tubylczej naogół nienawidzącej Europejczyków — nietylko był nużący, ale i niebezpieczny bardzo.

W każdym palmowym gaju, na każdym załomie drogi, za każdym pagórkiem, a zwłaszcza w każdej wiosce, przez którą maszerowali, zdawało się czyhać widmo śmierci.

I to nie śmierci od kuli, albo od cięcia pałasza, śmierci chwalebnej, która walczących na polu bitwy powala podczas wojny, ale śmierci

męczeńskiej, gdyż krajowcy w razie zwycięstwa, okrutnie pastwili się nad rannymi, albo do niewoli wziętymi Francuzami.

To też okrzykiem radości huknęli wyczerpani z sił żołnierzyska, kiedy, w perspektywie niezbyt już odległej, ujrzeni minarety algierskich meczetów i wysmukłe, w niebo strzelające wieżycy katolickiego kościoła i ponure, groźne bastiony prastarej fortecy *Kasbah*, wzniesionej na cyklu daleko wsuniętym w morze, — słowem: kiedy ukazał im się Algier.

Algier ze Śródziemnego morza wyrastający, jakgdyby, z czary napełnionej płynnym szafiirem.

Algier pod kopułą szafirowego firmamentu.

Algier skąpany w złocie blasków słońca.

Algier w zielonem obramowaniu palm, laurusów, mirtów, kolosalnych agaw, karminowem kwieciem pokrytych rodedendronów, bujnie rozkwitłych datur białych i, szkarłatnych bukietów na drzewach granatów.

Zbiedzony, w wypętlonych od słońca i deszczu, zakurzonych mundurach, w podartych kamazach, wkraczał do miasta szósty batalion strzelców orleańskich, pod wodzą porucznika Adryana Colombet.

Armaty i furgony wlokły się turkoczając po twardej drodze. Brzęk łańcuchów i chwierut małych chorągiewek przy furgonach, trzaskanie z batów popędzających bezsilne konie, mieszały się w chrapliwą i przykrą kakofonię.

Dążyli do twierdzy *Kasbah* będącej siedli-

skiem wojsk francuskich i ich naczelnego wodza generała Saint-Arnaud.

W miejscu, kędy krzyżują się cztery ulice zetknęli się, ze szwadronem lansyerów.

Wiódł ich brygadyer Leverdo.

Powracali z wyprawy przeciw jakiemuś plemieniu Kabylów, którzy aż pod sam Algier dotarli. Wymordowawszy kilka, po okolicy krążących francuskich patroli, umknęli aż do swoich siedzib na płaskowzgórzu Jur-Jurra.

Wprawdzie brygadyer Leverdo nie walczył z tymi Kabylami, ani się nawet z nimi nie spotkał — wszelako do Algieru powracał, z muzyką, jakoby w tryumfie, po odniesionem zwycięstwie.

Jego lansyerzy u „s h a k o s“ i lanc mieli mirtowe i laurowe gałązki, u boków mieli szkarłatne kwiaty granatu.

Gdy tak tryumfalnym marszem, lansyerzy na pysznych koniach arabskich, defilowali przez miasto, kupcy Arabowie wychodzili ze swoich sklepów i włączili na kamienne ławy, aby się lepiej przypatrzyć wojakom. Żydówki powybiegały na belwerki swoich domów. Zawołowane Turczynki i Maurytanki, poprzez obwite pnączem kraty swoich balkonów, spozierały na pięknie umundurowanych Francuzów, którym po obu stronach ulicy towarzyszyły gromady Murzynów nagich, tylko w jaskrawych opaskach na biodrach, dzikie tańce wykonywających, w takt wojskowej muzyki, grającej Marsylianę.

Kontrast dziwny, a bolesny stanowią te dwa

oddziały wojska, z pod jednego sztandaru; dwa oddziały, które jednocześnie i razem kroczyły ku tak zwanej: „Nowej Bramie“ w obręb fortyfikacyi twierdzy Kasbah prowadzącej.

— Zwycięzcy i pokonani!—mówili Francuzi, których spotykali,—spoglądając z dumą na wspańniętych lansyerów, ze współczuciem na zmizero-
wanych i obdartych żołnierzy szóstego pułku strzelców orleańskich, a przyjaznem spojrzeniem ogarniając wszystkich.

Stach Wojtasiewicz, jako rzekomy jeniec Kabylów, jeniec który zdołał zmylić czujność i zbiedz z niewoli uprowadzając z sobą konia, zabierając szaty i fuzyę, jeniec który nocą pojmany, zdołał przecież zoryentować się i trafić do obozu Francuzów—był uwielbiany przez żołnierzy, a chwalo-
ny przez naczelnego wodza i, cały jego sztab.

Naczelny wódz chciał go koniecznie włączyć do armii francuskiej, chciał z szeregowca posu-
nać go na sierżanta, tembardziej, że już służywał wojskowo i wojenne rzemiosło nie było mu obce, lecz Stach za wszystkie te propozycye zaszczytne, podziękował grzeczną odmową, którą umotywo-
wał okolicznością (zaimprovizowaną naprędce), że wedle otrzymanych wiadomości, niebawem będzie już mógł powrócić do Ojczyzny, do Polski.

Wyplącono mu tedy żołd z dodatkiem drobnej nadwyżki tytułem nagrody, pozwolono zabrać ko-
nia, na którym (niby to) uciekł z El-Barkani i, uho-
norowany uściskiem ręki generała Saint-Arnaud

opuścił fortecę Kashah, zabierając z sobą chorego Gezę Czengery.

Postrzałowa rana, którą Czengery otrzymał, podczas owej strasznej rzezi, przez Kabylów we francuskim obozie sprawionej, nie była ani wielką, ani też zbyt bolesną. Wszakże bez umiejętnych opatrunków, gdyż lekarza wcale w obozie nie było, a felczer poległ, — rana zaogniła się, zaropiała i, wprowadziła rannego w stan gorączki i bezwładu.

Tedy Stach wynajął lektykę, będącą w Algierze, w owej epoce, bardzo używanym środkiem lokomocyi przez ludzi zamożnych, i czterech Nubijczyków w pasiastych, krótkich sukniach i takichże turbanach, przez ciemne wąziutkie, niejednokrotnie strome, algierskie uliczki niosło chorego, ostrożnie i uważnie, ustępując z drogi Arabom nawołującym monotonnie: „balak! balak!“ *).

Stach obok lektyki szedł, co trochę rozchylając zasunięte firanki, uśmiechając się i zagadując do Gezy, który, jak każdy człowiek ciężko chory niecierpliwił się i niepokoił.

Minęli główną, a jedyną, brukowaną ulicę w Algierze: Bab-Azoun-Bab el Oued, przeszli około przewspaniałych meczetów: Dżama Kebir i Dżama Dżedyd i wysunęli się na przedmieście, kędy pośród cytrynowych i pomarańczo-

*) z drogi!

wych gajów, pośród palm, granatów i platanów, małe domki, o zębatych wieżyczkach, białością swoją migocą i, mienia się, niby konchy na szmaragdowe tło rzucone.

W tych przedmiejskich domkach, pośród mnóstwa wodotrysków, zamożni mieszkańcy Algieru zwykle chronią się, podczas największych upałów.

Tutaj Stach wynajął, dla chorego przyjaciela mieszkanko i urządził je dostatnio i wygodnie.

Sprzedawszy konia, którego mu był ofiarował szejik Sidi Emra-bak, otrzymał sumę poważną, co łącznie z żołdem, jaki Gezie i jemu wypłacano, pozwalało na większe wydatki.

Przy wynajęciu mieszkanka, przy robieniu sprawunków, słowem: przy całej instalacyi markietanka Amanda, była dla wygnańców opatrnością prawdziwą.

Spotkali ją zaraz na wstępie, do fortecy Kasbah, gdzie wraz z matką rezydowała.

Jakkolwiek przy pierwszym poznaniu Amanda obiecywała im „wydrapać ślepie“, po bliższej znajomości nie tylko zaniechała tego zamiaru, ale chociaż się, o to, co prawda, nie starali, obdarzyła ich przyjaźnią bezinteresowną nieudaną i postanowiła chorego „Żezę“ pielęgnować i obydwom być pomocną, w ich opuszczeniu i niedoli.

Bez ogródek powiedziała matce, że stokroć lepiej, uczciwiej spełniać funkcyę „soeur de charité“ przy chorym wygnańcu, niżli wino i osmażane kasztany sprzedawać oficerom, a go-

rzakę żołnierzom; że stokroć przyzwoiciej przebywać, w zacisznem ustroniu, w towarzystwie dwóch, nieszczęśliwych wygnańców i, katolickiej rodziny Arabów, niżli gnieździć się w twierdzy, przy garnizonie hulaszczym i bezbożnym. Głodziutko zaczęsała czuprynkę, zrzuciła żołnierski kaszkiet i krótki, zalotny strój markietanki, a przywdziała długą, luźną suknię, z grubego szaroniebieskiego płótna i, po burzliwej scenie z matką, przeniosła się do willi Budjaréah, i oddała się z poświęceniem pielęgnowaniu Gezy.

Jednak pomimo, że Stach wzywał lekarzy francuskich, że sprowadzał Arabów i Maurów trudniących się leczeniem, a nawet sprowadzał znachorów, używających wielkiej sławy pośród Murzynów i Żydów, zdrowie Gezy Czengery pogarszało się, z każdym dniem.

Z dorodnego, wspaniałej postawy mężczyzny zrobił się kościsty szkielet, poźółkłą pomarszczoną skórą obciągnięty. Piękna jego, rozpalona głowa nieruchomo spoczywała na poduszkach, bezprzytomna... Często znów bolesne wizye strat poniesionych, rozwianych nadziei, rozstań okrutnych i zawodów udreęczały chorego,...

Aż raz, kiedy z pomarańczowego ogrójca, wonne powiewy, przez rozsunięte żaluzye do pokoju chorego wpływały, kiedy świt różowy zaglądał, a właśnie gwiazda porankowa gasła,—zgasło i młode, a nieszczęśliwe życie wygnańca i czysta dusza Gezy Czengery uleciała do nieba.

.

Jakkolwiek Geza Czengery wbrew swojej woli, przemocą był do wojska francuskiego wciągnięty, generał Saint-Arnaud postanowił uczcić go, jako szermierza, który zginął za sprawę podboju Algieryi, przez Francję.

Świetność i pompa pogrzebu miała zaimponować krajowcom, a zachęcić cudzoziemców do udziału, w tworzącej się właśnie „Legii cudzoziemskiej“ do walki, pod sztandarem Republiki francuskiej.

Na wspaniałej trumnie ze zwłokami Gezy Czengery, złożono pałasz i „s h a k o“ szóstego batalionu strzelców orleańskich.

Naczelny wódz, generał Saint Arnaud, obok Stacha Wojtasiewicza, z całym swoim sztabem postępował tuż za trumną, poprzedzali ją katoliccy kapelani wojskowi: l'abbé Berthezène, brat generała tegoż nazwiska, l'abbé de Combret, Gabrielli, Isacharus.

Wojskowa orkiestra naprzemian grała żałobny marsz Beethovena i Marsylianę.

Kiedy na cmentarzu postawiono trumnę, nad wykopaną świeżo mogiłą, wojsko defilowało przed nią, z rozwianymi sztandarami.

Geza Czengery był kalwinistą, nikt się o to nie troszczył — celem wspaniałości była manifestacja i zaimponowanie pogrzebową pompą.

Porucznik Adryan Colombet, w długiej mowie wysławiał waleczność „swego ukochanego towarzysza broni“ oraz wielkoduszość cudzoziemca, który się duchem i celami, z Francją zjednoczył.

Republika francuska, po całym świecie, aż po krańce ucywilizowanego świata, propaguje podniosłe zasady: braterstwa, równości, wolności narodów całych i, pojedynczych ludzi. Rzeczpospolita francuska usiłuje, wśród dzikich plemion zaszczipiać dobrodziejstwa europejskiej cywilizacji i oto — ten, którego oplakujemy — ten: „Żeza“ Czengery, za podniosłe idee i cele Francji, życie oddał w ofierze...

Porucznik Adryan Colombet, z początku przemawiał, z właściwym Francuzom patosem...

W końcu porwała go własna retoryka, i... łzy popłynęły mu z oczu..!

Zakończył okrzykiem:

— Vive la France! Vive la République française!

Okrzyki te nie licujące bynajmniej, z powagą obrzędu i miejsca, obecni powtórzyli z entuzjazmem i to, wielokrotnie...

Raz jeszcze przed zwłokami Gezy Czengery, pochyliły się francuskie sztandary... piaszczystą ziemią zasypało mogiłę, zaczęli generalicyja i wojsko opuścić cmentarz.

Tłumy Arabów, Maurów, Żydów — jakgdyby po ciekawem, a świetnem widowisku, gawędząc i gestykulując rozchodziły się zwolna... i rozjeżdżały się na koniach, na osłach i wielbłądach... znikwały w lektykach, unoszonych chyżo przez Nubijczyków...

Wreszcie cmentarz zaległa cisza...

Nad świeżą mogiłą pozostał tylko zrozpa-

czony Stach Wojtasiewicz i szlochająca Amanda, która mogiłę „Żezy“ przystrajała gałęzmi palm i barwnem, wonnem kwieciem.

Ten tylko, kto na obczyźnie stracił jedyne go przyjaciela i, znalazł się absolutnie samotnym, mógłby zrozumieć uczucia Stacha Wojtasiewicza, kiedy do swego pustego mieszkania, po pogrzebie wrócił.

Zastał tam kapitana Berqnier, który wywiązując się z danej obietnicy, listy do Polski wyprawił i, odpowiedzi Stachowi, — a Gezie, miłosną missywę, od Giovanniny di Rivoltella przywoził.

Z Polski przyszły same hiobowe wieści.

Cytadela i Modlin, jak donoszono Stachowi były przepełnione.

Na Sybir, z Polski, wciąż kibitki do katorgi, lub na osiedlenie wiozły Ściegieńszczyków, uczestników Związku Młodzieży i innych „polityczeskich przestupników“.

Łzy i żałoba — żałoba i łzy gościły we dworach i dworkach, na całym obszarze ziem polskich.

List Uriela Orvietty, odnośnie do interesów Gezy Czengery zawierał też bardzo niepomysłne wiadomości. Po sprawdzeniu na miejscu, okazało się, że majątności Gezy, w Siedmiogrodzie, czasu węgierskiej wojny, były zupełnie zniszczone. Zbun-

towani kurialiści, Wołosi, zrabowali dom mieszkalny, który następnie podpalili, łącznie ze wszystkimi, zabudowaniami gospodarskimi. Park i owocowe sady były wycięte. Ogromne obszary ziemi leżały odłogiem. Słowem: wszędzie tylko były zgliszcza, zniszczenie i ruina, którą się nikt nie zajmował, ani dźwigać jej nie myślał. — Prawdopodobnie zagarnie ją fiscus, jako „ziemię bezpańską“. Ten, któremu Geza wypuścił swoje dobra w dzierżawę, huzar siedmiogrodzki, Szandor Radosy, obecnie przebywał w Medyolanie, gdyż po kapitulacyi Görgöya, pod Villagos, wojsko węgierskie, zostało wcielone, w kadry wojsk austryjackich, w te właśnie pułki, które konsystowały, we Włoszech. Szandor Radosy leżał, w wojskowym szpitalu i sam zbiedzony, chory, zubożały, ani jednego grosza, na rachunek zaległych czynszów dzierżawnych, nie mógłby obecnie wypłacić, nawet kwestya, czy kiedykolwiek będzie mógł to uczynić.

Stach, list Uriela Orvietty spalił, a długą misywę Giovanniny di Rivoltella, nieczytaną zaniósł na grób Gezy i głęboko włożył ją w ziemię, pokrywającą zwłoki tego, do którego była pisana.

Marzenia Stacha, o powrocie do ojczyzny, zaledwie powzięte, rozwiały się pod wpływem listów od rodziny, które otrzymał. — Widział, że niepodobieństwo było powracać do Polski.

Postanowił tedy pozostać, w Algieryi, a, w oczekiwaniu pomyślniejszych okoliczności, zabrać się do zarobkowej pracy.

Tak!.. Ale jakiej?

Przekonania jego, nie pozwalały mu zaciągnąć się do wojska, i walczyć z plemionami broniącymi swej niepodległości. O handlu nie miał pojęcia, ani też nie posiadał funduszków na rozpoczęcie jakiego handlowego przedsiębiorstwa;—zdrowy, silny, wytrwały na wszelką biedę i poniewierkę już zahartowany — zamierzył jąć się pracy ręcznej, która już parokrotnie dała mu utrzymanie, wprawdzie nędzne, no! ale on już przyzwyczaił się ograniczać swoje potrzeby, do minimum.

Pocieszał się nadzieją, że nie zginie.

Na jakich zaś podstawach, tę swoją nadzieję fundował?..

Doprawdy, nie umiałby tego wyraźnie określić. Poprostu: liczył na traf, który już parokrotnie, w ostatnich czasach, szczęśliwie przyszedł mu z pomocą.

Skoro Amanda postanowiła, raz na zawsze, wyrzec się rzemiosła markietanki i skoro okazało się, że to postanowienie jest niecofnięte, matka jej, z twierdzy Kasbah przeniosła się do Algieru i zamieszkała z córką, oczekując dobrej sposobności powrotu do Francji.

Stach pomieścił się u nich, a życzliwość i towarzystwo obu kobiet dobrych, aczkolwiek niewykształconych, było mu wielką, w jego osamotnieniu pociechą. — Jadali razem, razem zwiedzali miasto, a celem codziennych spacerów Stacha, był cmentarz katolicki.

Towarzyszyła mu zawsze Amanda.

Żałosna smętność tego ogrójca, harmonizowała ze smutkiem Stacha.

Przy mogile zgasłego przyjaciela czuł się mniej samotnym. Poddawał się złudzeniu, że jego cień jest tuż blisko i, do tej duszy, z więzów cielesnych oswobodzonej, przemawiał z miłością, a zarazem z goryczą i z zazdrością, że już odeszła do mety, od której się nie powraca.

Cmentarz był bardzo stary. Otaczał go kolczasty płot, dziwacznych kształtów kaktusów poza którymi ciągnął się mur wysoki. Pośród palm, platanów i przedziwnej piękności kwiatów i roślin, było mnóstwo płyt marmurowych i kamiennych, już prawie w ziemię wrosłych, na zapadniętych mogiłach.

Większość tych płyt nie miała żadnych napisów.

Na innych, napisy były już zatarte, lub też zagnieździły się w nich drobniutkie roślinki i kwiatuszki. Nikt o tych grobach nie pamiętał, bo spoczywali w nich nie krajowcy, lecz Europejczycy, których śmierć zaskoczyła kiedy, w Agierze przebywali — chwilowo, przelotnie.

Pośród tych starych, zaniedbanych i zapomnianych mogił, wyróżniał się grób niedawny, ozdobiony alegorycznym pomnikiem, z białego marmuru i, bardzo starannie utrzymany. Pomnik przedstawiał anioła śmierci, który z ziemi unosił w swoich objęciach i, otulał swojemi skrzydłami postać pięknego młodzieńca.

Na piedestale pomnika był napis francuski:

Pamięci
Raula Savigny.
W 21-ej wiosnie swego życia
Oddał Bogu swą czystą duszę.
Przechodniu!
Módl się o pociechę dla
zropaczonych rodziców,
po stracie jedyne go syna.

Raul Savigny spoczywał w pobliżu mogiły Gezy Czengery i, Stach nigdy nie minął pięknego grobowca, aby się nie zatrzymać przy nim i nie pomodlić.

Sam zboleły po stracie przyjaciela współczuł żalowi innych, których śmierć rozłączyła, z ukochanymi.

Oboje z Amandą ubolewali, że ich fundusze nie pozwalają im, równie artystycznym pomnikiem uczcić pamięć zmarłego przyjaciela projektując, a zarazem pocieszając się nadzieją, że przy pierwszej możliwości to uczynią.

Raz, kiedy po dłuższej modlitwie, a właściwie może po dłuższej zadumie przy posągu przedstawiającym, uskrzydłonego anioła śmierci—Stach podniósł się z klęczek, jakiś głos łzami nasiąknięty przemówił po francusku:

— Dziękuję panu, z całego serca dziękuję, że spełniłeś prośbę, na tym marmurze wyrytą.

Stach się odwrócił i spojrzał:

Przed nim stał szpakowaty, bardzo sympatycznej powierzchowności mężczyzna, z odkrytą

głową, ze wstążeczką Legii honorowej, w butonierce czarnego surduta.

Oburącz trzymał wiązkę, czyli raczej snop wielobarwnego kwiecia i kilka palczastych gałązek palmowych. Z oczyma pełnemi łez, rozrzuwiony i wzruszony powtarzał:

— Dziękuję panu! z całego serca dziękuję! Jestem właśnie, zrozpaczonym ojcem tego, którego nam śmierć wydarła.

Stach skłonił się głęboko i wymienił swoje nazwisko, objaśniając, że codzień odwiedza grób przyjaciela, którego postradał niedawno.

Siwy pan, przystąpił do mogiły Gezy—skłonił się przed Amandą, która była czarno ubrana, z zarzuconym na głowę żałobnym welonem i spytał:

— Pani zapewne była narzeczoną...

— Spełniłam przy zmarłym obowiązki „soeur de charité“, — odrzekła, dumnie podnosząc ładną główkę.

Savigny położył na ziemi swoją wiązkę kwiecia, wybrał co najpiękniejsze i, złożył je, na mogile Gezy.

Następnie grobowiec swojego jedynaka przystroił, ukląkł i z głową ukrytą w dłoniach, przez które przeciekały łzy, modlił się długą chwilę. Zaczem powstał i znów do Stacha się zwrócił, z zapytaniem:

— Bywam często w Algierze i znam wszystkich osiadłych tutaj Europejczyków. Pan niedawno przybył tu zapewne?

— Rzeczywiście tak. Jestem Polak...

Sawigny wyciągnął do niego ręce.

— Polak! — zawołał z niekłamanem zadowoleniem — z Polakami łączy Francuzów, braterstwo broni; tyle sławnych zwycięstw odnieśliśmy pospołu... tyle tryumfów święciliśmy razem... Miałem zaszczyt, w Paryżu znać bardzo wielu ziomków pana. Co pan w Algierze porabia?

Stach opowiedział mu pokrótce, swoją historię.

Słuchał uważnie, ze szczerem współczuciem, dla smutnej doli wygnańca, a skoro Stach skończył rzekł:

— Po wielkiej rewolucyi, niedużo znalazło się we Francyi, ludzi religijnych. Ja właśnie do tej szczupłej liczby wierzących należę, och! i całym sercem. A ty, młodzieńcze, azali wierzysz, że Opatrzność naszymi losami kieruje?.. że nas jak-gdyby za rękę, na właściwe ścieżki wprowadza?

— Dotychczas wierzyłem, że tak jest, — odpowiedział Stach — i pragnąłbym tę wiarę do końca życia zachować.

— Otóż—ciągnął Savigny,—błyska mi myśl, że to łaskawa Opatrzność zbliżyła nas z sobą... Bo rozważ tylko młodzieńcze!.. to spotkanie się nasze, przy grobie mojego syna, azaliż nie jest wskazówką, że zawarta tutaj znajomość, nie może pozostać tylko chwilową i przelotną?.. Wiesz co?.. ty poszukujesz pracy, a ja za pomocnikiem, w różnorodnych moich zajęciach się oglądam... Przyśiągłbym, że właśnie ty, jesteś owym współpracownikiem, którego od śmierci syna poszukuję — daremnie... Mieszkam w Blidach. — Jedź ze mną!

— Zgoda! — bez namysłu zawołał Stach, — masz rację panie Savigny, że to rządzenie Opatrzności zbliżyło nas z sobą.

Po powrocie do miasta, omówili zobopólne wymagania.

Stach coprawda, nie miał żadnych — na wszystko dawał niezmienną odpowiedź:

— Zgadzam się! Akceptuję.

Przy takim usposobieniu, jednej ze stron, układających się, umowa wnet została zawartą, z obopólnem zadowoleniem.

Savigny ułożył wyjazd do Blihad, za dwa dni.

Na ostatni wieczór, jaki mieli przepędzić w Algierze zaprosił Stacha, do kawiarni pod „Okretem pustyni“.

— Kawiarnia ta, będąca punktem zbornym, gdzie cowieczórz gromadzali się wszyscy Europejczycy osiedli w Algierze, albo czasowo w tem mieście przebywający, będąca terenem, gdzie układano wszelkie spekulacye, interesa handlowe, oraz omawiano sprawy publiczne i prywatne — była przepełnioną, gdy Savigny i Stach weszli.

Szklane ściany, aż prawie się trzęsły, od gwaru hałaśliwych rozmów, przeważnie po francuzku prowadzonych.

Siwemu panu byli tu wszyscy znajomi; ze wszystkiemi witał się przyjaźnie, a nawet wesoło. Znać było, że się do wesołości przymusza, ale oczywiście zależało mu na tem, aby się do ogólnego tonu dostosować.

Otoczyło go kilku jegomościów i śmiejąc się,

a gestykulując żywo, coś mu przyciszonym głosem proponowali, natarczywie nalegali o coś, — od czego Savigny wymawiał się bardzo energicznie, aż wreszcie, jakgdyby zupełnie wyczerpała się w nim siła oporu, niechętnie i nawet z pewnym niesmakiem wyrzekł:

— Zresztą, skoro już tak chcecie koniecznie... cóż poradzę? *nec Hercules, contra plures.*

Otoczający Savignyego mężczyźni wybuchnęli śmiechem:

— *Fi don c!* Savigny! nie możesz pozbyć się nawyków wyniesionych, z jakiegoś konwentu, kędyś pobierał edukację... Co za pruderya!.. I nie częstujcie nas mniszą łaciną! Chodź!

— Idę — wyrzekł siwy pan, ociągając się jeszcze. — Ale poczekajcie... Nie jestem sam.

— *Tant mieux!*

Savigny skinieniem przywołał Stacha, który dyskretnie stał na uboczu, zapoznał go ze swoimi towarzyszami, zaczęli przeszedłszy frontowy lokal kawiarni: kilka sal oświetlonych rzęsiso, przez wązkie korytarzyk, wydostali się, na mroczną zupełnie przestrzeń.

Był to dziedzińczyk wyłożony drobnymi tafelkami z białych i, na ponsowy kolor zabarwionych kamieni.

Ze wszystkich stron czworokątnego dziedzińczyka były kamienne filary, na których wspierał się krużganek, z lekką, także kamienną balustradą. Mur poza gankiem, biały i gładki, pokrywały jakieś znaki, które może były pismem arabskim.

Minawszy dziedzińczyk zatrzymali się, przed ciężkimi drzwiami, do których idący przodem Francuz brązową kołatką zapukał.

Drzwi otwarły się natychmiast.

Służący w stroju Araba zgiął się, w czołobitnym pokłonie.

Weszli do przedsionka oświetlonego rzęsiście.

Wraz pojawił się drugi Arab.

Powitał wchodzących ukłonem, ale już mniej uniżonym; z fałdów burnusa, zręcznym ruchem wyciągnął coś, w rodzaju małej, drewnianej tacki, na którą przewodniczący towarzyszom Francuz, rzucił kilka sztuk złotej monety.

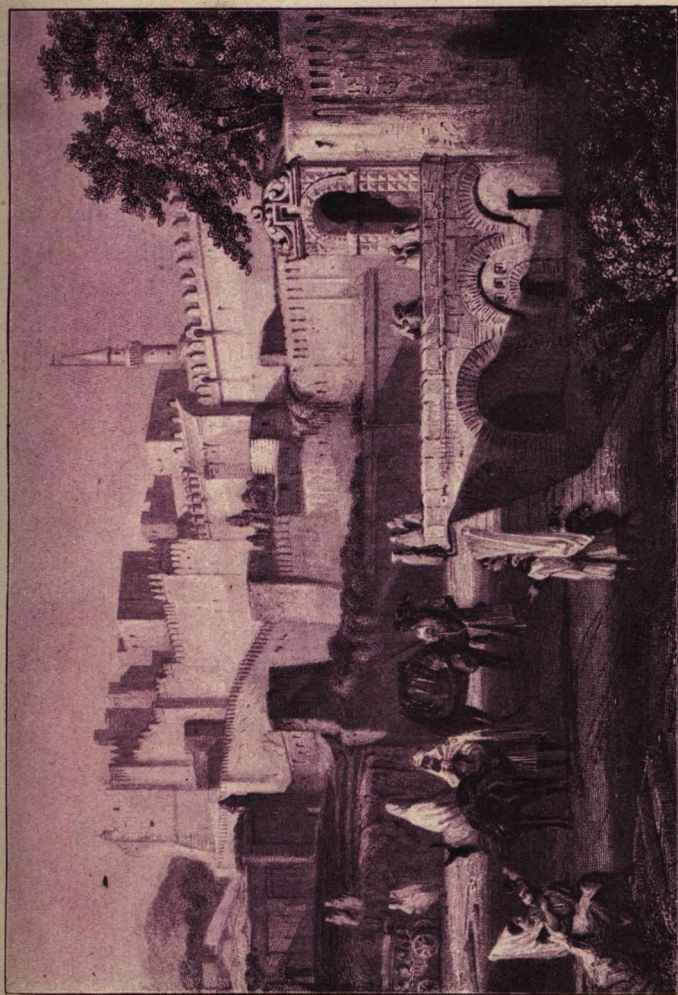
Arab objął pieniądze bystrem spojrzeniem, jakoby je przeliczał, drapieżnie schwycił je garścią, ukrył kędyś na piersiach, a znać datek, czyli też zapłata musiała być hojną, bo jego oczy błysnęły zadowoleniem i skłonił się powtórnie.

Francuz szepnął mu do ucha:

— En qualité d'habitués de la maison, prosimy o dobre miejsca.

Skinął głową przyświadcżając — mruknął coś trzeciemu Arabowi, który wylazł, z jakiejś antykamery. Narzucił każdemu z nich na głowę kawał białej, lekkiej, wełnianej tkaniny, która miękkimi fałdami spływając otuliła całą postać. Zaczem podniósł ciężką zasłonę i, uczyniwszy majestatyczny gest zaprosił ich do wejścia.

Teraz znaleźli się w obszernej, półokrągłej sali, której środek wyściełały maty. Pod ścia-



BRAMA BAB-AZOUN PROWADZĄCA DO FORTECY KASBAH W ALGIERZE (Nowa Brama)



nami zaś były rozłożone przepyszne, puszyste dywany.

Na dywanach tych siedzieli mężczyźni, także okryci, w białe, wełniane draperye. Milczeli, pociągając aromatyczny tytoń z nargili. Przed każdym, na malenieczkim stolicku drewnianym, inkrustowanym perłową konchą stała filiżanka, z jakimś ciemnym płynem.

Ponad tą salą, w kształcie rotundy, była kopuła, z mlecznego szkła.

Poprzez opalowe szyby spływało światło mieniącego się koloru tak słabe, że dolna część rotundy tonęła w rozmarzającym, łagodnym półmroku.

Wprost wejścia zwieszała się ciężka zasłona, powiedzmy: kurtyna aksamitna, ciemnowiśniowego koloru, pokryta haftem przedstawiającym ptaki, motyle, uskrzydłone zwierzęta nieistniejących barw i kształtów.

Dwaj murzyni zupełnie nadzy, z purpurowymi przepaskami, w około bioder, stali po obu stronach kurtyny.

Savigny pociągnął Stacha.

— Siadaj przy mnie. Nie pal! Nie pij tutaj nic! Rozumiesz: nic tu nie bierz do ust... ani kropelki... przy pierwszej możliwości umkniemy stąd—szeptał kiedy jego towarzysze wygodnie zsiadali na dywanach.

Arab podał im nargile. Przysunął stoliczki i postawił na nich filiżanki napełnione jakimś ciemnym, gęstym płynem.

Wszystko to czynił szybko, zręcznie, stając cicho jak kot, a kiedy już ich obsłużył, cofnął się tam, skąd przyszedł.

W wonnem powietrzu unosiły się obłoczki dymu, ale chociaż wielu tu było palaczy, dymu nie było zawiele, ulatniał się przez jakieś niewidoczne otwory, w ścianach.

Panowała absolutna cisza...

Niekiedy tylko ktoś, nieostrożnym gestem potrącił stoliczek... Stuknęła filiżanka... brzękło kryształowe naczynie nargilu...

Z jakiegoś zakątka ozwała się czkawka, lub krótki wybuch nerwowego chichotu...

I znów rotundę zaległa cisza...

Zaczęło to Stacha nudzić!... niecierpliwić... po całodziennym bieganinie za interesami Savignye-go był znudzony... ogarniała go złość... wreszcie ogarnęła go senność, z którą usiłował walczyć, lecz która zmogła go wreszcie...

Oparł się plecami o ścianę, która też miękkim dywanem była wyłożoną i zadrzemał.

Rozbudziły go jakieś dźwięki.

Wytrzeźwiał...

Zaczął wsłuchiwać się uważnie, aby się mógł zorientować i rozeznać co to jest?

To za kurtyną na flecie i na oboi grano.

Melodyjne dźwięki zdala wionęły po sali, aczkolwiek delikatne, słyszać je było, w najdalszym zakątku rotundy która zaczęła się ożywiać.

Nieruchomi dotychczas palacze poruszyli się...

Ten i ów mruknął coś niewyraźnie, a wszyscy

rozgorączkowane spojrzenia skierowali w stronę kurtyny, którą murzyni zaczęli rozsuwać powoli... powoli...

I powoli... powoli też... wynurzała się przestrzeń, w stosunku do swej długości zawązka, — a tak jasna, iż możnaby mniemać, jakoby promienie słoneczne do niej wpadały.

W pośrodku tej, łuną światła gorejącej przestrzeni, stała jakaś postać leciuchnemi tylko konturami obrysowana...

Tę postać, przed zgromadzonymi w rotundzie mężczyznami, osłaniały przezrocze gazy w kolorach, tak skombinowanych, że wisząc jedna na drugiej i obok siebie tworzyły tęczowe barwy.

Tymczasem w szklanej kopule, ponad rotundą zupełnie światło zagasło...

Niewidzialne ręce unosiły zasłony jedną po drugiej, a w miarę jak w górze nikły, z tych gazowych obwolut, wyłaniały się konkretne kształty niewieście.

Wreszcie ukazała się młodziutka, wysmukła, cudnej urody dziewczyna.

Miała włosy ułożone w węzeł grecki, podwójne złote opaski na kształtnej główce i białą chlamydę, na prawem ramieniu spiętą błyszczącą klamrą.

Ktoś ukryty zagrał na „viola d'amore“.

Przy dźwiękach tej muzyki, dziewczyna zwolna posuwała się ku widzom.

Gdy już wprost do nich się zbliżyła, przystanęła na chwilę... zaczęła określić się wiro-

wym ruchem, w którym chlamyda zsunęła się z jej ramion...

Dziewczyna wirowała wciąż... a chlamyda zsuwała się coraz niżej... coraz niżej... aż u jej stóp upadła, na wysłaną kobiercem podłogę.

Tanecznica zatrzymała się wówczas...

Podniosła w górę ręce, z ukwieconemi gałązkami granatu, które utworzyły nad jej złotowłosą głową girlandę, jakgdyby z płomieni...

I w tej pozie, oblana światłem jaskrawem stała nieruchoma, jak posąg...

Pomruk zadowolenia rozszedł po sali i półgłosem, po francuzku wyrzeczone zachwyty...

— Eblouissante! Voila une Friné ressuscitée? Dites plutôt: une Vénus incarnée!

— Ohyda! — wyrwał się Stachowi okrzyk pomimowolny po polsku.

Zerwał się i zmierzył ku wejściu.

— Oh! la! la! jeune homme!... Restez s'il vous plait. Vous craignez à ce qu'on voit, de souiller votre âme immaculée... Tiens! est-ce drôle! Restez! vous dis—je!... Niewolno stąd nikomu wychodzić, przed zakończeniem widowiska... To rozrywa uwagę i zaniepakają innych — mówił jeden z tych Francuzów, z którymi przyszedł.

Trzymał Stacha mocno za rękaw, pociągnął silnie ku ziemi, czem zmusił go, że znów zasiadł na dywanie pod ścianą.

Nachmurzony już wcale nie patrzył przed siebie. Z ukosa spojrział na Savignyego.

Siwy pan siedział opodal. Jego sympatyczną twarz wykrzywił skurcz niesmaku... Miał spuszczone powieki i, usta zaciśnięte gniewnie.

Tymczasem złotowłosa, wolno, à reculons wycofała się z widowni, a jednocześnie z jej zniknięciem i *viola d'amore* umilkła.

Zaczem kilku chłopaków, w greckich tunikach, wniosło kadzielnice, z rozżarzonymi węgielkami.

Rozszedł się aromat miły, silny, odurzający.

Zarazem rozległa się muzyka niewidzialnej orkiestry, złożonej ze skrzypiec, oboi, fletów, murzyńskich tam-tamów, łącznie z dźwiękami tej burzliwej i ogłuszającej muzyki, ze złotowłosą „Fryne“ na czele wkroczyło kilkanaście kobiet...

W tym orszaku były Europejki, Arabki, Murzynki.

Wszystkie miały włosy w greckie węzły skręcone, wieńce z purpurowych kwiatów na głowach... wszystkie były urodziwe, młode, o kształtach, godnych dłuta rzeźbiarza i—nagie zupełnie...

Minęły Murzynów, z obu stron kurtyny stojących nieruchomo, jak posągi z czarnego marmuru i uśmiechnięte, śmiałe, tryumfujące wkroczyły na salę.

Nie głosy ludzkie, ale wprost ryk, jakgdyby stada rozszalałych zwierząt wstrząsał rotundą...

Palacze pozrywali się z miejsc swoich...

— *Jeune homme!* korzystajmy z tumultu

i uchodźmy!—mówił Savigny, pociągając za sobą Stacha.

Nikt ich nie zatrzymywał tym razem.

Wypadli do przedsionka...

Savigny rzucił Arabowi dwie złote monety.

Wypuścił ich prędko, jak gdyby zgadując, że pragną wydostać się stąd corychlej!.

Minęli dziedzińczyk otoczony kolumnadą i dostali się do kawiarni frontowej.

— Francuzi zdobyli Algier, lecz nie zdążyli jeszcze zdobyć sympatii krajowców. Niebezpiecznie jest Europejczykom, nocą chodzić po ulicach miasta. Więc chociaż mamy pistolety, poco szukać i narażać się na zaczepkę, lub poranienie. Musimy tutaj pozostać do świtu,—mówił Savigny i kazał podać czarnej kawy, francuskich likierów, sorbetów i owoców.

— Jeune homme! — śmiał się zadowolony — zapraszam cię na biesiadę, godną trapistów. Uf!... dzięki niebu, żeśmy się jeszcze dość wcześnie zdołali wydostać...

— Ohyda! ohyda! — wołał Stach.

— Chut! jeune homme! — zaśmiał się Savigny — to nie dość dyskretnie i grzecznie tak jasno i, kategorycznie wypowiadać swoje zdanie. „On ne parle pas de la corde, dans la maison d'un pendu“, mówi przysłowie.

— ?

— Bo,—cicho dodał Savigny,—bo właścicielem tego établissement, skądemy z obrzydzeniem uciekli, jest właśnie właściciel kawiarni

pod „Okrętem pustyni“.—Gdyby ten zacny osobnik usłyszał, co o jego zakładzie trzymasz, gotówby nas krótko i węzłowato wyprosić za drzwi... I gdzieżbyśmy się wówczas podzieli?

— A na te orgie, godne Tyberyusza albo Nerona, któż uczęszcza? — zapytał Stach — krajowcy czy też Europejczycy?

— Bez wyjątku Europejczycy, cywilni i wojskowi dygnitarze tutejszego zarządu. Uczęszczają do Elizeum, tak się owo „établissement“ nazywa, niby to kryjąc się jeden przed drugim. I dlatego wchodzi i siedzą otuleni w tych białych burnusach...

— Czy palą opium?

— A nie! toćby pozasypiali... Zapijają jakiś podniecający narkotyk, przyprawiony z czarną kawą. Usiłowałem spenetrować, co to jest za narkotyk?... wszelako dotychczas nie mogłem tego dokazać, bo za obrębem Elizeum, z tym dekoktem nigdzie nie można się spotkać. I wyobraż sobie: *jeune homme*, ile tam fortun się stopi, bo opłata za wejście jest bardzo wysoka, — ilu młodych ludzi się zdeprawuje na nic, ilu zdrowie swoje i, młodzieńcze siły swoje tam pozostawi!... Kiedy o tem pomyślę, Bóg świadkiem, nabieram przekonania, że ci rodzice, których synowie do tego tutejszego Elizeum uczęszczają, — są o wiele nieszczęśliwsi odemnie, od mojej żony, których syn Bogu duszę, a ziemi oddał ciało nieskalane rozpustą...

Łzy jak grad trysnęły mu z oczu.

Otarł je szybko — zapanował nad swoją boleścią i, siląc się na uśmiech swobodny zawołał:

— Jeune homme! cher Stanislas! spełnijmy toast, aby nam było dobrze razem.

Wypili. I gawędząc o Francyi, o Polsce, o Algieryi, miłą gawędką urozmaicali sobie, pozostałe godziny do świtu.

Niedarmo Arabowie nazywają Blidah „różą Metidii“, rzeczywiście piękniejszego zakątka ziemi trudno sobie wyobrazić.

„Metidia“, to dolina dziewięćdziesiąt sześć kilometrów długa, a dwadzieścia dwa kilometry szeroka, na podgórzu Atlasu, w bliskości góry Chenoua.

Śród tej doliny, leży niewielkie *) miasteczko Blidah.

Otoczają je gaje palm daktylowych i, drzew pomarańczowych, wydających owoce smaczniejsze i aromatyczniejsze, niżli gdziekolwiek indziej, w Algieryi.

Pola zroszone mnóstwem strumieni wydają plony obfite. Roślinność jest bujna, rozmaita, przebogata, klimat wyborny, zdrowy, to wszystko, z doliny Metidia czyni prawdziwy raj ziemski.

*) w r. 1850. Połączone z Algierem koleją żelazną w r. 1862.

Pan Savigny był aptekarzem, a zarazem rolnikiem i kupcem w Blidah.

Swoją apteką zajmował się sam, w handlu i, pracy około roli pomagał mu Stach Wojtasiewicz.

Czuwał nad uprawą pól i, nie lenił się orać i zasiewać zboże własnoręcznie, hodował koszenillę, daktyle i pomarańcze dostawiał do Algieru, skąd były na okrętach przewożone do Europy.

Pracował ciężko i prawie bez wytchnienia, nie nużyła go przecież praca, na tle cudnej przyrody, pod niebem rzadko zachmurzonym, w krajinie ciepłej i słonecznej, w sąsiedztwie gór niebośiężnych.

Państwo Savigny cenili jego pracę — a chociaż zajmował podrzędne stanowisko, był traktowany jak równy i sercu całej rodziny bliski.

Z ojczyzny miewał wiadomości częste. Listy do Stacha adresowano do Amandy, która pozostała w Algierze i założyła magazyn strojów kobiecych. Zręczna, uczciwa, sumienna — miała dużo gustu i klientelę liczną.

— Je suis en train de faire fortune — mawiała — chcę do Francji powrócić bogatą.

Dotychczas wogóle, Stach Wojtasiewicz, nie mógł prawie nigdy doprowadzić swoich zamiarów do skutku, nie miał szczęścia — ale piękny pomnik marmurowy postawił na grobie Gezy Czen-gery — i to był pierwszy projekt, który mu się powiódł w zupełności.

Gdyby historia Stacha Wojtasiewicza była zmyśleniem i pisał ją zdolny powieściopisarz, na tle podobnem, mógłby jeszcze bardzo długo snuć opowiadanie.

Ale że wszystko w tem opowiadaniu jest, w najdrobniejszych szczegółach i najściślej prawdziwe — w Blidach musi się kończyć historia Stacha, z braku faktów ciekawych, niezwykłych i godnych zanotowania.

Zwykle państwu Savigny i ich córce, Stach w dni świąteczne towarzyszył, na przechadzkach i kiedy odwiedzali znajomych.

W pewną niedzielę, wbrew zwyczajowi nie poszedł.

Pragnął nacieszyć się listami od rodziny, które był właśnie otrzymał, a które lubił odczytywać wielokrotnie, pragnął korzystać z wolnych chwil świątecznych i, pozostał w domu sam.

Nagle, ktoś gwałtownie zaczął dobijać się do drzwi apteki.

Pobiegł zobaczyć kto?

Była to Francuska, żona kupca, który właśnie wyjechał do Algieru. Tymczasem jedyna córeczka tych państwa gwałtownie i ciężko zachorowała.

Zrozpaczona matka pozostawiła dziecię pod opieką służącej Murzynki, a sama do apteki przybiegła po lekarstwo, które przepisał lekarz, uprzedzając, że od szybkiego zażycia tego środka, zależało życie dziecka.

A tu nie miał kto zrobić lekarstwa... aptekarza nie było w domu...

Stach wskazał zrozpaczonej matce, gdzie ma szukać pana Savigny, zaręczając, że przyjdzie bezzwłocznie, a zatrzymawszy receptę, zabrał się natychmiast do przyrządzania leku.

Gdy konno nadjechał pan Savigny, lekarstwo było już gotowe, a z tego co Stach mówił w jaki sposób je przyrządzał — aptekarz poznał, że jego pomocnik gospodarczy jest skończonym farmaceutą.

Oślupiał ze zdumienia...

— Czemużes mi jeune homme et cher Stanislas odrazu tego nie powiedział?... Przecież łatwiej znaleźć oracza, siewcę, hodowcę kosenilli, zręcznego opakowywacza pomarańcz i daktyli, niżli wykwalifikowanego aptekarza... Łatwiej wszędzie, a cóż dopiero, na tem afrykańskim pustkowiu. I wynagrodzenie byłbyś pobierał inne... wyższe. A co rzecz najważniejsza, nie byłbyś się tak namęczył i uznoił... Ja to odrazu miarkowałem, że jesteś człowiekiem wykształconym, chociaż się tego wypierał i, z tem ukrywał starannie. Ale żeby...

— C'est inouï! parole d'honneur, c'est inouï. — powtarzał, kiedy Stach pokazał mu swoje dyplomy.

.

Stach Wojtasiewicz poślubił jedyną córkę pana Savigny, Celinę.

Po śmierci teścia odziedziczył jego aptekę.

Z Blidah przeniósł się do Bufarik, a stamtąd do Orléansville.

Majątku się nie dorobił — pisał do nas, że pieniędzy nie lubi, one też mszcząc się za to, odpłacają mu się pięknem za nadobne. Wszelako na dostatnie utrzymanie zawsze mu wystarczało.

Do Ojczyzny, jak bardzo wielu emigrantów, już nie powrócił nigdy, lecz kontakt z krajem i rodziną utrzymywał ciągle, za pomocą częstej wymiany listów.

II.

BERTOLD.

Aleksander Middendorf, przyrodnik, lekarz, profesor uniwersytetu kijowskiego i członek petersburskiej akademii nauk, w opisie swej podróży po wschodniej i północnej Syberyi, twierdzi, że kto w Syberyi o tysiąc wiorst posunie się w kierunku wschodnim, ten jednocześnie, o sto lat cofnie się, pod względem cywilizacyi.

Spostrzeżenie to bardzo jest trafne, zwłaszcza odnośnie do autochtonów, koczowników, pośród których grasują wciąż jedne i też same wady, kwitną jedne i też same cnoty i, przez cały szereg wieków, wciąż jedne i też same obyczaje panują, nie zmienione, ani na gorsze, ani na lepsze. Natomiast do okolic w pobliżu miast większych, do okolic zamieszkałych przez ludność z Rosyi przybyłą i tutaj, bądź na pewien przeciąg czasu osiadłą, lub też na stałe tutaj zagnieżdżoną, europejskie mody — nie cywilizacya, nie kultura, — lecz powtarzam: m o d y wdzierają się i, z wieloletniem opóźnieniem i skarykaturowane w najwyższym stopniu.

Takie refleksye nasuwały się nam, to jest

Józefowi Szlenkerowi i mnie, kiedyśmy o kilkadziesiąt wiorst za Irkuckiem w domu Andrzeja Tietiukowa oczekiwali na Bachamaja, Jakuta, który się zobowiązał dostarczyć mi parę skórek lisów czarnych. O takowe, przez ciąg kilku tygodni, za pomocą telegrafu, szturmował do mnie z Warszawy, pan Julian Penkala, z którym, czasu mojego pobytu, w Irkucku, miałem stosunki handlowe, głównie polegające na zakupywaniu na miejscu dla niego futer soboli, gronosłajów, popielic, modnych podówczas niedźwiedzi.

Te wszystkie futra można było nabywać i w żądanej ilości, oraz względnie niedrogo—tylko skórek lisów czarnych niełatwo było dostać.

Czarny lis nie jest zwierzęciem pospolitem, w swojej północnej ojczyźnie.

Jest niezmiernie ostrożny, obdarzony niezwykle byстрыm słuchem i delikatnym węchem tak, że najdzielniejszy myśliwiec nie zdoła go podejść i zastrzelić.

Jakuci na północnych tundrach, chwytają czarne lisy w samołówki, złożone z ruchomych belek i z ruchomego daszku. Samołówki takie są poukrywane pośród wysokich kopców, ułożonych z kamieni.

Przymocowane do belek silnie cuchnące ryby stanowią przynętę. Skoro lisek rybę pochwyci i silnie nią szarpnie, belka się porusza — daszek wraz opada, biedne zwierzątko ani zipnie... ofiara swojego łakomstwa ginie na miejscu... Daszek pokrywa nieboraka, nie uszkodzając skóry, którą

szczęśliwy myśliwiec zbywa pośrednikowi nabywcy, ten zaś żąda, mniej więcej, sto pięćdziesiąt rubli za sztukę i otrzymuje tę cenę.

Andrzej Tietiukow, pośredniczący w handlu futrami, kosztem archaicznej naiwności Tunguzów, Jakutów, Giliaków i innych koczowników trudniących się myśliwstwem, bardzo prędko zdołał zebrać dużą fortunę. Uważany też był, jako najzamożniejszy człowiek w tych okolicach.

Dumą i chlubą Andrzeja Tietiukowa była jego córka jedynaczka, wychowanica gimnazjum w Irkucku i, dom urządzony wspaniale, wedle syberyjskich pojęć ma się rozumieć.

Sadyba Tietiukowych od frontu, jeśli frontem nazwiemy, ożywiony ruchem gościniec, była wysokim, drewnianym częstokołem otoczoną, jak wogóle domy po wsiach, na Syberyi.

Kiedy spieniona trójka naszych rysaków, zatrzymała się przed sadybą Tietiukowa, ów wybiegł na nasze spotkanie.

Uprzedzony o celu naszego przybycia, wieńcząc zyski obfite, przywitał nas i uniżenie i wesoło zarazem.

— Kłaniam się wam nisko, Szymonie Sebastianowiczu i Józefie Ksawerowiczu!—mówił zginiając w pas swoją opasłą figurę.— „Gołuby je pieśc y“ jeszcze nie przyszły, ale tylko patrzeć jak z Banachajem przylecą. Tymczasem panowie odpoczną i zapoznają się z moją „doczeńką“ i obejrzą moją „gornicę“. — Proszę!

Wprowadził nas do sieni, gdzieśmy zwierzch-

nie okrycia zdjęli. Zaczem przed nami szeroko otworzył podwoje, na czerwono pomalowane.

Weszliśmy.

Andrzej Tietiukow się cofnął i pozostawiając nas samych, znikł kędyś, w głębi obszernego domu.

— Wypada nam korzystać, z pełnomocnictwa uprzejmego gospodarza i nie pomijając żadnych szczegółów oglądać bogactwa i wszelakie cuda nagromadzone w tej bawialni — śmiał się Józef Szlenker.

— Od czegoż zaczniemy przegląd tego muzeum osobliwości?... od pieca, czyli też od okien?... od pułapu, czyli też od podłogi?...

— Zaczniemy od podłogi, — odpowiedziałem równie wesoło! — I wytłomaczę dlaczego. Oto wzlot ku wysokością zawsze jest miłszy, niżli degrengolada z góry, w niziny.

— Racya! z którą się trzeba pogodzić bez dyskusyi i bez repliki.

„Gornica“ Tietiukowa faktycznie wyglądała nie jak pokój przeznaczony do przyjęcia gości, lecz miała pozór jakiejś licytacyjnej sali, albo składu sprzętów i mebli niedobrych do siebie bynajmniej i, z sobą niezharmonizowanych, ani w kształtach, ani w barwach, ani w estetycznej i pieniężnej wartości, — lecz nagromadzonych i ustawionych w ten sposób, aby ich jaknajwięcej pomieścić się mogło.

Podłogę z prostych desek zaścielały przepyszne perskie dywany i puszyste smirneńskie

kobierce, na których stało parę garniturów mahoniowych mebli, jedne były pokryte kwiecistą wełną, inne ciemnowiśniowym utrechtem.

Na stoliku z drogocennym malachitowym blatem, leżała włóczkowa serwetka, z georginii szydełkowej roboty.

Obok wazonów z przedziwnej, prawdziwej chińskiej porcelany, ponastawiano całe tuziny pudełek i pudełeczek, z ordynarnego papieru i, ślimaczych, drobnych muszelek.

Wszelako najciekawsze były tutaj ściany, obwieszone ogromną kolekcją wizerunków świętych, w srebrnych i szczerozłotych blachach, portretów osób nie mających nic wspólnego, ani pokrewnego ze świętymi, oraz rycin przedstawiających sceny, z ascetyzmem „cudotwórców“ najlżejszym nawet łącznikiem nie związane.

W tej licznej galeryi obrazów figurowała i słynna Lola Montez w amazonce, w cylinderku, z pejczem w drobnej dłoni, a cygarem w ślicznych usteczkach; była i cesarzowa Francuzów Eugenia, swoją olbrzymią krynoliną zasłaniająca krajobraz, na tle którego artysta malarz umieścił jej piękną postać... Pomiędzy tratującym piekielnego smoka Michałem Archaniołem, a świętym Jerzym z długą włócznią, umieszczono jakieś obnażone boginie tańczące; portret irkuckiego gubernatora Sinielnikowa sąsiadował, z portretem podpisanym „I s k a n d e r“ *).

*) Pseudonim Hercena.

Nieco dalej wisało, kilka staroświeckich rycin, z jakiegoś tygodnika mód oprawnych, w bogate, złożone ramy, oraz kolorowane litografie przedstawiające epizody, z żywota słynnego karzelka przezwiskiem: „lord Tom Pouce“.

Na jednej z tych litografii, miniaturowy lord w galowym umundurowaniu angielskiego admirała wyłazi, z pasztetu. Na drugiej przechadza się z wielką dystynkcyą i powagą, po stole zastawionym srebrem, kryształami i porcelaną.

Dwie ostatnie przedstawiały Tom Pouce'a w chwili, kiedy spełnia toast, na cześć publiczności tłumnie zebranej w cyrku Renza i, wreszcie kiedy siedząc na stole, na odwróconym dnem kielichu, od szampańskiego wina, pozwala podziwiać swą kształtną, a maleńką figurkę.

Faktycznie wcale nie znudziliśmy się, oglądając tę dziwną galeryę obrazów, w syberyjskiej „gornicy“.

Józef Szlenker projektował poprosić Tietiu-kowa, o objaśnienia do niektórych rycin. A przewidując, że takowe wypadną komicznie, zwłaszcza gdy zamierzył wyciągnąć gospodarza na dłuższą dyskusyę, przypuszczał, że zabawimy się doskonale jego kosztem i, zarazem zbierze obfity materiał, zapełnienia listu do rodziny.

Nagle ktoś niewidzialny, najpewniej silniejszy prąd powietrza, uchylił jedno z bocznych drzwi...

Pozostały otwarte...

Niechący ujrzeliśmy wewnątrz sąsiedniej izby...

Była dużą i pełną niewiast i dziewcząt kręcących się pośpiesznie, popychających się nawzajem, zaaferowanych, zajętych jakąś czynnością ważną, a zmuśną.

Tą liczną gromadą kierowała, widocznie, tylko jedna osoba...

Jeden głos rzucał rozkazy, energiczne, krótkie, do wojskowej komendy podobne z tonu, nie z treści, która była taką:

— Gorset!

— Krynolina!

— Spódnica!

— Nie ta!

— Nie haftowana!.. ta z koronkami!

— Suknia niebieska!

— Nie! różowa!

— Nie, biała z trzema tunikami.

— Ta się przynajmniej nie namyśla. Rozkazy rzuca z taką szybkością, jak rewolwer strzały i równie szybko, rewokuje takowe,—tłumiąc śmiech szepnął Szlenker.

Komenda zabrzmiała znowu.

— Dawaj żelazko do przypiekania! „Słysz!” Tatiana!.. Zagorące musi być... Spróbuj zanim przyłożysz do papilotów panienki. Językiem próbuj, ty, mało golona!

— O! — szepnął znów Szlenker — to zaczyna być tragiczne i groźne!

— Andrzej Tietiuków, nie dał nam plenipowencji abyśmy podsłuchiwali, co się w tutejszem

gineceum dzieje — zamknij drzwi panie Józefie—mówilem.

On się rozśmiał i odrzekł:

— Ani myślę! nie ja otwierałem drzwi i zamykać ich nie widzę potrzeby. Zresztą ja nie podsłuchuję, tylko słucham, a to jest, zwłaszcza w tym razie, ogromna różnica. I cóż to komu zaszkodzi, że się dowiemy ile spódniczek, sukienek et coetera i jakich, posiada owa szczęśliwa piękność, którą niewątpliwie, wprędce danem nam będzie ujrzeć, w całym blasku najświetniejszej z toalet jakie, w swej garderobie posiada.

— Il pleut... Il neige à gros flocons... Bon jour, mon cher monsieur... Voulez vous m'embrasser?.. Oh! la belle femme... Ma conduite est irréprochable...

— Piękna strojnisia, bo dla własnej satysfakcyi przypuścmy, że jest piękną — nie lubi tracić czasu i, kiedy służebnice trefią jej włosy, wypróbowywając własnym językiem gorącość żelazka do fryzowania — ona tymczasem przepowiada sobie wokabuły francuzkie, — zauważył Szlenker.

W tej chwili zatrzęsnęły się raptownie też same drzwi, które uchylały się niedawno.

Mimo to, z sąsiedniej izby dolatywały coraz prędzej i miłym, dziewczęcym głosem wymawiane wyrazy:

— Bourreau... fils... argent... légitime... i wiele innych.

— Uczy się po francusku, to oczywiste... kto przecież udziela jej lekcji tutaj?.. Ciekawe!— rzekł Józef Szlenker.

Jakgdyby w odpowiedzi, na to pytanie wszedł do „gornicy“ młody, elegancko ubrany mężczyzna.

Wysoki, muskularny, z pociągłą twarzą, o ciemnej cerze, cechującej południowca, — na czarnych, lekko kędzierzawych włosach miał jedwabny kapelusik, formą w tych okolicach nieznaną.

Wszedł, półgłosem nucąc urywek, z modnego podówczas, w całej Europie wodewilu: „Les filles de marbre“ i do wtóru śpiewowi, siatkową sakiewką pełną złotych monet potrząsając, jak to w wodewilu czyni rzeźbiarz, który brzękiem swego złota ożywił cudne, własnoręcznie, z marmuru wykute posagi kobiece.

— Voici la réponse en personne! Voilà le maître, szepnął mi Józef.

Wchodzący mężczyzna postąpiwszy kilka kroków, w głąb pokoju zauważył naszą obecność...

Żachnął się... zatrzymał minutkę, zaskoczony niespodziewanem spotkaniem...

Zerwał kapelusz z głowy i kłaniając się przemówił bardzo uprzejmie:

— Excusez messieurs!

Dodając wraz:

— René de Brissac!

Wymieniliśmy nasze nazwiska i zaczęli rozmawiać.

Podówczas, to jest w latach siedmdziesiątych *) już Francuzi i Anglicy zaczęli na Syberyę wysyłać swoich agentów, w celach poszukiwania, dziewiczych, jeszcze ludzką ręką nietkniętych skarbów, tej przebogatej krainy. a zarazem zdobywania za psie pieniądze tego, co z dobrodusznych autochtonów zdobyć się dało.

W okolicach Bajkału, zwłaszcza w okolicach Irkucka bliższych, nierzadko można było spotkać zagranicznych agentów.

Ci panowie ze zręcznością nas Polaków zdumiewającą umieli zwęszać, kędy za ceny śmiesznie niskie udawało się im, z pierwszej ręki nabywać drogocenne futra; gdzie zadarmo całemi masami otrzymywać można „kamyczki“ brzydkie i bezwartościowe w przekonaniu koczowników, a które oszlifowane w Amsterdamie i, oprawione w złoto, z syberyjskich kopalń przemycane, wracały do Rosyi, w postaci pięknych broszek, agra-fek, bransolet, naszyjników, pierścieni, albo w postaci fraszek wykwintnych.

Otóż, imci pan Ireneusz de Brissac (nie śmiałbym zaręczać, azali miał prawo używać de przed swoim nazwiskiem) był właśnie agentem, jednego z bogatych spekulantów paryskich.

— Więc pan nie jesteś nauczycielem francuskiego języka? — zapytał Szlenker, kiedy de Brissac skończył swoją odyseę.

*) XIX stulecia P. W.

— Nauczycielem?.. Ależ nie! cóż znowu?.. Także karyera wogóle, a w szczególności na Syberyi!.. Kogóżbym tutaj uczył?.. Chyba niedźwiedzie chodzić na dwóch łapach i tańczyć, przy bębenu, albo sobole i gronostaje unikać sidła i strzałów myśliwskich...

— Możeby się znalazły jakie uczenice.

Rozśmiał się.

— A tak! Buryatki, o wielbłądzych gębach, Tunguzki, Jakutki o skośnych oczach i spłoszonych nosach, albo Giliatki istne megiiery wyzio-nięte z samego dna piekła.

— Sybiryaczki bywają sympatyczne i nauki łaknące...

— Nie mam żadnej sympatii do Sybiryaczek, ani zdolności pedagogicznych, wyznaję otwarcie — przerwał śmiejąc się, ale zaraz dodał poważnie:

— Żart na stronę. Ogromnie krępuje mię nieznamość rosyjskiego języka. Zamierzając stale powracać na Syberję corocznie, skoro tylko na zimę do Paryża powrócę, natychmiast rozpocznę uczyć się po rosyjsku gruntownie. To mi ułatwi stosunki, z ludnością miejscową i z władzami. Ot: i dziś mam, do załatwienia ważne sprawy handlowe i, nie możemy, ani rusz! porozumieć się z Andrzejem Tietiukowem. Obiecuje on mi wprawdzie, że jego córka, jakoby językiem francuskim władająca równie dobrze, jak rodowitym, będzie naszym tłumaczem. Ślicznie! Zacieram ręce i zaczynam śpiewać z radości. Czekam godzinę...

dwie... trzy... Siedzę jak na szpilkach i omal dyabli mię nie biorą ze złości, a ta panna się nie pojawia.

— Przygotowywa się do występu — szepnął Józef spoglądając na mnie porozumiewawczo.

— Możeby panowie, raczyli łaskawie... dopomóż mi pośrednicząc pomiędzy mną, a gospodarzem tego domu? mieśmiało zapytał do Brissac.

— Z przyjemnością.

— Teraz znów, ten Tatiukow zapodział się kędyś! Bodajże go! bodajże go! — mruknął Francuz — zerwał się z krzesła, zaczął chodzić po bawialni potracając zawałające ją sprzęty, niecierpliwie szarpiąc swoją kędzierzawą czuprynę i, klnąc wszystkimi romańskimi językami i, narzeczeniami jakie posiadał.

Milczeliśmy.

Z przyległej izby dolatywały szepty, tupot i epitety w rodzaju: „reniferowa krowo“ „wściekła wilczyco“, „podarta ścierko“...

Wreszcie niewidzialne ręce otworzyły obie połowy podwoi... zaczem do „g o r n i c y“ wkroczyła jakaś istota, z której cudaczna fryzura i karykaturalny ubiór, uczyniły arcy-komiczną maskarę.

Zbyt wysokie obcasy, czyniły jej chód niepewny i chwiejny.

Ponad olbrzymią krynoliną, która już od szeregu lat przestała być modną w Europie, szczupła figurka sterczała, niby patyczek, w stożek siana wetknięty.

Kołysząc się jak na szczudłach podeszła ku Francuzowi dygnęła i zaczęła szeplenić:

— Il fait froid...

De Brissac odwrócił się i stanął wprost dziewczyny, która go zainteresowała:

Bystrem spojrzeniem znawcy objął dziwaczną postać, w wydekoltowanej, białej, muślinowej sukni, o trzech tunikach suto marszczonych i ugarnirowanej koronkami, — skłonił się i rzekł:

— Au contraire, mademoiselle, nous avons aujourd'hui une chaleur étouffante.

— Il pleut, il neige à gros flocons, — ciągnęła nie zważając na przerwę. — Bonjour, mon cher monsieur...

De Brissac skłonił się powtórnie.

— Bonjour, mademoiselle!

— Voulez-vous m'embrasser monsieur?..

Uklonił się po raz trzeci.

— Si j'osais! — wyrzekł patetycznie, kładąc rękę na sercu — mais enfin!.. si vous voulez bien permettre... je ne demande pas mieux.

— Le terme vaut l'argent... ma conduite est irréprochable...

— Oh! qui oserais en douter! Pas moi du moins...

— Où est mon fils illégitime?

— Je regrette de tout mon coeur, mademoiselle, mais hélas!.. il m'est im-

possible, de vous en donner des renseignements.

— Mouchez vous! couchez vous! baignez—vous! amusez—vous!.. Arrière! pedicure!— wołała maszkara, nie zważając na odpowiedzi de Brissac'a, ani czekając na nie, oczywiście nie rozumiejąc ich wcale.

Zrazu szeptała wolno...

Przecież ośmieliła się wprędce...

Bezladne wyrazy, bezsensowne zdania, z jej ust płynęły coraz prędzej, coraz szybciej... coraz głośniej crescendo, aż wybuchnęła histerycznym krzykiem...

— Litościwe nieba! co się tu dzieje?.. co to wszystko znaczy?.. zwrócił się do nas zdumiony i oszołomiony tą paplaniną de Brissac. — Czym ja oszalał?.. czy też ta młoda osoba nie jest przy zdrowych zmysłach?.. Nie rozumiem, nic nie rozumiem, na honor... Może panowie łaskawie raczycie mi powiedzieć, kto jest ta... pani, która mię zaszczyca tak niezwykłą rozmową?..

— Nie znamy tej pani, odrzekłem,—podobnie jak pan, widzimy ją poraz pierwszy w życiu. Ale jako dobrze tutejszych obyczajów świadomy, odgaduję, że to jest córka gospodarza domu, ta właśnie panienka, której ojciec mówił panu, że językiem francuskim równie dobrze włada, jak swoim macierzystym.

— Czy podobna?.. czyżby to być mogło?..

— Ale podobna! podobna i tak jest faktycznie, przekonasz się pan — wtrącił Józef.

De Brissac wybuchnął śmiechem.

— A ja wierzyłem muzykowi—i jak głupiec owej zapowiedzianej tłumaczki wyglądałem, z takim upragnieniem, jak żyd wypatruje wschodu księżyca, w wieczór uroczystość sabatu rozpoczynający ha! ha! ha!

Rzucił się w fotel nie mogąc pohamować gwałtownego śmiechu.

Za przykładem de Brissac'a, Józef Szlenker i ja, śmieliśmy się też z całego gardła. I nawet nie tyle z bredni, które „d o c z e ń k a“ naszych gospodarstwa prawila, ile raczej z efektu jakie wymiana kilku frazesów pomiędzy nią, a Francuzem, wywarła na starych Tietiukowych i, na samą mówczynię.

Tietiukowy śladami córki do „g o r n i c y“ wsuwały się cichutko, stąpając ostrożnie, bez szelestu, na palcach...

Przystanęli z obu stron drzwi, jakgdyby pragnęli zająć sobą jaknajmniej przestrzeni...

Twarze obojga jaśniały, promieniały błogiem rozradowaniem...

Ze szparek ich maleńkich oczu, po policzkach błyszczących, niby zatłuszczone patelnie, sączyły się łzy bezgranicznego rozradowania...

— Słuchaj „m a t u s z k a“!

— Słuchaj „b a t i u s z k a“!

Raz po raz cichutko przemawiali do siebie.

— Jak ona gada! po francusku! jak ona gada, i w Paryżu nie potrafią lepiej! — nawzajem udzielali sobie spostrzeżeń i komentarzy.

A niezmordowana mówczyni, zapewne nasz śmiech przypisując zadowoleniu, ani myślała zamilknąć.

Jedne i też same frazesy i wyrazy plotła wciąż w kółko, przytem gestykulując gwałtownie i, niby znarowiony koń potrząsając głową, uczesana à l'anglaise, w długie loki zwieszające się od czoła, wzdłuż policzków.

Ta scena przeciągająca się zbyt długo, przestała wreszcie być komiczną, a zaczęła budzić w nas niesmak i nudę.

— Chyba już mamy zadość tych popisów?— spytał Szlenker i Francuza.

Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, po rosyjsku zwróciłem się do dziewczyny, dziękując jej w imieniu nas trzech, za tak miłą pogawędkę, a zarazem winszując jej, tak niezwyklej umiejętności francuskiego języka.

— Nic dziwnego! — wtrąciła matka — nasza gołąbka brała lekcye francuskiego języka, w Irkucku, od nauczycielki instytutu dla „szlachetnie urodzonych panien“. Kosztowało nas to... ho! ho! nie jedną i nie dziesięć setek rubli i, sporo skórek sobolich, ale też...

— Powiodła się edukacja jedynaczki—wtrącił Józef Szlenker.

— O tak! tak! powiodła się edukacja naszej gołąbki — przytakiwała Tietiukowowa, z dumą spoglądając na córkę.

Ona zaś i podziękowanie i powinszowanie i pochwały, przyjęła za najlepszą monetę.

Następnie zaproponowałem Tietiukowowi, że przy układach z Brissac'iem Szlenker i ja, będziemy tłumaczami, jako lepiej, niżli młoda panienka rozumiejący interesa handlowe.

Skoro się na to zgodził, opuściliśmy „gornicę” — przenosząc się na drugą stronę domu, do izby przeznaczonej dla interesantów.

Tietiukow „na oblewiny” pomyślnie zakończonych tranzakcyi z „panem Francuzem” zaprosił do siebie bogatszych sąsiadów z rodzinami, starszyznę: pisarza, popa i popadyę. Słowem bardzo liczne towarzystwo wieczorem zebrało się w „gornicy” państwa Tietiukowych.

De Brissac przyznał się nam, że ta kompania dla niego „egzotyczna”, ta zabawa mająca tak wybitny „couleur locale” zajmuje go bardzo i, że mile wieczór przepędza.

Ja takie kompanie i takie zabawy z „kolorytem lokalnym” widywałem już wiele razy podczas mojego, trzykrotnego wygnania, — Józefowi Szlenkerowi obyczaje i, zabawy syberyjskie już też nie były obce, — przeto przy pierwszej zřeczności wymknęliśmy się z wesołego grona, uważając za obowiązek przed odejściem przestrzedz Francuza, aby zwady i wszelkiej scyzyi ze współbiesiadnikami unikał, w sprawach jakiegoby mogły pośród miejscowych wyniknąć, niczy-

jej strony nie trzymał, niczyjego zdania nie popierał, bo poważnieni przyjaciele z przyjaciółmi, sąsiedzi pogodzą się z sąsiadami, a na nim, jako na obcym przybyszu wszystko się skrupi.

— O prawach gościnności, chociaż tutaj nągół szanowanych, pijani zapominają, a niebezpiecznie jest zapoznać się z kułakiem pijanego muzyka — odchodząc ostatnią przestrogę dałem Francuzowi.

Zaczem Szlenker i ja wyszliśmy.

Światło księżyca w pełni wysrebrzyło całą okolicę.

Wies już była uśpioną.

Gdzieniegdzie tylko przez szczeliny wysokich częstokołów przezierały wąziutkie żółto-czerwone paseczki.

To były refleksy ognisk jeszcze niepogaszonych w zamożniejszych domach, kędy oczekiwano powrotu gospodarzy biesiadujących u Tietiukowych.

Na szerokim gościńcu, w tę noc pogodną rozjaśnionym srebrzysto-seledynowem światłem, zabudowania wioskowe kładły cienie ogromne, ciężkie nieruchome, a rozsochate drzewa liściaste, rozrzuciły po nim, miliony płamek ciemnych, lekkich, ruchomych, podskakujących, wirujących — które pod naszymi stopami niknęły, niby zdeptane i, w ziemię wtłoczone motyle.

Od pobliskiego lasu dopływały świeże, chłodne powiewy...

Pogrążeni w zadumie bezkresnej i w milcze-

niu głębokiem, wśród ciszy sennej szliśmy bez celu, wciąż naprzód, wzdłuż tej syberyjskiej wsi, aż do jej krańca.

Tam, szeroki i prosty gościniec rozszczepiał się na cztery wąskie drożyny, z których trzy, zaraz blisko, nikły w gąszczach podszyć modrzewiowych lasów, a czwarta, w dalekie pustkowia pobiegła, zwązając się, kurcząc, malejąc, aż do zupełnego zaniku w oddali, już dla oczu ludzkich niedościgłej.

Minawszy ostatnie już, w tej wiosce, gospodarcze obejście, ujraliśmy cokolwiek od drogi odsuniętą „ziemlankę“, malowniczo obwieszoną festonami dzikiego chmielu.

Że „ziemlanka“ ta była mieszkaniem człowieka, świadczył o tem dym, wydobywający się, z niej cienkim pasemkiem, przez długą blaszaną rurę.

Opodal „ziemlanki“ suszył się sak, do łowienia ryb. Przy wejściu nieduża ławka i stół.

Obadwa te sprzęty były bardzo pierwotnie sklecone, z nieheblowanych desek, opartych na kółkach w murawę wbitych.

Na stole, — duża siekiera, oraz rozmaitej wielkości noże leżały, obok osetki świadczącej, że stały mieszkaniec, czy też chwilowy lokator one-go schroniska, przy świetle księżyca zajmował się ostrzeniem tych narzędzi, mogących służyć do pracy, albo — do mordu.

Godzina była późna.

Naokół bezludzie... pustkowie...

Cała wieś była w najgłębszym śnie pogrążona...

Wreszcie, w tych okolicach niema obyczaju śpieszyć z pomocą temu, kto jej śród nocy potrzebuje i wzywa.

Brodiagi zwykle nocami przez wieś wędrują, aby z półeczek pod oknami chat umieszczonych, zabrać „sawatejki“ *).

Jeśli spotkają zapóźnionego przechodnia, albo wędrowca, już go żywcem nie wypuszczą z rąk swoich, aby na ich ślad nie naprowadził policyi.

Przeto, ze snu krzykiem zbudzony Sybiryak, sprawdziwszy, że w pobliżu niema pożaru, któryby jego chudobie zagrażał, najobojętniej wraca na swoje legowisko i zakopany w niem zasypia nie troszcząc się bynajmniej o bliźniego, choćby nawet przed jego drzwiami był ograbiony i mordowany.

— Jeśli to dobry człek, — myśli sobie, — święci cudotwórcy pomogą mu i wyratują go, z rąk brodiackich, a jeśli zły, niechaj ginie i przepada... O jeden czarci płód, będzie na bożym świecie mniej.

Jednem spojrzeniem porozumieliśmy się z sobą i bez słowa, zawróciliśmy ku wsi.

Nagle warknął pies.

Widocznie zwęszył obcych i zbudzony z drzemki, warknął sennie, leniwo... Wnet przecież nastąpiło drugie, głośniejsze warknięcie, a po-

*) Placuszki z czarnej maki, które Sybiryaczki umyślnie wypiekają dla zbiegłych z więzień i z katorgi zbrodniarzy.

tem zajadłe szczekanie odezwało się tuż za nami, idącymi pośpiesznie.

— Ta bestya powyszarpuje nam łydki — rzekł Józef Szlenker — odwróćmy się frontem do niebezpieczeństwa, które nas ściga.

Niebezpieczeństwo okazało się, o wiele groźniejsze, aniżeliśmy przypuszczali.

Obok ogromnego psa, z najeżoną sierścią i wyszczerzonymi kłami — stał człowiek.

Istny wielkolud w białej płótniance, w baraniej, syberyjskiej bermycy na głowie, z sękatym kijem w ręce, mocował się z psem trzymając go za obrozę i, tym sposobem powstrzymując rozłoszczone zwierzę, aby nie rzuciło się na nas.

— Coście za jedni? zawołał surowym, zagniewanym głosem, — czemu włączycie się po nocy?

— A tobie co do tego?.. jakim prawem zatrzymujesz nas i widzę, masz zamiar poszczuć nas swoim psiskiem. Może ty za stróża służysz w wolosti?..

— No! to się dowiedz żeśmy tutaj z Irkucka z rozkazu, „jewo przewoschoditelstwa“ gubernatora przybyli — mówiłem dumnie, chcąc tem kłamstwem zaimponować olbrzymowi.

Zaledwie skończył, ów, krzyknawszy na psa po polsku: — leżeć! — poskoczył ku nam i zaledwie zdołałem się zorientować, oburącz pochwycił mnie w objęcia i okrywając twarz moją pocałunkami mówił:

— To pan!.. kolezka miły, bracisek dobytki... to Symon kochajoney!

— Bertold! — krzyknąłem zdziwiony i, uradowany zarazem — Bertold! — co za spotkanie!..

Bertold pochodził z okolic Maryampola.

Od pierwszych manifestacyi, duszą i ciałem oddał się narodowej sprawie. Należał do organizacyi. W powstaniu wziął udział jako żołnierz i, jako wojskowy kurjer, naprzemian stosownie do potrzeby.

Z depezbami uwięziony był. — Chociaż wiedział wiele — nie wydał nic i nikogo.

Zgola niesłusznie zaliczony przez władze, do tak zwanych „żandarmów wieszających“ został skazany na dwudziestoletnią katorgę, a potem na bezterminowe osiedlenie na Syberyi.

Zeszliśmy się w Aleksandrowsku, nad Amurem.

On młody garnał się i całym sercem lgnął, do nas starszych. Serdecznie też polubiłem, a nawet mogę powiedzieć pokochałem Bertolda, za niezwykle podniosłe przymioty jego charakteru.

Czasopisma i książki przysyłane mi z Warszawy czytywaliśmy razem. Umysłowo z każdym dniem się rozwijał chłopak, obdarzony pamięcią wyborną, pojętny, rozumujący logicznie.

Doskonale potrafił wypisać się — natomiast wygadać się przychodziło mu z wielką trudnością. Szeplenił i wymawiał wyrazy nieprawidłowo, z chłopska, jakkolwiek pochodził ze szlachty, niezamożnej, ale starej, z czego się niezmiernie chwalił, z wielkiem lekceważeniem wyrażając się o ludziach i rodzinach nobilitowanych niedawno.

— Chlib świzy — wyborny! woda świza, -- az ślinka do gęby idzie! — ubranie nowe — i owsem; — ale za ślachećtwo świze — kłaniam uniżenie! a tytuł wcora z kołka zdjenty — nie potem! nawet i funta kłaków nie wart.

Miłość Bertolda do ojczyzny była bezgraniczną; była wprost bezkrytycznem, fanatycznym uwielbieniem wszystkiego co ojczyste, co polskie.

Nieustannie ubolewał, że nosi niemieckie imię: Bertold.

— Kwoli jakimś swemu psylacielowi, moi rodziciele na caluteńkie życie opaskudzili me, niemieckiem imieniem bezecnem. Co prawda, to nie gzych, ono Bertoldzisko zapisało mi całom, swojom fortunkę: spory kawał ziemi — ale poszło to to na marne — skonfiskowali, a niemieckie imię, do grobowej deski muse dźwigać nieboracek.

Po wyjeździe z Aleksandrowska odebrałem, w Irkucku od Bertolda kilka miłych listów.

Później doniesiono mi, że, skutkiem paru manifestów, ułaskawiony został z katorgi.

Lecz już potem nie zgłaszał się do mnie. Okazało się, że listy ginęły.

Ja zaś nie miałem możności dowiedzieć się gdzie przebywał mój kochany Bertoldek, gdyż poszukiwać kogoś podówczas w Syberyi, byłoby równie daremną fatygą, jak usiłowanie znalezienia maleńkiego listeczka, w jakimś, olbrzymim stogu siana.

I oto po kilku latach niewidzenia i wzajemnej tęsknoty, niespodziewanie wśród nocy spotka-

liśmy się, w tej zapadłej, syberyjskiej wsi, gdzie Bertold był internowany.

Cóż to była za radość nasza z tego spotkania! Ile wykrzykników... ileż było zapytań!

A ile uścisków i pocałunków wymieniliśmy zobopólnie!

— Aż mnie zazdrość bierze, gdy na was patrzę! — śmiał się Józef Szlenker — warto było dziewięćdziesiąt wiorst przejechać po wertepach,— aby ujrzeć i powitać przyjaciela.

Usczęśliwiony Bertold wprowadził nas do swojej „ziemlanki“! Własnymi rękoma ją usypał. Wyglądził i wylepił ściany, przystroił je mchem: suchym popielatym i złocisto zielonym.

— Patsciez moi mili braciskowie — oto: ja pod stopami mam, niby posadzkę w jakowejś, wspaniałej katedrze! — chełpił się rozradowany. My zaś naprawdę, nie szczędząc twórcy szczerych pochwał, podziwialiśmy ową „niby posadzkę“, którą Bertold, z różnokolorowych kamyczków drobnych, w arabesy i kwiaty ułożył na ziemi, a która wywierała wrażenie pięknej, barwnej mozaiki.

„Ziemlankę“ obsadził pnączami i drzewami iglastymi, dającemi zdrową woń żywiczną i, miłą dla oczu, zieloność zimą i latem.

Słowem: własnym przemysłem stworzył sobie nienajgorszą siedzibę: zaciszną spokojną, a głównie cenną dlatego, że jej z nikim nie dzielił i że jak o sobie powiadał:

— Na ziemi jestem rab. Za to pod ziemią jestem pan, niezależny pan, całom gębom!

Oprócz wybitnych umysłowych zdolności, które, przy warunkach odpowiednich, byłyby go niezawodnie wyniosły ponad szary, pospolity tłum, Bertold posiadał zręczność do wszelkich rzemiosł, a zwłaszcza do artystycznych.

W Niemczech nazwanoby go „Tausendkünstler“, ponieważ i malował i rysował i rzeźbił wcale ładnie, a w razie potrzeby mógłby być stolarzem — tapicerem, wedle potrzeby.

Więc ozdabiał rzeźbami sprzęty bogatych włościan, wyrzywał ramy do obrazów i zabawki dla dzieci, malował obrazy.

A że w malowidłach swoich najściślej stosował się do kanonów, które obowiązują, aby palce były bez falang „prościuteńkie jak świeczki! aby krzyże miały barwę „k ir p i c z n a w o ć w i e t a“, a krew była koloru świeżo zerwanej maliny, — przeto zadawałniał najwybredniejsze wymagania, wpředce zasłynął jako „malarz pierwszej klasy“ i, nawet z odległych wsi, otrzymywał korzystne obstalunki.

Więc nietylko zarabiał na swoje utrzymanie, jeszcze odkładał coś nie coś, skrzętnie ciułając grosze aby:

— Przy pierwszej możności cmychnąć we światy. Zwierzył się nam ze swojego zamiaru.

Naturalnie, że myśmy życzyli mu jaknajlepszego i najrychlejszego powodzenia, w jego zamiarach.

Popijając herbatę, którą nam Bertold na samowarku własnego pomysłu i własnej roboty przy-

rządził—opowiadając sobie wzajemnie nasze przygody po rozstaniu się, w Aleksandrowsku nad Amurem, gawędząc mile, przesiedzieliśmy u Bertolda i z Bertoldem resztę nocy i już świt zaróżowił pogodne niebo, kiedyśmy powracali do naszej głównej kwatery, w domu Tietiukowych.

Jakut Banachaj dotrzymał słowa, dostawił dwie skórki czarnych lisów przyrzekając, że w ziemi postara się o większą ilość tych cennych i prześlicznych futer.

Pragnąlbym był chociaż z parę dni zabawić u Bertolda, przecież konieczność nakazywała wracać do Irkucka, aby w oznaczonym dniu stawić się w biurze gubernatora Sinielnikowa.

Nam wygnańcom, będącym pod nieustającym dozorem policyjnym, niewolno było wydalać się z miasta.

Sinielnikow z wielką trudnością zaledwie mnie i Józefowi Szlenkerowi udzielił pozwolenia na krótki wyjazd „w ważnym, handlowym interesie“.

Złożyliśmy kaucję, a niezależnie od tego proboszcz irkucki, przezacny ksiądz Krzysztof Szmernicki, oraz kilku zamożniejszych kolegów solidarnie zaręczyli, że nie uciekniemy, że powrócimy z pewnością.

Więc, bez narażenia dobrych i uczynnych przyjaciół na przykrości i zatargi z władzą, nie mogliśmy przeciągać urlopu udzielonego nam, przez gubernatora Sinielnikowa.

I poraz wtóry rozstawałem się z Bertoldem...

Pocieszaliśmy się nadzieją, że przecież spotka-

my się jeszcze w życiu kędyś, poza granicami Syberyi i już jako od wszelkich „nadzorów wolni“.

Tymczasem zobowiązaliśmy się do częstej wymiany korespondencji.

Jakoż przez pewien czas, po tem naszym spotkaniu, Bertoldek pisywał do mnie serdeczne, a sążniste listy, na które ja niemniej serdecznie i obszernie odpowiadałem.

Z czasem korespondencya nasza znów się zerwała.

Daremnie z Halicza do pozostałych w Irkucku kolegów, raz poraz szturmowałem prośbami, o zasiągnięcie jakich wiadomości o Bertoldzie i przysłanie mi takowych.

Nikt níc o Bertoldzie nie wiedział i nie mógł się dowiedzieć.

Przeto biłem się z myślami, co się też z nim stało...

Czy przestał mnie kochać i cenić piśmienną wymianę myśli pomiędzy nami?..

Czy zakończył swoje niedługie, a tak pełne trudów ciężkich, pełne tęsknot i smutków życie?...

Czy wreszcie jego młodzieńcze serce zabiło silniej, jego krew zagrała goręcej i poślubił autochtonkę?...

— To być może... To przypuszczenie jest nawet najtrafniejsze, najbliższe prawdy... to się stało z pewnością — mniemał towarzysz mój i współlokator, kanonik Teodor Rogoziński...

— Ha! — wówczas odpowiadałem słowy starego inwalidy z Aleskandrowska, nad Amurem: Łuki Kuźmicza: „cudacznie zdarza się na świecie!”

Mniej więcej we dwa lata, po manifestie koronacyjnym, — kiedym już jako człowiek wolny (tylko pod tajnym dozorem policyjnym) przemieszkiwał w Warszawie, od irkuckiego proboszcza otrzymałem list.

Ksiądz Krzysztof Szvernicky donosił mi, że pamiętał jak drogiem był mi mój towarzysz, z katorgi w Aleksandrowsku, jak gorąco pragnąłem wiedzieć o jego losie, — podczas objazdów po swej, olbrzymiej parafii, wszędzie dopytywał się o Bertolda.

Jakoż wreszcie, po latach całych udało się, księdzu proboszczowi zdobyć wiadomości pewne...

Był w tej wsi, kędy internowano Bertolda, po uwolnieniu z katorgi w Aleksandrowsku.

Zwiedził „ziemlanę“, którą sobie własnymi rękoma usypał i, tak artystycznie przyozdobił mchem i mozaiką, z różnokolorowych kamyków...

Jego pracę, jego zręczność podziwiał ksiądz proboszcz... i gorąco się pomodlił za spokój tej, pięknej, czystej duszy wygnańca...

Bertold został zamordowany przez brodyagów.



Kita

Głosy prasy

o pamiętnikach S. Tokarzewskiego.

Z licznych ocen, wielką życzliwością i poszanowaniem dla treści pamiętników Szymona Tokarzewskiego nacechowanych, w streszczeniu podajemy niektóre:

W **Tygodniku Ilustrowanym**, w bardzo obszernej recenzyi, w dwóch numerach zamieszczonej, o pierwszej części pamiętników p. t. **„Siedem lat katorgi”**, czytamy:

„Do licznego zbioru pamiętników polskich, z epoki porobiorowej przybył jeszcze jeden, cenny ze względu na mnogość zawartych w nim szczegółów i tchnący szczerością i prawdą, które przemawiają do serca czytelnika i przykuwają uwagę do każdej stronnicy książki, od pierwszej do ostatniej. Pamiętnik Szymona Tokarzewskiego, to karta pisana krwią i łzami, tętniąca wspomnieniem cel więziennych, dzwoniąca brzękiem kajdan, a wskroś przesiąknięta wielkiem, niespożytem ukochaniem Ojczyzny, co jak promienna, nigdy nie gasnąca gwiazda, przyswieceła żałobnej doli wygnańca... W ostatnich czasach pojawiło się kilkanaście pamiętników ze wszechmiar ciekawych. Jak to już zaznaczyłem **„Siedem lat katorgi”** zasługują na szczególne wyróżnienie. Składa się na to kilka przyczyn. Popierwsze opisują one mało bardzo znaną epokę, powtóre autor trafnie notuje to, czego bezpośrednio doświadczył, na co patrzył własnymi oczyma, po trzecie mają wszelkie cechy niezaprzeczalnej prawdy. Nie mam dość słów gorących, aby zachęcić ogół do wczytania się w literaturę tego rodzaju“.

A. O.

Gazeta Polska pisze:

„Siedem lat katorgi” pamiętniki, które mamy przed sobą, dotyczą pierwszych więzień i pierwszej katorgi Szymona Tokarzewskiego. Opowiada on dzieje swoje własne i swoich towarzyszków, maluje więzienia i odtwarza pobyt na Sy-

beryi. Może jednak dlatego że te słowa, któremi się posługuje autor, są proste, krótkie i zwięzłe, że niema w nich pogoni za frazesem bardziej jaskrawym, czynią wrażenie głębokie i nieprzemijające. W miarę przewracania kart tej książki występuje przed nami oblicze człowieka, który należał do rzędu tych cichych bohaterów wolności, jakich naród nasz wydał z pośród siebie legiony.“ Z. D.

Przegląd bibliograficzny:

„Niezmiernie są ciekawe pamiętniki p. t. **„Siedem lat katorgi”**, ze względu na treść swoją niezmiernie żywotną i niezmiernie bolesną...”

Kurier Warszawski:

„**„Siedem lat katorgi”** są pisane niezmiernie obrazowo. Od początku do końca zajmują uwagę czytelnika.”

Nowa Gazeta:

„Na osobliwą uwagę zasługują pamiętniki Szymona Tokarzewskiego zatytułowane **„Siedem lat katorgi”**. Pomimo uroku właściwego pełnemu prostoty i szczerości opowiadaniu, pamiętniki te dadzą też wiele do myślenia tym, dla których kwestya wyzwolenia Ojczyzny nie jest obojętną.

.

Pamiętniki te stanowią ważne źródła do poznania duszy polskiej, każdy kto do świadomości najwyższej narodowej dojsć pragnie, pominąć ich nie powinien.”

Jan Bełcikowski.

Sztandar cytuje wiele ustępów z **„Ciernistego szlaku”** i o tej drugiej części pamiętników Szymona Tokarzewskiego pisze:

„Odrazu, od pierwszej karty opanowyywa nas pewien znajomy nastrój, jak święte wspomnienia dzieciennych lat, gdy o tych, co szli ciernistym szlakiem, rozmawiało się przyciszonym głosem. Nastrój ten trwa do ostatniej stronnicy. Pomimo wybitnych swych zalet literackich, pamiętnik Tokarzewskiego jest dziełem do którego należy przykładać inną miarę, niż miarę literackiej wartości: **miarę czci...**

Książka ta powinna znajdować się w każdym domu polskim.” K. R.

Myśl Niepodległa:

„Ciernistym szlakiem” pamiętniki spisywał Ściegień-czyk Szymon Tokarzewski. Są one bezwątpienia ciekawym

przyczynkiem nie tylko do historii, ale i ruchu Ściegieńczyków w Polsce.

Dotychczas, o ile wiem, nikt w tej ciekawej kwestyi nie zabierał głosu, nikt dokładnie ideologii tego ruchu nie oświecił. Pamiętniki więc Szymona Tokarzewskiego podwójnie powinny wzbudzić zainteresowanie: najpierw jako pamiętniki Tokarzewskiego, następnie jako przyczynek do dziejów Ściegieńszczyzny

Pamiętniki przepojone gorącym patryotycznym uczuciem stwierdzają, iż Szymon Tokarzewski był jednym z najpiękniejszych serc, jakie Polska wydała. Czytajcie te pamiętniki, czytajcie!“ *Eustachy Czekalski.*

Biesiada Literacka:

. . . W pamiętnikach p. t. **„Ciernistym szlakiem”** więzień polityczny daje cały szereg faktów historycznych, rozświetlających ostatnie okresy dziejów naszych.

Słowo, w paru feljetonach podało dużo wyjątków z **„Siedmiu lat katorgi”** i z drugiej części pamiętników p. t. **„Ciernistym szlakiem”**, o której recenzent pisze:

„. . . Jest to jeden z rozdziałów naszej martyrologii. Fantazja autorska była tu zbyt dużą, starczyło spisać fakty, zwłaszcza że je spisał ten właśnie, który przeżywał wszystkie udręczenia, wszystkie tęsknoty i bóle jakimi przepełniona jest książka“.

Cs. J.

Kurjer Warszawski:

„Ciernistym szlakiem” pamiętniki z więzień, robót ciężkich i wygnania. Życie Szymona Tokarzewskiego było rzeczywiście jednym ciernistym szlakiem.

Pamiętniki **„Ciernistym szlakiem”** to bogata w szczególności kartka historyczna“.

St. G.

Gazeta Warszawska:

„Kto czytał pierwszą część pamiętników Szymona Tokarzewskiego, ten z pewnością sięgnie skwapliwie po dalszy ciąg tych opowiadań, spisanych ręką nawykłą do dźwignia kajdan... przewracając kartki tej drugiej seryi wspomnień, niepodobna oprzeć się wzruszeniu; obok jednak naturalnego w tym wypadku podniecenia uczuć, czytelnik zaspakaja także w niejednym kierunku swoją ciekawość... Zalety tej książki polegają przede wszystkim, na bezpośredniości wrażeń i na prostym opowiadaniu tego, co stanowiło i stanowi kartę wydartą z życia narodu, a opromienione jest glorią męczeństwa“

Ż. D.

Przegląd bibliograficzny:

. . . „Obecnie ukazuje się księga druga p. t. **„Ciernistym szlakiem”**, odznaczająca się temi samymi zaletami co pierwsza—więc ciekawe bardzo sceny z księdzem Piotrem Sciegiennym, człowiekiem zapomnianym przez młodszych, a tak wybitnym, oryginalnym myślicielem społeczno-chrześcijańskim, bolesne karty martyrologii w więzieniach, w katordze i na wygnaniu—oto co składa się na treść tej niezwyklej książki”.

Wysoko ceniony i zasłużony literat, jubilat Stanisław Krzemiński, o **„Ciernistym szlaku”** tak pisze:

„Otrzymałam drugą seryę pamiętników świętej, bo czczonej pamięci Szymona Tokarzewskiego, przeczytałam odrazu, bezwłocznie, gdyż początkowy już rozdział o X. Sciegiennym żywo mnie zajął, a książka raz wzięta do ręki, przywiązała do siebie me oko“.

Kurjer Warszawski:

. . . „Książka, która wzbogaca literaturę o Syberyi, jest nowy fragment pamiętników Szymona Tokarzewskiego p. t. **„Bez paszportu”** . . .

Tokarzewski, który jest znakomitym pamiętnikarzem przede wszystkim przez to, że nie miał żadnych zgoła roszczeń literackich, że pisał prosto i szczerze, zawsze potrafi zainteresować i wzruszyć czytelnika . . .

Życie Tokarzewskiego było jednym, na krótko przerwaniem, pasmem smutku. Ale silna organizacja duchowa przetrwała wszystko i gdy oglądamy na karcie tytułowej jego pamiętników portret wątłego młodzieńca, w ubraniu katorżnika, trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek, który w kilkadziesiąt lat później opowiada nam swobodnie, nieraz z humorem o przebytych cierpieniach, o doznanych zawodach i smutkach. Wielką snadź musiała być moc, która mu pozwoliła nieskalaną ideję, jak lampę płonącą, przenieść przez życie i osłonić przed wichrami, które tak łatwo mogły ją zdmuchnąć. I to jest, co nadaje skromnym pamiętnikom wygnanca wartość i znaczenie ważkiego dokumentu życia narodowego“.

Z. Dębicki.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Do nabycia we wszystkich księgarniach:

TOKARZEWSKI SZYMON. Pamiętniki z wię-
zień, robót ciężkich i wygnania:

Siedem lat katorgi, z 3 portretami, str. 228. Rb. 1.—

Ciernistym szlakiem, z ilustrac., „ 252. „ 1.20

Bez paszportu, z ilustracjami, str. 72 . . „ —.60

Na tułactwie, z ilustracjami na kredowym
papierze, stron 224 „ 1.50

Pośród cywilnie umarłych. w druku

RODZIEWICZÓWNA MARYA. **Ragnarök**,
powieść współcz., str. 374, wyd. nowe. Rb. 1.50

SŁOŃSKI EDWARD: **W więzieniu**, str. 204. „ 1.50

ŁUBIEŃSKI HR. MACIEJ: **Złota nić**, po-
wieść współczesna, stron 312. . . . „ 1.50

PRAŻMOWSKA T. **Dzieje trzech rozbio-
rów Polski oraz ruchu narodowego
w XIX wieku, poprzedzone zarysem
panowania domu saskiego**, stron
368 + 102 = 470, 2 części „ 1.50

KUPRIN A. **Jama**. Powieść współczesna
(z rosyjskiego), stron 136 „ —.60

WŁAST M. **Opowiadania z puszczy Ame-
rykańskiej**. Opowiadania dla młodzie-
ży z 34 ilustracjami, stron 218. Karton. „ —.90

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A31831

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1202170152